MOCNY GŁOS
W OBRONIE ARMII KRAJOWEJ

DODATEK HISTORYCZNY





BOSAK MÓWI FIJOŁKOWI, CZY JEST PROROSYJSKI



ABORCJA NIE JEST OK! WSTRZĄSAJĄCE HISTORIE

„PRZEWRÓT KOPERNIKAŃSKI" W KOŚCIELE?

SIECI

SIECI

NAJWIĘKSZY KONSERWATYWNY TYGODNIK OPINII W POLSCE

Nr 46 (364) 2019
18–24 listopada

CENA: 6,90 zł
(w tym 8% VAT)

TYLKO U NAS

WSZYSCY CHCĄ DOPAŚĆ DUDĘ

STAWKA WIĘKSZA NIŻ PREZYDENTURA – KTO WYGRA W MAJU, ZDOBĘDZIE WŁADZĘ NA DŁUGO. POZNALIŚMY STRATEGIE GŁÓWNYCH KANDYDATÓW

INDEKS 287393 ISSN: 2544-2694
46
9 772544 269908

rasa.pl f85080dd20

CYFROWY POLSAT

NA ŚWIĘTA WYBIERZ TELEWIZJĘ INTERNETOWĄ Z DEKODEREM, **na start 3 miesiące bez opłat!**



OTT

Na start ponad 100 kanałów 3 MIESIĄCE BEZ OPŁAT!

- Włączaj pakiety, kiedy chcesz, i płać tylko za te programy, które wybrałeś
- Oglądaj wybrany kontent nawet do 7 dni wstecz

Oferta telewizji internetowej dla nowych Klientów dostępna przy umowach pisemnych z okresem podstawowym składającym się z 24 okresów rozliczeniowych, z opłatą podstawową 10 zł/mies., nieuwzględniającą opłat za dokupywane przez Klienta pakiety i usługi dodatkowe. Usługa wymaga łącza o prędkości min. 8 Mb/s na jeden dekoder. Opłata za transmisję danych zgodna z taryfą operatora usługi Internet. „Bez opłat" nie dotyczy opłaty jednorazowej za aktywację dekodera oraz opłat za transmisję danych w usłudze Internet. Funkcja oglądania wybranych programów do 7 dni wstecz (CatchUP) jest dostępna dla określonych audycji i przekazów na wybranych kanałach, które Klient posiada w ramach wykupionego pakietu usługi telewizji internetowej. Szczegóły w Regulaminie Promocji i „Regulaminie świadczenia usług telewizji internetowej", dostępnych u Sprzedawców i na www.cyfrowypolsat.pl. Cały sezon Formula 1® w ELEVEN SPORTS. The F1 FORMULA 1 logo, F1 logo, FORMULA 1, F1, FIA FORMULA ONE WORLD CHAMPIONSHIP, GRAND PRIX and related marks are trade marks of Formula One Licensing BV, a Formula 1 company. „Green Book" © DreamWorks. „Wataha" © HBO Europe s.r.o. 2019. Wszelkie prawa zastrzeżone. La Liga Santander w ELEVEN SPORTS.

Dlaczego utrata Senatu, choć bolesna dla PiS, nie zabije tej partii

Z pierwszych wypowiedzi i decyzji nowej większości w Senacie wyłania się dość jasny plan użycia tego politycznego narzędzia. Izba wyższa parlamentu ma być ośrodkiem władzy, który ustawi się na agresywnej kontrze wobec większości sejmowej, rządu i prezydenta. Czuć już swąd znanej z lat 2007–2015 pychy. Stąd bicie w bębny triumfu przez Grzegorza Schetynę. Lider PO stwierdził: „(Kaczyński) powiedział, że opozycja totalna się skończyła. Chciałem mu powiedzieć, że dzisiaj, teraz skończyła się władza totalna, że trzeba szanować opozycję, trzeba szanować Senat, trzeba szanować izbę wyższą".

W oczach przewodniczącego Schetyny najwyraźniej to jest porażka, po której PiS już się nie podniesie, moment przełomowy, dramatyczny zwrot odbierający obozowi Jarosława Kaczyńskiego pewność siebie. Być może lider PO rzeczywiście w to wierzy, ale jeśli tak, to znaczy, iż uległ własnej propagandzie.

Prawda jest bowiem taka, że PiS nigdy nie miało nie tylko władzy totalnej, lecz nawet całkowitej. Nigdy niczego takiego też nie twierdziło, uparcie dopominając się jedynie o uznanie demokratycznego werdyktu Polaków i prawo do wdrażania swojego programu. W systemie, w jakim żyjemy, rządzący z natury są spętani setkami ograniczeń zewnętrznych, zwłaszcza unijnych, a władza jest rozproszona. I w tym obszarze – biznesu, mediów, nieformalnych sieci – PiS zawsze było i jest bardzo słabe, rzadko też podejmowało próby zmiany tego stanu rzeczy. Z małym wyjątkiem – usiłowania zreformowania sądów, ale każdy mógł przy okazji zobaczyć i usłyszeć, kto rządzi w sądach. W pozostałych obszarach PiS wybierało podlizywanie się i przekupstwa, bez wielkiego oczywiście uzysku. Choć z punktu widzenia PiS pewnie uzysk był, bo jednak jest druga kadencja rządów.

Co więcej, Grzegorz Schetyna musi mieć problem z pamięcią, bo zapomina bolesne dla PiS porażki w Unii Europejskiej czy nieudaną walkę o przejęcie rządów w większych miastach i metropoliach. Mimo wygranej w wyborach samorządowych, finałem było przejęcie połowy zaledwie sejmików.

W tych momentach i wielu innych opozycja i jej media dowodziły, że oto nastąpił przełom. Piemontem opozycji miała być najpierw Bruksela, potem Gdańsk, wreszcie Warszawa. Nigdy z tego za wiele nie wychodziło. Z prostego powodu: jeśli się od początku nie miało władzy totalnej, jeżeli od zawsze trzeba się było gimnastykować, często cofać, zawsze liczyć z siłami i procedurami, przełykać przez cztery lata gorzkie pigułki, to jedna dodatkowa, tym razem w Senacie, nie zmienia zbyt wiele.

Bo zgoda, że jakaś pierwsza bolesna porażka może złamać władzę totalną, ale partię demokratyczną może po prostu chwilowo osłabić, zmobilizować, zmusić do korekty lub wymiany niedziałających podzespołów. PiS to ten drugi przypadek. Pierwsza kadencja pokazała, że PiS umie wyciągać z takich sytuacji trafne wnioski. I bez wątpienia musi zrobić to także teraz. Jeszcze jeden ważny czynnik: nie ma podglebia sondażowego do jakiegoś tąpnięcia PiS.

Dużo ciekawsze jest jednak pytanie, co z sukcesem senackim naprawdę zamierza zrobić opozycja? Czy ustawienie tego ośrodka politycznego na ostrej, agresywnej kontrze wobec wszystkiego co pisowskie nie doprowadzi totalnych do kolejnego widowiskowego upadku z powodu pychy? Czy znów ulegną pokusie podeptania zasad demokratycznych przez odwołanie się do bojówek (tym razem zapewne wpuszczonych do Sejmu)? Czy się nie ośmieszą, próbując przekonać Polaków, że mandat w Senacie daje im prawo do uprawiania samodzielnej polityki zagranicznej, odcinania się od państwa polskiego, tak jak to robią ich samorządy? Czy nie zrobią z Senatu kolejnego cyrku? Nie przypomną o swojej prawdziwej naturze ludzi uznających się za właścicieli kraju? Innymi słowy: jeśli Senat będzie teraz czystym, totalnym antypisem, to może przynieść przełom, ale w odwrotnym kierunku. Choć moim zdaniem będzie, gdyż te instynkty są silniejsze od rozumu.

Naprawdę różny może być finał tej historii.

Obóz Jarosława Kaczyńskiego powinien więc zachować spokój, czekać na okazję demokratycznego zbudowania większości w Senacie (to możliwe – im dłużej trwa kadencja, tym bardziej partie się szczerbią), normalnie rządzić, a w międzyczasie sprawdzić, co poszło w kampanii senackiej nie tak.

Michał Karnowski



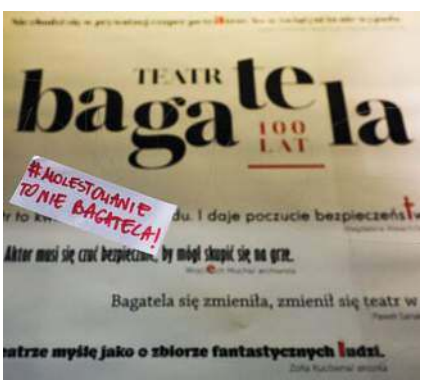
58/0319/F

eprasa.pl f85080dd20

SIECI spis treści



26 *Łamigłówki nowego rządu* ***Jan Rokita***



38 Ciałem pracuję tylko na scenie ***Maja Narbutt***



98 Potrzebny nowy park narodowy ***Przemysław Barszcz***

NA POCZĄTEK

6 **SYGNALISTA NADAJE**
Nieoficjalny przegląd tygodnia

8 **POWRÓT DO SAMOKLĘSK**
Krzysztof Feusette

10 **ŚWIATOWE ŻYCIE**
redaguje Konrad Kołodziejski

12 **INTENSYWNY TYDZIEŃ**
Jan Pietrzak

13 **GEN AUTODESTRUKCJI**
Bronisław Wildstein

14 **OGNIEM NA WPROST**
Andrzej Rafał Potocki

15 **POLSKA WRAŻLIWOŚĆ I TALENT W CENIE**
Marta Kaczyńska-Zielińska

16 **ŚWIAT JEST FASCYNUJĄCY**
Dorota Łosiewicz

17 **PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU**
Dominik Zdort

18 **FELIETONY**
Tomasz Łysiak, Piotr Cywiński

TEMAT TYGODNIA

20 **STAWKA WIĘKSZA NIŻ PAŁAC**
Marek Pyza, Marcin Wikło

KRAJ

24 **MAŁE I DUŻE ROSZADY PRZY WIEJSKIEJ**
Marcin Fijołek

26 **ŁAMIGŁÓWKI NOWEGO RZĄDU**
Jan Rokita

30 **KRAJOBRAZ PO TUSKU**
Stanisław Janecki

34 **Z MARKIEM WRÓBLEM**
rozmawia Jacek Karnowski

38 **CIAŁEM PRACUJĘ TYLKO NA SCENIE**
Maja Narbutt

42 **NIEBEZPIECZNA PSEUDONAUKA**
Marzena Nykiel

45 **KIEDYŚ SIĘ JESZCZE SPOTKAMY, JASIU**
Dorota Łosiewicz

48 **Z EDWARDEM MOSBERGIEM**
rozmawia Jakub Maciejewski

SIECI KULTURY

53 **W WIRZE ROZBŁYSKU**
Jolanta Gajda-Zadworna

58 **ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM**
Piotr Zaremba

59 **BLASKI, ODBLASKI**
Przemysław Skrzydelski

59 **TYLKO NAJLEPSI**
Adam Ciesielski

60 **CZYTANIE JAKO SPORT EKSTREMALNY**
Wojciech Stanisławski

62 **POLECA**
Łukasz Adamski

OPINIE

66 **Z KS. PROF. ANDRZEJEM KOBYLIŃSKIM**
rozmawia Grzegorz Górny

70 **BYŁA SOBIE RAZ ELITA**
Jan Parys

74 **N JAK NIEPODLEGŁOŚĆ**
Hanna Karp

76 **Z KRZYSZTOFEM BOSAKIEM**
rozmawia Marcin Fijołek

w SIECI HISTORII

79 **IZA GALICKA – POLKA PEŁNA UFNOŚCI**
Jan Żaryn

80 **WSPOMNIENIE O IZIE GALICKIEJ**
Katarzyna K. Kowalska

83 **OSKARŻONA ARMIA KRAJOWA**
Mariusz Olczak

ŚWIAT

88 **MACRON I ORBÁN – DWA WYMIARY TEJ SAMEJ POLITYKI**
Marek Budzisz

91 **NOWY „PROLETARIUSZ" LEWICY**
Aleksandra Rybińska

NATURA DLA LUDZI

98 **POTRZEBNY NOWY PARK NARODOWY**
Przemysław Barszcz

PODRÓŻE

102 **MOJE SZLAKI: NATALIA PIOTROWSKA-PACIOREK**
Jolanta Gajda-Zadworna

103 **SŁODKO-SŁONY/WILCZYM OKIEM**
Anna Monicka, Przemysław Barszcz

NA KONIEC

104 **PARLAMENT JAKBY PEDOFILSKI?**
Maciej Pawlicki

105 **JAK UCHRONIĆ NASTĘPNE POKOLENIA**
Alina Czerniakowska

106 **ODWOJOWAŁ DEMOKRACJĘ**
Wojciech Reszczyński

107 **FELIETONY**
Witold Gadowski, Lech Makowiecki

108 **PYTANIA DO NIEKTÓRYCH**
Aleksander Nalaskowski

109 **ŻYCIE BEZ SENATU**
Wiktor Świetlik

110 **CYWILIZACJA ŚMIERCI KONTRA CYWILIZACJA ŻYCIA**
Jan Pospieszalski

111 **FELIETONY**
Jerzy Jachowicz, Katarzyna Łaniewska

112 **KACZMARSKI ZAKAZANY**
Ryszard Makowski

113 **REKOLEKCJE PÓŹNOJESIENNE**
Leszek Długosz

114 **STAROŚĆ JEST MARNOTRAWSTWEM?**
Andrzej Zybertowicz

98/1019/F

eprasa.pl f85080dd20

ORLEN

GRAJ W LOTERII

CO 3 ZDRAPKA WYGRYWA!*

88

samochodów

ponad **11 000 000**
produktów **VERVA**



Kup zestaw
Odbierz zdrapkę
Sprawdź, czy wygrałeś

Okres sprzedaży promocyjnej uprawniającej do otrzymania zdrapki: 23.04 – 31.12.2019 r. lub do wyczerpania puli zdrapek na poszczególnych stacjach paliw. Zachowaj zdrapkę i dowód zakupu. Zgłoszenia do losowania wyjazdów na wyścigi Roberta Kubicy przyjmowane są do 02.11.2019 r. od zarejestrowanych uczestników Programu VITAY posiadających konto na: vitay.pl. Szczegóły w regulaminie na: loteria.orlen.pl. Organizator: Unique One sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie.
*Informacja została przygotowana w oparciu o statystyczne rozłożenie nagród w Loterii.

eprasa.pl f85080dd20



Sygnalista nadaje

Wyraźnie się zbliżamy do momentu, w którym wszystko będzie już jasne. W pierwszym szeregu jak zawsze artyści. Oto znany muzyk jazzowy Michał Urbaniak ogłosił: „Sytuacja w Polsce jest trudna i bardzo radykalna. Myślę sobie czasem, czy rozbiory nie były najlepszym rozwiązaniem wobec tego kraju, i mówię to z całą odpowiedzialnością". Te ostatnie słowa – „i mówię to z całą odpowiedzialnością" – przerażają najbardziej.

Do swojej tezy o pożytecznych rozbiorach Urbaniak dokłada dość mgliste wyjaśnienie: „Kiedy jedzie się na wschód albo na zachód Polski, widzi się zupełnie inną mentalność. Pośrodku jest Księstwo Warszawskie, czyli stolica". To oczywiście historyczny fałsz, bo Księstwo Warszawskie składało się z ziem drugiego i trzeciego zaboru pruskiego oraz trzeciego zaboru austriackiego. Jak to mawiali dobrzy nauczyciele: to nie chaos, to zwykłe niedouczenie. No i oczywiście potężne kompleksy.

Nie wiemy, czy Urbaniak czyta „Wyborczą", ale to prawdopodobne. W maju zeszłego roku sama gazeta opublikowała badanie, z którego wynika, że 78 proc. jej czytelników „bardzo często" lub „dość często" odczuwa wstyd z faktu bycia Polką lub Polakiem. Dumę z polskości odczuwa w sumie 11 proc. badanych. Zaborcy nie byli tak skuteczni w obrzydzaniu Polski jak nasi „Europejczycy".

To także dzięki krajowej pedagogice wstydu na Zachodzie zawsze chętnie popełnią „błąd" na niekorzyść Polski. W serialu Netflixa pt. „Iwan Groźny z Treblinki", opowiadającym o ukraińskim zbrodniarzu wojennym, pokazano mapę Polski w dzisiejszych granicach z zaznaczonymi obozami zagłady, m.in. Auschwitz, Sobiborem, Treblinką i Płaszowem. Trzeba przyznać, że tego jeszcze nie było: Polska nie dostała reparacji, ale ma dostać byłe niemieckie obozy wraz z „prawami autorskimi". Czy taki jest plan?

Pierwsza prezes Sądu Najwyższego Małgorzata Gersdorf odebrała w Bonn Międzynarodową Nagrodę Demokracji. Ogłosiła, że „zmiany, które nastąpiły w Polsce, niewątpliwie podważają zasadę rządów prawa", po czym dodała: „Nie muszę państwu, zwłaszcza tu w Niemczech, tłumaczyć, do jakich skutków ustrojowych może prowadzić instrumentalne spoglądanie na prawo oraz wybory. Doświadczenie lat 30. ubiegłego wieku nauczyło nas wiele". Niestety, wciąż nie nauczyło Niemców, że nie powinni się wtrącać w nasze sprawy.

Na dokument Netflixa zareagowały polskie władze, a ***premier Morawiecki*** napisał list do szefa firmy, wzywając do usunięcia „tego okropnego błędu". Szybka reakcja w takich sprawach jest ważna, ale trzeba czegoś więcej. To Netflix powinien sam się pilnować, wiedząc, że jeśli skłamie przeciwko Polsce, to jego biznes w naszym kraju może ucierpieć. Może nie dziś, może nie jutro, ale kiedyś na pewno. Jeśli za protestem nie będzie szła dyskretna, ale wyraźna sankcja, to światowi producenci szybko uznają, że prowokowanie Polaków to dobry mechanizm promocyjny filmu czy serialu. I będzie jeszcze gorzej.

Senat ma nowego marszałka. ***Tomasz Grodzki*** ma w sobie dużo pewności siebie i chyba całkiem spore ego. Gdyby jakiś przybysz z innego kraju nie wiedział, że chodzi o „izbę refleksji", uznałby, że Polska ma nowego prezydenta. Nowy marszałek „rozcapierza palce", wprowadza unijne flagi przed swój gabinet, zapowiada podróż dziękczynną do USA, wygłasza orędzie do

eprasa.pl f85080dd20

narodu w TVP. Dziś ta potrawa wielu smakuje, ale szybko się przekonają, że jest w niej coś bardzo niepokojącego.

Tymczasem poważny zarzut postawiła nowemu marszałkowi prof. dr hab. Agnieszka Popiela, wykładowca w Katedrze Botaniki i Ochrony Przyrody Uniwersytetu Szczecińskiego. „Masakra. Pan profesor Grodzki kandydatem na marszałka Senatu. Jak moja Mama umierała, to trzeba było dać 500 dol. za operację. Podobno na czasopisma medyczne. Faktury ani rachunku nie dostałam. Nigdy tego nie zapomnę". Mocne oskarżenie.

Ale tylko przez chwilę. Ponieważ „wpis wywołał dyskusję", prof. Popiela wyjaśniła: „Pan prof. T. Grodzki to wybitny terakochirurg, który pomógł mojej śp. Mamie. Dzięki niemu miała łatwiejszą śmierć i za to jestem wdzięczna. Napisałam to, co napisałam, bo objął wielką godność w Polsce, a to wymaga etyki na najwyższym poziomie. Jeśli to była fundacja, a ja nie dostałam faktury/rachunku/potwierdzenia wpłaty przez pomyłkę, to chętnie przeproszę. Powinna być dokumentacja fundacji. Prawda nas wyzwoli, jak mówił nasz Papież Jan Paweł II. Bardzo w to wierzę". Wszystko jasne, tylko po co plątać w to Jana Pawła II?

Marszałka Grodzkiego wsparła w Senacie cała opozycja. Alicja Chybicka, senator Koalicji Obywatelskiej, relacjonowała, że „atmosfera była nerwowa, bo wszyscy bali się, że może jednak ktoś, mówiąc brzydko, da się kupić, splami się, zhańbi". To obawy na wyrost, bo w Polsce dystrybucja prestiżu à la III RP została tylko odrobinę naruszona (im niżej, tym gorzej) i niewielu chce przejść przez ścieżkę zdrowia.

Przy okazji pani senator Chybicka wyjaśniła, że odcinanie się Platformy od oskarżonego o korupcję Stanisława Gawłowskiego (zawsze zdawkowe) było zwykłą ściemą. „Stanisław Gawłowski jest naszym człowiekiem od zawsze" – podkreśliła z uśmiechem senator KO. Doktryna Neumanna obowiązuje: jeśli jesteś z Platformą, żadne zarzuty nie mogą ciebie zhańbić. Hańbi wyłącznie wyjście z układu.

Lotna Brygada Opozycji – jak widać, coś takiego istnieje – zorganizowała happening w miesięcznicę katastrofy smoleńskiej. Wydarzenie polegało na „jeżdżeniu" kartonowym czołgiem po pl. Piłsudskiego, także tuż za żołnierzami kompanii honorowej, sprawującej wartę. Do tego transparenty „Gdzie jest wrak?". „Skoro pl. Piłsudskiego to teraz teren wojskowy, myśleliśmy, że może jak przyjedziemy z czołgiem, to nas wpuszczą" – tłumaczył pomysł aktywista Arkadiusz Szczurek. Ależ my jesteśmy w naprawdę głębokim kryzysie.



Wskazywany jako „obywatelski" kandydat opozycji na prezydenta dziennikarz Szymon Hołownia wreszcie zabrał głos. Nie odpowiedział jednak na pytanie, czy startuje, czy też nie. Ale powiedział, co jest dla niego ważne: „Nie ma znaczenia, czy jesteś lewakiem, czy prawakiem, gejem czy heterykiem, wyborcą Jarosława czy fanem Grzegorza: bez powietrza dusimy się dokładnie tak samo. Bez wody – tak samo konamy z pragnienia. Kwestia środowiska – ekumeniczna do bólu – powinna być dziś absolutnym priorytetem dla wszystkich". Czyż nie pięknie przewidywalna wypowiedź?



Hołownia kontynuuje: „Dużo bardziej chcę świata z wodą i powietrzem niż świata z Platformą czy PiS-em. I o czymkolwiek będą chcieli nam mówić partyjni urzędnicy, trzeba przerywać im w pół zdania i pytać: świetnie, a co z powietrzem? Ziemią? Co z wodą?!". Wniosek jest prosty: jeśli Hołownia startuje, to chce – lub chcą ci, którzy za nim stoją – być polską Gretą Thunberg. Cóż, niech próbuje. My wciąż chcemy świata z Polską na mapie.



Świeżo upieczony poseł KO ***Paweł Kowal*** (w sumie piękna droga) radzi opozycji. Jego zdaniem w czasie kampanii prezydenckiej kluczowa będzie „bitwa o centrum". „Czy KO jest w stanie podjąć rywalizację o kluczowy z punktu widzenia ostatniej fazy każdej wielkiej kampanii elektorat, o wyborców centrowych, a także – w zachodnim rozumieniu tego słowa – konserwatywnych". To nawet zabawne: gdziekolwiek człowiek nie trafi, ma zawsze tę samą radę. Słuszną, o ile polityczne centrum w Polsce istnieje. Bo być może nie istnieje.



Wiceprezydent Warszawy ***Paweł Rabiej*** konsekwentnie buduje swój wizerunek politycznego zagończyka. „30 lat temu runął berliński mur. Runął faszyzm i komunizm, runie też wkrótce kaczyzm i putinizm. Nie da się oddzielić ludzi nowymi murami. Zwyciężą wolność, miłość i tolerancja" – ogłosił w tak charakterystycznym dla współczesności infantylnym stylu. Odpowiedział mu poseł PiS Jan Mosiński: „Czy tolerancją jest porównywanie obecnych rządów do faszyzmu i komunizmu? Czy naprawdę jesteś taki głupi, czy tylko udajesz?". Nie da się wykluczyć, że i jedno, i drugie. Bo to nie są rzeczy sprzeczne.

Fot. Andrzej Wiktor x2, Fratria, Mateusz Żelnik

eprasa.pl f85080dd20

Powrót do Samoklęsk



KRZYSZTOF FEUSETTE

Wracam. A co mi szkodzi? Mam do końca życia na dworze siedzieć i pizzę z borowikami wsuwać tylko dlatego, że nie byłem pierwszy w obwodzie? A jak miałem wygrać, skoro ta wiocha nazywa się Samoklęski Duże? Bo u mnie, we dworze, lokalu wyborczego jeszcze nie ma. Zresztą, co to za dwór, zadupie zwykłe z kompleksami. Dobrze, że sobie wcześniej strefę zdekomunizowałem, bo jeszcze by mnie posądzano, że z komuchami trzymam. Z jakimś Cimoszewiczem albo Millerem. Albo Senyszyn. Musiałbym naprawdę nisko upaść, żeby z takimi ludźmi jakąś koalicję zawierać. Albo pakty senackie. Raz sierpem, raz młotem, wiadomo.

Tyle że wygrali faszyści. Myślę o wyborach przed czterema laty, bo o ostatnich to już mi nawet lekarz zabronił rozmawiać, taki mam stres pourazowy. Nastały, niestety, takie czasy, że trzeba dorzynać watahy z każdym, kto nie przeciw nam. Jak mawia klasyk: albo to podpiszecie, albo wszyscy zginiecie. Śmieją się teraz ze mnie, że znowu do prawyborów chcę podejść, a przecież z Bronkiem Komorowskim już w tyłek dostałem 68 proc. do 32. Jakby to była moja wina, że wszystko było ustawione, a przy okazji 700 tys. zł poszło w gwizdek. Ja grałem fair. Mówię mu: „Przepraszam, Bronku, że przerywam ci prawyborczą drzemkę, ale tak sobie myślę, że mógłbym cię jutro delikatnie skrytykować za jakiś drobiazg, żeby to wszystko wyglądało jednak naturalnie", a on na to: „Świetny pomysł. Zuch chłopak". No, to mówię publicznie, że nołbadys perfekt, nawet Bronisław. I co on robi? „Nie wolno się tak spinać – mówi. – Generalnie mam taką prośbę: wyluzuj, Radku, wyluzuj!". I brwi marszczy, jakbym mu głuszca spłoszył. Ileż ja się musiałem nabiegać po telewizjach, żeby wyjaśnić, na czym polegają zasady demokracji i dlaczego wygrał lepszy. To wziął i zakonnicę na pasach rozjechał.

Ale ja go pomszczę. Bo, jak nie my z „Koniem", to kto? Gosia Kidawa? Ta przytulanka? Maskotka partyjna? Matka Małgorzata od platformersów? A może Trzaskowski? Też kiedyś byłem przystojny, ale jak mnie talibowie o mały włos spojrzeniem nie zabili, to mi się cera popsuła. Rafałowi ta Czajka też twarz uszlachetni, szkoda, bo taki był ładny, amerykański. No, ale jak komuś co chwilę jakieś g... w rękach wybucha, to lepiej, żeby w Belwederze nie siedział. Arłukowicz? Fajny chłopak. W sam raz do TVN, żeby z Prokopem „Nie mam talentu" prowadzić, jak już Hołownia ruszy w Polskę z programem: „Leję wodę, ale czystą".

A Donald, jedyny człowiek w tym kraju, który mógłby mi zagrozić, zrezygnował. Bo jednak obciążenia ma większe. Pewnie, że Smoleńsk obaj żeśmy jak włamanie do garażu potraktowali, ale ja jednak żółwików z Putinem nie przybijałem. I ja mu na molo raportów nie składałem. A że pana Siergieja Wiktorowicza Ławrowa na spotkanie z ambasadorami zaprosiłem, to jeszcze nie oznacza, żeśmy tam mówili wyłącznie po rosyjsku. Zresztą, porównajmy angielskie, u Donalda to jest ciągle wymuszone, a ja po prostu myślę i czuję po oksfordzku.

Bo z tym nieszczęsnym koniem było tak. Wszyscy twierdzili, że Donald na białym przyjedzie i wszystko pozamiata. Dzwonię do Romka, a on mi mówi, że pierwsze słyszy, poza tym teraz nie może, bo ma gonitwę, konkretnie myśli. Trudno się dziwić, nagle się człowiek dowiaduje, że kiedyś był faszystą, a teraz zostaje nie tylko obrońcą uciśnionych Bąków Józefa i ojca, lecz i środkiem politycznego transportu Jego Ekscelencji powracającego na krajowe salony. Koń by się uśmiał, ale nie ma kiedy. Nic dziwnego, że się spłoszył. No, ale go przekonałem, że darowanemu koniowi nikt do niczego nie będzie zaglądał, i się zgodził. A jak już wszystko było dogadane, to nagle Donek dzwoni i mówi: „Chłopaki, poczekajcie, ja tylko sobie sondaż zamówię, a potem popędzimy, co koń wyskoczy". Wiadomo – kto nie skacze, ten za PiS. Godzina mija, dwie, świtać zaczęło i oto jest, wraca król Europy. Zapłakany, jak Sawicka po lodach. Wrócił, żeby powiedzieć, że nie ma, po co wracać, więc zaraz wraca do siebie, do Brukseli. A ja od razu wiedziałem, że coś przede mną staje otworem. Gadka-szmatka pana Radka, parę telefonów, i do TVN. A koń ze mną, jak za mundurem panny sznurem, a za Radkiem słowa gładkie. No, chyba że o kobietach, bo ja się z babami nie obcyndalam. Dla mnie premier Szydło nazwać „wrednym babsztylem" to był pikuś. Nie powiem, kręcą mnie stewardesy i seksdyplomacja, którą ambasadorowi Schnepfowi kiedyś chciałem polecić: trzeba kobitę wziąć i... będzie dobrze. Inaczej bullshit kompletny. Płytka murzyńskość i robienie łaski.

PS Uprzedzając ewentualne pytania, dlaczego kieruję ten list polecający, głównie samego siebie, na ręce Jego Ekscelencji Ambasadora Republiki Federalnej Niemiec, spieszę przypomnieć prowadzoną przeze mnie politykę zagraniczną. Zawartą w słowach, nazwanych przez polską prawicę „hołdem berlińskim", gdy błagałem Niemcy, by wzięły na siebie rolę przewodnika Europy, ponieważ „mniej się obawiam niemieckiej siły, niż zaczynam bać się niemieckiej bezczynności". Dotyczy to, oczywiście, także mojej kampanii prawyborczej. Najuprzejmiej zatem proszę Państwa o poparcie zgłoszenia przez moją osobę kandydatury na kandydata w prawyborach wyborczych Koalicji Obywatelskiej. Jestem gotów przyjąć na barki ciężar zarówno porażki, jak i zwycięstwa. Moje hasło, o czym poinformowałem już w internecie, brzmi: „Nasz Sikorski".

Wasz Sikorski

39/1019/F

eprasa.pl f85080dd20

TAURON

LOTERIA



Wygraj 100 000 zł

lub jedną ze stu nagród po **1000 zł**

- Zaloguj się do serwisu **mojtauron.pl**
- Kliknij w baner o loterii, który znajdziesz pod sekcją „Moje umowy"
- Wypełnij i wyślij zgłoszenie

Masz Mój TAURON, masz szczęście!

Organizatorem loterii jest Agencja Reklamowa CzART Sp. z o.o. na zlecenie TAURON Sprzedaż sp. z o.o. z siedzibą w Krakowie oraz TAURON Sprzedaż GZE sp. z o.o. z siedzibą w Gliwicach.
Loteria trwa od 21 października 2019 roku od godziny 10.00 do 10 grudnia 2019 roku do godziny 10.00.
Szczegóły w regulaminie loterii dostępnym na www.mojtauron.pl

mojtauron.pl

eprasa.pl f85080dd20

Nowy głos w Kortezach

Hiszpania

W Hiszpanii doszło do przedterminowych wyborów, ponieważ układ, jaki powstał w parlamencie po ostatniej kwietniowej elekcji, nie był w stanie wyłonić stabilnego rządu. Obecnie po raz drugi z rzędu najwięcej głosów zdobyła partia socjalistyczna PSOE. Trudno jednak uważać ją za zwycięzcę, ponieważ uzyskała mniej mandatów niż poprzednio. Swój stan posiadania w parlamencie zmniejszyło też lewackie ugrupowanie Podemos. Trudno będzie więc lewicy sformować nowy gabinet. Do tego potrzebne byłoby porozumienie z katalońskimi separatystami, a na to są małe szanse. To przecież socjalistyczny rząd Pedra Sáncheza sprawił, że Barcelona stała się areną ulicznych walk i masowych protestów. Nie jest więc wykluczone, że Hiszpania podąży drogą Izraela i na skutek powyborczego pata oraz niemożności wyłonienia nowego gabinetu rozpisane zostaną trzecie w krótkim odstępie czasu przedterminowe wybory.

Największym zwycięzcą listopadowej elekcji jest z pewnością konserwatywna partia VOX, która jeszcze rok temu nie miała żadnego posła, a dziś posiada 52 mandaty. To bardzo ważne, ponieważ w Hiszpanii, żeby złożyć skargę do Trybunału Konstytucyjnego, potrzebne są podpisy minimum 50 parlamentarzystów. Politycy VOX już zapowiedzieli, że będą zaskarżać jako niekonstytucyjne wszystkie lewicowe ustawy godzące w życie ludzkie, dobro rodziny czy wolność słowa, sumienia i wyznania. To znamienne, że dotychczas posłowie chadeckiej Partii Ludowej przez lata ani razu nie skorzystali z tej możliwości i nie zaskarżyli żadnej z kontrowersyjnych ustaw lewicy, np. prawa do aborcji dla 16-latek bez konieczności powiadamiania o tym rodziców.

Liderzy VOX zapowiadają, że to się zmieni. Nawet jeśli nie uda im się zablokować niektórych projektów, to jednak zwrócą uwagę opinii publicznej na istnienie wartości nienegocjowalnych, niepodlegających żadnym kompromisom. Dotychczasowa postawa Partii Ludowej sprawiała bowiem wrażenie, jakby dla hiszpańskiej prawicy wszystko było płynne, pozbawione trwałych zasad i norm.

Grzegorz Górny

Czyżby latynoska wiosna?

Boliwia

Przyczyny upadku Eva Moralesa, wieloletniego prezydenta Boliwii, warte są analizy, bo niewykluczone, że są zwiastunem tego, co będzie się działo na kontynencie południowoamerykańskim w nadchodzących latach. Powodem trwających kilka ostatnich tygodni niezwykle burzliwych protestów, które doprowadziły do załamania się władzy rządzącej lewicowej formacji MAS (Ruch na rzecz Socjalizmu), nie były problemy gospodarcze. Wręcz przeciwnie, w ostatnich latach ekonomia tego kraju, którego gospodarka oparta jest głównie na wydobyciu surowców, przeżywała rozkwit i rozwijała się w tempie porównywalnym z Chinami. Ze społecznego punktu widzenia prezydenturę Moralesa również można uznać za sukces – w ciągu ostatnich kilkunastu lat udało się znacząco zmniejszyć poziom nierówności. O ile poniżej progu ubóstwa w 2002 r. żyło 63 proc. Boliwijczyków, o tyle w 2018 r. wskaźnik ten wynosił 35 proc. Tym korzystnym trendom gospodarczym i społecznym towarzyszyły zmiany polityczne, które doprowadziły do znacznego wzrostu zaangażowania w sprawy publiczne rdzennej indiańskiej ludności kraju, która stanowi 60 proc. populacji Boliwii. Mimo radykalnej retoryki Boliwii udało się też utrzymać, w przeciwieństwie do Wenezueli, dość poprawne stosunki ze Stanami Zjednoczonymi. Co zatem wywołało falę protestów, które doprowadziły do krachu reżimu Moralesa i jego ucieczki z kraju?

Bezpośrednim powodem były machinacje wyborcze ludzi Moralesa w trakcie niedawnych wyborów prezydenckich. W boliwijskim ustawodawstwie wyborczym znajduje się zapis, który nakazuje przeprowadzenie drugiej tury, o ile różnica między pierwszym a drugim kandydatem wynosi mniej niż 10 proc. Wszystko wskazywało na to, że tak właśnie będzie 20 października, kiedy odbyło się głosowanie. Po przeliczeniu 83 proc. głosów Moralesa i konkurującego z nim lidera opozycji profesora historii Carlosa Mesę dzieliło 7 proc. Jednak wówczas „system się zawiesił" i przez następne cztery dni nie działał, aż do momentu, kiedy komisja wyborcza podała oficjalne wyniki, w świetle których prezydent Boliwii wygrał różnicą 10,1 proc. głosów. Wywołało to powszechne oburzenie, które wzrosło, gdy przedstawiciele Organizacji Państw Amerykańskich opublikowali raport zarzucający ekipie Moralesa fałszerstwa i proponujący powtórzenie wyborów.

Trudno było nie dojść do wniosku, że Morales robi wszystko, aby pozostać przy władzy, tym bardziej że już dwukrotnie forsował rozwiązania pozwalające mu obejść konstytucyjny zakaz sprawowania więcej niż dwóch kadencji. Najpierw w 2009 r. nowa konstytucja „nie zauważyła" jego pierwszej kadencji (od 2006 r.), a potem po przegraniu w 2016 r. referendum w sprawie zakazu doprowadził do kontrowersyjnej interpretacji Sądu Najwyższego, który uznał, że zapis uniemożliwiający mu pozostanie przy władzy jest „sprzeczny z prawami człowieka".

Morales, zawsze pełen frazesów o demokracji, nie przewidział jednak tego, że Boliwijczycy w końcu potraktują te frazesy poważnie.

Marek Budzisz



Evo Morales

eprasa.pl f85080dd20



Fot. Jani Riekkinen/Shutterstock.com

Szwecja

Wielokulturowy koszmar

„W Szwecji zaczynają powoli panować warunki meksykańskie” – twierdzi dziennik „Svenska Dagbladet”. Strzelaniny, zamachy bombowe i podpalenia stały się według gazety codziennością w kraju, który do niedawna uchodził za jeden z najbezpieczniejszych na świecie. To wynik wojny imigranckich gangów o kontrolę nad handlem narkotykami. Dwa tygodnie temu w Malmö zginął 15-letni chłopiec, a inny nastolatek został ciężko ranny. Strzelaninę poprzedził wybuch bomby w samochodzie. Tylko w tym roku doszło w Szwecji do 187 zamachów bombowych. Dla porównania w 2018 r. było ich 152.

Gwałtownie rosnąca przestępczość w Szwecji stała się przyczyną tymczasowego przywrócenia kontroli na granicy z Szwecją. Od lutego w Kopenhadze eksplodowało bowiem 13 bomb podłożonych przez „przestępców z Szwecji”. Duńskie władze są zdeterminowane, by nie pozwolić, aby przemoc panująca w sąsiednim kraju rozlała się na terytorium Danii. W czerwcu w Kopenhadze doszło do podwójnego zabójstwa, które według ministra sprawiedliwości Nicka Hækkerupa było wynikiem porachunków między szwedzkimi grupami przestępczymi. „Nie chcemy tej przemocy u nas” – podkreślił Hækkerup.

Szwedzki rząd ogłosił 34-punktowy plan walki z przemocą, rozszerzając znacznie uprawnienia policji i zatrudniając ekspertów wojskowych, którzy rozbrajali bomby w Afryce i Afganistanie. Tymczasem fala przemocy trwa. W czerwcu 25 osób zostało rannych w wybuchu bomby w Linkoping, miesiąc temu eksplozja częściowo zniszczyła blok mieszkalny w sztokholmskiej dzielnicy Sodermalm. Szwedzka policja uspokaja obywateli, że „nie mają się czego obawiać”, bo nie są bezpośrednim celem ataków. Niemniej jednak zamachy bombowe i strzelaniny, do których jeszcze rok temu dochodziło głównie na przedmieściach, teraz dzieją się w samym sercu dużych miast. W Malmö doszło na początku listopada aż do trzech eksplozji w ciągu zaledwie 24 godzin. Zdaniem szwedzkiego kryminologa Amira Rostamiego porównywalny poziom przemocy panuje tylko w Meksyku.

Szwedzka policja nie zbiera ani nie publikuje informacji o pochodzeniu etnicznym sprawców, ale szefowa wywiadu szwedzkiej policji Linda H. Straaf przyznała w rozmowie z BBC, że „większość to imigranci drugiego i trzeciego pokolenia”. Szwecja przyjęła na przełomie lat 2015/2016 największą liczbę azylantów na głowę ze wszystkich krajów Unii Europejskiej. „Nic – jak podkreśla Straaf – nie wskazuje jednak na to, że nowi przybysze są odpowiedzialni za rosnącą przemoc”. Szwedzi zaczynają się jednak zastanawiać, czy ich kraj to urzeczywistniony utopijny sen, czy wielokulturowy koszmar.

Aleksandra Rybińska

Fot. Frederic Legrand-COMEO/Shutterstock.com

Kreml boi się internetu

Rosja

1 listopada w Rosji weszła w życie ustawa o tzw. suwerennym internecie. Operatorzy internetowi będą odtąd zobowiązani m.in. do udzielania organom państwa informacji na temat sposobu wykorzystywania sieci, obsługiwanych adresów sieciowych, a także do współdziałania z organami ścigania. Celem ustawy jest ochrona rosyjskiego segmentu internetu (tzw. Runetu) przed „zagrożeniami zewnętrznymi” i zabezpieczenie jego funkcjonowania na wypadek odcięcia od zagranicznych serwerów, co ma zostać osiągnięte dzięki stworzeniu zduplikowanej infrastruktury sieciowej.

Moskwa sugeruje oczywiście, że największym zagrożeniem są Amerykanie. Jednak w rzeczywistości chodzi nie tyle o amerykańskich hakerów, ile o obawy Kremla przed niekontrolowanym przepływem informacji w sieci. I o przeświadczenie, że amerykańskie służby będą próbowały podburzyć Rosjan przeciwko władzy. Jeśli więc ktoś odetnie im dostęp do sieci, to raczej nie będą to Amerykanie, lecz Kreml.

Jedną z pierwszych ofiar nowej ustawy może stać się Wikipedia. Prezydent Putin bowiem zaproponował, aby wykorzystując nowe możliwości techniczne, zastąpić popularną encyklopedię internetową autoryzowaną przez władze Wielką Encyklopedią Rosyjską. Dzięki temu – jak zaznaczył Putin – Rosjanie zyskają w sieci „wiarygodne informacje w dobrej, nowoczesnej formie”.

Prezydenta wsparła natychmiast rosyjska Cerkiew prawosławna. Patriarcha Moskwy i Wszechrusi Cyryl stwierdził, że internet ma „katastrofalny wpływ na młodzież”, a społeczeństwo nie jest w stanie „odeprzeć jego niszczycielskiej siły”. Przemawiając na kongresie Towarzystwa Literatury Rosyjskiej, Cyryl zrelacjonował rozmowę dwóch napotkanych przez siebie młodych ludzi, po której uświadomił sobie, że „wszystkie ich marzenia są związane z innymi krajami i z inną kulturą”. Z tego powodu – jak twierdzi patriarcha – młodzi ludzie w Rosji nie znają już rosyjskiej kultury i historii, co prowadzi do zaniku patriotyzmu.

Słowa Cyryla, który gorąco popiera cenzurę internetu, wskazują jednak jednocześnie, że ta strategia jest nieskuteczna. Ograniczanie dostępu do liberalnych i antykremlowskich treści ma bowiem miejsce w Rosji już od kilku lat. Mimo to, jak wynika ze słów patriarchy, młodzi ludzie wcale się nie uodpornili na „niszczycielskie” treści. Być może więc problem wcale nie tkwi w internecie?

Konrad Kołodziejski

eprasa.pl f85080dd20

I ŚMIESZNO, I STRASZNO

Intensywny tydzień



Jan Pietrzak

W dniu Narodowego Święta Niepodległości, kiedy dziesiątki tysięcy Polaków ruszało na Marsz Niepodległości, pod palmą na rondzie de Gaulle'a zebrało się kilka małp, by przeszkodzić radosnej patriotycznej manifestacji. Nawiasem mówiąc, nie wiadomo dlaczego ta palma tam ciągle stoi. Zainstalowano ją kilkanaście lat temu jako jednorazowy happening uliczny, mający zwrócić uwagę na karygodny brak palm wśród sosnowych lasów Niżu Polskiego. Stać prawdopodobnie będzie do końca kadencji, bo jest symbolem kiczowatych rządów warszawskiego ratusza.

11 listopada stała się miejscem zbiórki osobników, którzy z nienawiści do Polski zrobili sobie intratny interes. Prowokacja się nie powiodła. Policja niezwykle delikatnie, z pełnym szacunkiem, przenosiła małpy na pobliski skwerek, zwracając uwagę, by żadne stworzenie nie doznało uszczerbku na zdrowiu i urodzie. Rozdrażnione małpy szybko znalazły sobie inne miejsca do hasania. Któraś wskoczyła do zabawkowego czołgu z tektury, by przeszkadzać zmianie honorowej warty. Część małpiarni wypisała na transparentach złośliwe pytanie „Gdzie jest wrak?", które służy drażnieniu Polaków. Akurat na to pytanie można odpowiedzieć bardzo łatwo: „Wrak jest tam, gdzie zostawił go Tusk". Na pierwszym posiedzeniu Sejmu małpiszon podobny do znanego posła wskoczył na mównicę, by zgłosić wniosek formalny, i odśpiewał hymn tak fałszywie, że włączył się alarm w stadzie. W stosunku do tego, co wyprawiali w ubiegłych latach, to są głupstewka. Widać w stadzie niepewność i brak nowych instrukcji.

A dla nas minął intensywny tydzień: wzniosła rocznica odzyskania niepodległości i dobry czas budowania nowej Polski. Historia splotła się z teraźniejszością, kierując myśli ku wyzwaniom przyszłości. Dorzucę z własnego podwórka, że Towarzystwo Patriotyczne tradycyjnie przyznało nagrody Żeby Polska Była Polską wybitnym Polakom. Otrzymali je: reżyser filmowy Robert Kaczmarek, lubiany na tych łamach prof. Aleksander Nalaskowski, publicysta ekonomiczny Janusz Szewczak oraz Krzysztof Wyszkowski, wybitna postać Wolnych Związków Zawodowych, z których wyrosła Solidarność. Dzięki niej mamy niepodległą Polskę.

Moc żelaznej więzi



Z Moniką Jordan-Młodzianowską, reżyserką filmu „Żelazny most", rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Czym jest żelazny most?

Monika Jordan-Młodzianowska: Technicznie rzecz ujmując, to część lutniociągu, który napowietrza kolejne poziomy kopalni. W sytuacjach ekstremalnych bywa on jedyną szansą komunikowania się, za pomocą uderzeń, uwięzionych na dole górników z ludźmi na powierzchni. Jako tytuł filmu ma metaforyczne znaczenie. Mocnej i trwałej – bo żelaznej – więzi; czegoś, co opiera się na bezwzględnym zaufaniu, które jest warunkiem pracy w kopalni. Taka „konstrukcja" jest w opozycji do „spalonego mostu", który zostawia się za sobą, zrywając relacje. Na ile ta „żelazna więź" jest trwała, można się przekonać, obserwując troje bohaterów, którzy znaleźli się w sytuacji ekstremalnej.

Wielkim walorem pani filmu jest nowe spojrzenie na wnętrze kopalni. Skąd wiedza na ten temat?

Pochodzę z Bolesławca, miasta związanego z wydobyciem miedzi, i tego typu kopalnia – rządząca się trochę innymi prawami – miała występować w filmie. Na poziomie preprodukcji musiałam jednak zdecydować, czy rezygnuję z kluczowej górniczej metafory, czy przenoszę się do kopalni węgla kamiennego.

I zjechała pani w dół? Ile metrów?

Poniżej tysiąca. Spędziliśmy tam całą zmianę. Doszliśmy na przodek i na ścianę. Kilkanaście kilometrów w nogach. Nie tylko doświadczyłam wtedy, ale wręcz usłyszałam (bo włączają się inne zmysły) tzw. ciemność absolutną. Zobaczyłam, jak silnym i wytrzymałym trzeba być, by móc pracować pod ziemią. Zależało mi, żeby ten charakter widać było też w filmie.

Więcej o filmie na s. 54–55

Fot. Sebastian Wolny

eprasa.pl f85080dd20

BRONISŁAW WILDSTEIN

Gen autodestrukcji

Dziś manifestanci występujący „w obronie konstytucji", do której nigdy nie zajrzeli i nie mają pojęcia o polityce, uwierzyli, że rzeczywiście bronią wolności przed brunatną dyktaturą, i nie zdają sobie sprawy, że w rzeczywistości walczą o władzę oligarchii



Fot. Andrzej Wiktor

Czy opozycja odejdzie od totalnej formuły? Sugerowałby to wybór marszałek Sejmu Elżbiety Witek, przeciw której byli wyłącznie posłowie Konfederacji. Z przemówieniem odwołującym się do fundamentów demokracji, jakie stanowi wspólne dobro, wystąpił lider PSL Władysław Kosiniak-Kamysz. A totalna opozycja, jak sami siebie nazwali przeciwnicy PiS w poprzedniej kadencji, jest głęboko antydemokratyczna.

Owszem, opozycja z natury rzeczy krytykuje rządzącą większość, patrzy jej na palce, ale nie usiłuje jej delegitymizować, a to oznacza w swoim totalnym wydaniu. W wypadku PiS jego prawo do rządzenia zostało zakwestionowane bezpośrednio po wyborach, a nawet przed, kiedy w trakcie kampanii ówczesna władza i cały obóz III RP głosili, że zwycięstwo tego ugrupowania to koniec demokracji. Ponieważ partia Kaczyńskiego w żadnym momencie nie podważała tego ustroju ani nie zgłaszała żadnego sprzecznego z nim postulatu, tezy te można zrozumieć w jeden sposób: jeśli obywatele nie będą głosować po myśli establishmentu, ich wybór nie zostanie uznany. I tak faktycznie się stało. Pierwszy rząd PiS powołany został 16 listopada 2015 r., a 19 listopada na Facebooku utworzony został Komitet Obrony Demokracji. Nowy rząd nie zdążył podjąć jeszcze żadnej decyzji.

Kwestionowanie prawa do sprawowania władzy ze strony PiS poprzedzone było akcją delegitymizowania go jako opozycji. Dwie kadencje rządów PO-PSL to permanentny atak na tę partię, w którym wezwania do jej delegalizacji nie były rzadkością.

Jak zawsze więc w III RP i – szerzej – w modelu „demokracji liberalnej" mamy do czynienia z odwróceniem znaczeń. Uderzenie w demokrację nazywane jest jej obroną. Tyle że w Polsce przestało przynosić to polityczne korzyści. Zrozumiał to lider PO Grzegorz Schetyna, który już w trakcie minionej kadencji próbował wycofać się z modelu totalności. W odpowiedzi został napiętnowany przez „Wyborczą" et consortes i pokornie wrócił do postawy, której oczekiwali od niego pozapartyjni obrońcy ancien régime'u. Wydarzenie to raz jeszcze dobitnie pokazało, gdzie jest ośrodek decyzyjny III RP i że polityka w tym modelu służy silnym, a więc demokracją pozostaje jedynie z nazwy.

Również ci silni powinni jednak zorientować się, że totalność nie pomaga ich celom.

Coraz częściej zastanawiam się, czy zajadłość, z jaką dominujące ośrodki III RP atakują swoich przeciwników, odwołując się do zagranicznych patronów, jest wyłącznie podszytą kolonialną mentalnością obroną ich interesów? Czy nie przechował się w tym zachowaniu dawny gen anarchicznej autodestrukcji wpisany w głębokie warstwy kultury polskiej? Jeśli Solidarność była odrodzeniem republikańskiej postawy, która wykształciła się w Polsce w trakcie trwania demokracji szlacheckiej, czy w mentalności naszej nie przetrwał także eksces wolności, który prowadził do jej zaprzeczenia i śmierci Rzeczypospolitej?

Targowica jest skrajnym i symbolicznym wcieleniem tej postawy, ale obecna była ona w Polsce dużo dawniej. Szlachta, niwecząc wszelkie próby wzmocnienia państwa, wyobrażała sobie, że broni złotej wolności i przysługujących sobie praw, gdy w rzeczywistości od dawna była całkowicie zależna od magnaterii. Faktycznie więc broniła się przed swoim wyzwoleniem. Dziś manifestanci występujący „w obronie konstytucji", do której nigdy nie zajrzeli i nie mają pojęcia o polityce, uwierzyli, że rzeczywiście bronią wolności przed brunatną dyktaturą, i nie zdają sobie sprawy, że w rzeczywistości walczą o władzę oligarchii.

Analogie bywają uderzające. Jedna z głośnych broszur opublikowana w 1677 r. i wymierzona w Jana III Sobieskiego projektowała przekształcenie kraju w federację składającą się z czterech faktycznie niezależnych prowincji, a rola władzy centralnej z królem na czele miała być czysto formalna. Czy nie przypomina nam to manifestu „Samorządna Rzeczpospolita" ogłoszonego 4 czerwca tego roku w Gdańsku i przyjętego z aplauzem przez partię Schetyny, który wzywa do radykalnego ograniczenia, właściwie ubezwłasnowolnienia, władzy centralnej, likwidacji urzędu wojewody i przekształcenia Polski w rodzaj federacji regionów?

W drugiej połowie XVII w. Polska była jeszcze znaczącym, ale już fundamentalnie zagrożonym państwem, a wszelkie próby królewskich reform były blokowane przez posługującą się szlachtą magnaterię wspomaganą przez ogromne fundusze wydatkowane w tym celu przez państwa ościenne. Dziś łapówki zastępowane są oficjalnymi dotacjami, stypendiami i nagrodami. Nieprawne manipulacje europejskie potęgi wymieniły na działania instytucji unijnych z TSUE na czele.

Na ile gen autodestrukcji jest trwały w naszej kulturze?

eprasa.pl f85080dd20

OGNIEM NA WPROST

Wolność i butelka wódki



Nie najlepiej dzieje się w Kościele. Po ostatnich „wyczynach" papieża Franciszka związanych z obnoszeniem się po ogrodach watykańskich bałwochwalczym kultem drewnianego wizerunku Pachamamy – amazońskiej bogini Ziemi, stu duchownych i świeckich katolików z USA, Niemiec, Anglii i innych krajów opublikowało swoje oświadczenie. Zatroskani księża i wierni zwracają uwagę, że jasełka Franciszka z okazji synodu amazońskiego są obrazą Boga, łamią bowiem pierwsze i zatem najważniejsze przykazanie „Nie będziesz miał bogów cudzych przede mną". Szczególnie bolesne okazało się wydobycie z Tybru utopionego przez zbulwersowanych katolików „bałwana" Pachamamy i ponowne umieszczenie go w świątyni Santa Maria Traspontina. W ten sposób doszło do ponownej desakralizacji kościoła. Jakby tego było mało, podczas mszy św. na zakończenie synodu amazońskiego Franciszek przyjął czaszę używaną podczas bałwochwalczego kulty Pachamamy i umieścił ją na ołtarzu. Jak tak dalej pójdzie, będzie się można zwrócić niebawem do Ojca Świętego z pisemną prośbą o zniesienie np. szóstego przykazania, bo pierwsze w zasadzie znalazło się w stopniowej likwidacji. Tylko niech Wasza Świątobliwość raczy się pośpieszyć, bo nam latka lecą i czasu coraz mniej.

Wogóle nasz papież jest mistrzem w wygłaszaniu prawd oczywistych, choć jeśli chodzi o bardziej skomplikowane, ma z tym niejaki problem. Niedawno odniósł się do naszego stosunku do starszych braci w wierze. „Byliśmy przekonani, że antysemityzm przeminął, ale obecnie w wielu miejscach świata się odradza" – stwierdził biskup Rzymu. Po czym dodał: „Bracia i siostry: to nie jest ani ludzkie, ani chrześcijańskie. Żydzi są naszymi braćmi i nie wolno ich prześladować". Zrozumiano? Ja tam rozumiem to, odkąd po raz pierwszy poszedłem do Kościoła. Podobnie wszyscy katolicy, których znam osobiście, ale co na to radykalniejszy odłam Konfederacji?

Zostawmy papieża w spokoju, a zerknijmy na najnowsze wyczyny nieustającego w swoich staraniach o realizację wizji „nowego wspaniałego świata" międzynarodowego lobby LGBT. Teraz kombinują nad Disneylandem i filmami dla dzieci, by najmłodsi poddali się ich ideologii. Usilnie pracują nad słynną wytwórnią filmową, która wyprodukowała tak słynne postaci jak Kaczor Donald czy Myszka Miki. Chcą ją przekształcić w globalne narzędzie genderowej indoktrynacji dzieci. Ledwo organizacjom zwalczającym poważne odchyły od normy udało się w 2016 r. zablokować homoseksualny wątek w filmie „Kraina lodu", by temat powrócił. Niebawem wejdzie na ekrany „Kraina lodu 2", a aktywiści LGBT już lobbują, by królowej Elsie towarzyszyła przyjaciółka lesbijka, ale tym razem w trzeciej części produkcji Disneya. Nie ukrywajmy. Wszak tajemnicą poliszynela wytwórni Walta Disneya jest to, że myszki Pixie i Dixie były lesbijkami, a dręczony przez te gryzonie biedny kot Jinks – męskim szowinistą i homofobem.

Dziennikarz i reporter Radia Gdańsk Maciej Naskręt pozwolił sobie opublikować w mediach społecznościowych nagranie z monitoringu Biedronki. Widać na nim prezydent Gdańska Aleksandrę Dulkiewicz w towarzystwie trzech ochroniarzy, która kupuje butelkę wódki i popitkę – dwie cole. Naskręt ujawnił je na Twitterze, komentując: „Takie video z #asikorka do mnie dotarło – konwój zachwycony, było bezpiecznie – a to wszystko z kasy miejskiej. Czy to jest w porządku?". No i rozpętało się piekło. Na dziennikarza rzucił się praktycznie prawie cały Gdańsk z portalem trójmiasto.pl włącznie, w którym pracował 10 lat. „Post był niezgodny z naszymi zasadami korzystania z mediów społecznościowych. Maciej Naskręt jest obecnie w okresie wypowiedzenia i odchodzi z naszej redakcji" – tłumaczy zespół trójmiasto.pl. Zaatakowała go na Twitterze także posłanka Agnieszka Pomaska, a do sporu wtrącił się nawet Kamil Durczok, żądając reakcji środowiska. Jak wiadomo, alkoholowe klimaty są bliskie jego osobie. Mimo przeprosin i opuszczenia portalu szarża na Naskręta trwa. Dziennikarz informuje, że właśnie odebrał wezwanie na policję. „Grożą mi nawet 2 lata więzienia (art. 107.1 uodo) za umieszczenie w interesie publicznym filmu na Twitterze z prezydent Gdańska. Liczę na paczki pod wiadomy adres. #MałaSycylia" – napisał w sieci Naskręt. Dziennikarz ma niewielkie szanse na wyjście cało z tej sytuacji, ponieważ – jak powszechnie wiadomo – prezydent Gdańska od czasów Pawła Adamowicza jest dla tamtejszych mediów i nie tylko osobą świętą. Każda ręka podniesiona na majestat gdańskiego magistratu w tym mieście „wolności (szczególnie mediów) i solidarności" musi uschnąć.

Andrzej Rafał Potocki

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f85080dd20

Polska wrażliwość i talent w cenie



Marta Kaczyńska-Zielińska

Międzynarodowy sukces poznańskiego fotografa można bez wątpienia zaliczyć do dobrej passy polskich artystów

Jesienią bieżącego roku na korytarzach sopockiej Państwowej Galerii Sztuki przez kilka tygodni była prezentowana kameralna wystawa fotografii Szymona Brodziaka. Kilkadziesiąt wystudiowanych czarno-białych ujęć w wyrazistym kontraście, świetnie uchwyconym świetle ukazało niezwykłą kreatywność, wrażliwość i wyobraźnię twórcy, który umiejscawia modelki w zaskakujących sceneriach i oryginalnych pozach. Część prac to ekskluzywne, typowo butikowe zdjęcia, wiele pozostałych nasuwa skojarzenia z kadrami poetyckiej, miejscami surrealistycznej opowieści i próbą zatrzymania ulotnej chwili po to, by ukazać piękno.

Sopocka wystawa Szymona Brodziaka ukazała zaledwie niewielki fragment dorobku artysty, który zdążył już dawno zaistnieć w światowej fotografii jako uznany twórca. W kwietniu 2019 r. zdobył pierwsze miejsce w konkursie World's Top Black & White Photographers 2019 by One Eyeland, która jest jedną z wiodących galerii internetowych i społecznością zrzeszającą najlepszych światowych fotografów. W tegorocznej rywalizacji oceniano ponad 2 tys. prac z 65 krajów. W tej konkurencji polski twórca, ekonomista, fotograf z pasji otrzymał największą liczbę punktów, potwierdzając tym samym najwyższy poziom profesjonalizmu i artyzmu. Szymon Brodziak jest najmłodszym artystą i jedynym Polakiem, który w ramach projektu zatytułowanego „Newton. Horvat. Brodziak" miał swoją wystawę w Muzeum Fotografii Helmuta Newtona w Berlinie. W 2013 r. w trakcie Festiwalu Filmowego w Cannes poznański fotografik otrzymał tytuł najlepszego na świecie fotografa czarno-białych kampanii reklamowych. Został doceniony także w USA, gdzie trzy lata temu zdobył pierwsze miejsce zarówno w konkursie International Photography Awards, jak i w Black & White Spider Awards. Także w 2016 r. w Paryżu uzyskał tytuł najlepszego fotografa reklamowego. W sumie Szymon Brodziak zdążył być już nagradzany ponad 50 razy.

Artysta określa się mianem „visualtellera", co w wolnym tłumaczeniu oznacza osobę opowiadającą historie poprzez fotografie. Swoje przyszłe kadry wyobraża sobie zawsze w czerni i bieli. Każda sesja to zasadniczo efekt wcześniej opracowanego scenariusza. Odwiedza zarówno industrialne wnętrza i przestrzenie, jak i snobistyczne pałace. Na zdjęciach widać precyzyjnie dopracowane detale i wyjątkowe, subtelne rysy modelek. Ciekawostką jest, że do wielu fotografii pozuje żona twórcy. Brodziak uznaje wyłącznie światło dzienne i naturalne, ograniczając się wyłącznie do korzystania z blendy. Poddaje się nieprzewidywalności i zmienności natury, czerpiąc z niej inspirację i w oparciu o jej kaprysy buduje nastrój fotografii.

Międzynarodowy sukces poznańskiego fotografa można bez wątpienia zaliczyć do dobrej passy polskich artystów, którzy od wielu lat z powodzeniem prezentują swoje dzieła w zagranicznych galeriach, odnotowując coraz większe zainteresowanie kuratorów i kolekcjonerów, a co za tym idzie wzrost – wartości sprzedawanych prac. Najbardziej cenionymi polskimi malarzami pozostają Roman Opałka i Wojciech Fangor, z młodszego pokolenia niezmiennie zainteresowanie utrzymuje Wilhelm Sasnal. Ugruntowaną pozycję w świecie rzeźby za granicą ma Igor Mitoraj, znany w Polsce przede wszystkim z sprawą intrygującej turystów w Krakowie głowy „Eros Bendato", czy „widoczny" zarówno w Krakowie, Bydgoszczy, Sopocie, jak i Juracie Jerzy Kędziora. W zagranicznym wzornictwie panuje moda na meble i elementy dekoracyjne wykonane metodą dmuchanej stali opracowanej przez polskiego projektanta Oskara Ziętę. W 2020 r. londyńska Tate Modern zaprezentuje retrospektywę Magdaleny Abakanowicz, której twórczość od dawna cieszy się niesłabnącym zainteresowaniem na całym świecie.

Panu

Jarosławowi Gowinowi,

Wiceprezesowi Rady Ministrów,
Ministrowi Nauki i Szkolnictwa Wyższego,

wyrazy głębokiego żalu i współczucia
z powodu śmierci

MATKI

składa

Prezes Trybunału Konstytucyjnego
Julia Przyłębska

28/1119/F

eprasa.pl f85080dd20

Zebrała ***Dorota Łosiewicz***

Połamania języka

Już niebawem z brytyjskich teatrów może zniknąć zwrot „Panie i panowie". Chcą tego środowiska LGBT. Ich zdaniem tradycyjne powitanie widowni może być obraźliwe dla osób, które nie identyfikują się z żadną z grup. „Sformułowanie: »Panie i panowie, prosimy o zajęcie miejsc« funkcjonowało w teatrze przez dekady. Jednak związek zawodowy Equity (ang. sprawiedliwość), którego przedstawicielami są aktorzy i performersi LGBT, zwrócił uwagę na »krzywdzący« zwrot" – donosi interia.pl. Teatr Narodowy w Wielkiej Brytanii zobowiązał się więc do nieużywania eleganckiego sformułowania „Panie i panowie". Jeśli jednak dawny zwrot zastąpi np. sformułowanie: „Ludzie, siadajcie", wówczas ludzie identyfikujący się jako inne gatunki, mogą poczuć się urażeni. Trudna sprawa z tym językiem. Nie nadąża za czasami.



1,2 mld zł

– tyle dochodów zdaniem prezydenta stolicy straci w 2020 r. Warszawa w wyniku zmian podatkowych, które wprowadził rząd PiS.

4,7 mld zł

– tyle w 2020 r. Warszawa wyda na edukację.

2,2 mld zł

– tyle na edukację daje Warszawie rząd.

Bez ojców



Francuski Senat zawiódł pokładane w nim nadzieje. Pary lesbijek będą mogły legalnie korzystać z technik wspomaganego zapłodnienia. Zgoda mężczyzn nie będzie wymagana. „Zwolennicy tradycyjnej rodziny nadzieje pokładali w Senacie, gdzie większość ma wciąż prawica. Ale na próżno. Przewodniczący izby wyższej parlamentu Gerard Larcher, choć wywodzi się z gaullistowskich republikanów, przyznał, że jest »dość otwarty« na projekt przepisów, które miesiąc temu przyjęła Izba Deputowanych" – informuje rp.pl. I jak tu z optymizmem patrzyć w przyszłość?

Fakty?

Parlament Europejski przyjął w Brukseli rezolucję krytykującą Polskę za projekt ustawy dotyczący edukacji seksualnej. PE zaapelował w rezolucji, aby polski parlament wstrzymał się od przyjęcia proponowanego projektu ustawy oraz „zapewnił młodzieży dostęp do kompleksowej edukacji seksualnej". Tymczasem od 1998 r. mamy w Polsce edukację seksualną typu A (w odróżnieniu od tej permisywnej typu B, obowiązującej np. w Szwecji, Wielkiej Brytanii czy Niemczech), prowadzoną na lekcjach WDŻ. Edukacja ta ma charakter prorodzinny i proabstynencki. Jest kompleksowa i wszechstronna. Jednocześnie przynosi lepsze skutki (mniej aborcji, wyższy wiek inicjacji seksualnej, mniej nieplanowanych ciąż). Jednak co eurodeputowanych mogą interesować fakty. Jeśli nie pasują do narracji, tym gorzej dla nich.



eprasa.pl f85080dd20



Czyje prawo?

Do udziału w szczycie ONZ w Nairobi, gdzie podjęto próbę przeforsowania aborcji jako prawa człowieka, nie zostały dopuszczone organizacje prorodzinne i prolife. Wzięły w nim za to udział największe organizacje proaborcyjne, w tym Planned Parenthood. Rząd USA i 10 krajów, w tym Polska, Brazylia i Węgry, sprzeciwiły się kontrowersyjnym celom i organizacji szczytu ONZ. No bo tego nienarodzonego człowieka nikt o wybór nie pyta i trudno aborcję uznać za jego prawo.

> Dzisiaj w naszym kraju łamie się Konstytucję, uchwala się prawa, które podporządkowują rządzącym niezależne instytucje, ogranicza się i atakuje swobodną wymianę myśli" – napisał Lech Wałęsa w dokumencie pozostawionym amerykańskim kongresmenom. Szkoda, że były prezydent niczego się nie nauczył i wciąż donosi.



Marsz, marsz

Niemieckim mediom nie spodobał się polski Marsz Niepodległości. Korespondent dziennika „Die Welt" w Polsce napisał na Twitterze, że to wydarzenie jest jednym z największych „spotkań prawicowych ekstremistów w Europie". Publiczna telewizja ZDF na swojej stronie internetowej zaś informowała, że „nacjonaliści" uczestniczący w marszu „podsycają nastroje przeciwko imigracji, homoseksualistom, Brukseli i wszystkiemu co jest »niepolskie«". I kto to mówi?! – chciałoby się zapytać. A tak na serio: trzeba mieć Polskę w sercu, żeby zrozumieć nasze święto.

Fot. Andrzej Wiktor (x2), Shutterstock (x4)

PRAWDA NIGDY NIE LEŻY POŚRODKU

Nie przesadzajmy z kompromisem



Dominik Zdort

Znana stacja telewizyjna. Program publicystyczny po inauguracji parlamentu nowej kadencji. Gościem jest młoda dziennikarka z pewnego popularnego medium. Prowadzący audycję wypytuje ją o wybór marszałka Sejmu. Przypomnijmy: za kandydaturą Elżbiety Witek były kluby PiS, PSL i SLD, KO wstrzymała się od głosu, przeciw głosowała Konfederacja. I to panią dziennikarkę oburzyło najbardziej. Nie jako obserwatorkę polityki i życia publicznego, ale jako kobietę – co podkreśliła. No bo jak 11 mężczyzn mogło głosować przeciw kandydaturze kobiety...

Wbrew pozorom dziennikarka nie reprezentowała środowiska feministycznego, lewicowego ani hiperpoprawnego politycznie. Wręcz przeciwnie, była z medium jednoznacznie kojarzonego z prawicą. Jej intencją, jak rozumiem, nie było stwierdzenie, iż panowie posłowie w ten sposób po raz kolejny zademonstrowali pragnienie patriarchalnej dominacji nad światem, ale zachowali się po prostu niegrzecznie, nieelegancko.

Bardzo mnie ubawiła ta argumentacja. Bo występująca w telewizji dziennikarka pomyliła dwa porządki: politykę z kulturą osobistą. Gdyby posłowie Konfederacji nie przepuścili Elżbiety Witek w drzwiach Sejmu, gdyby pierwsi wyciągali do niej rękę przy powitaniu, gdyby siadali pierwsi przy stoliku w restauracji – można by to uznać za nieeleganckie. Ale czy za niegrzeczne można uznać oddanie głosu w Sejmie przeciw kandydaturze kobiety?

Zastrzegę: dobra polityka to nie tylko polityka skuteczna, uprawiana zgodnie z zasadami, ale także ze zwykłymi kanonami grzeczności. Ale też, żeby nie było wątpliwości: nie mam na myśli zgody na wielogodzinne dyskusje i dzielenie włosa na czworo, gdy parlamentarny regulamin i zwyczajny rozsądek nakładają pewne ograniczenia. Co więcej – nie sądzę, aby zachowanie norm kultury nakładało na polityków konieczność szukania kompromisu. Jeśli jedna ze stron ma większość w danej izbie, to – po pełnej kurtuazji dyskusji – ma święte prawo do odrzucenia wszystkich poprawek mniejszości.

Koncyliacyjność jest zaletą i oznaką dobrego wychowania u cioci na imieninach, ale w parlamencie nie jest i nie powinna być wartością samą w sobie. Wręcz przeciwnie – bo zazwyczaj skutkiem kompromisu są rozwiązania pośrednie, niedokończone, kulawe. Porozumienia z politycznymi konkurentami trzeba więc szukać tylko wtedy, gdy dla jakiegoś pomysłu brakuje większości głosów.

Autor jest szefem portalu tygodnik.tvp.pl

eprasa.pl f85080dd20

RZECZY POSPOLITE

Jesteśmy wyspą



Tomasz ***Łysiak***

Msze św. we włoskich kościołach to dla mnie zawsze piękne przeżycie – szczególnie w takich świątyniach, które są wspaniałymi zabytkami kultury i sztuki. Człowiek uczestniczy w Chrystusowym misterium i jednocześnie czuje się uniesiony pięknem samego miejsca. Słowa Ewangelii brzmią jeszcze mocniej, gdy się zna i rozumie rangę znajdujących się w kościele świadectw przeszłości. Tak jak choćby w katedrze w Salerno, gdzie są zarówno grób św. Mateusza, jak i miejsce pochówku wspaniałego papieża Grzegorza VII. Niestety w Salerno, w trakcie niedzielnej sumy gromadzi się ok. 30–40 uczestników mszy. Z kolei gdy byliśmy na mszy św. w katedrze mediolańskiej, to garstka wiernych odgrodzona była specjalnymi linami od tłumu turystów, którzy robili zdjęcia chrześcijanom, jakby byli oni jakimś wymierającym gatunkiem.

Oczywiście te pojedyncze doświadczenia nie mogą stanowić żadnej podstawy do ujęć statystycznych, ale zbyt wiele razy byliśmy w Italii na mszy św. w pustej świątyni, by móc powiedzieć, iż to przypadek, że nie ma ludzi w kościołach. Ostatnio takim doświadczeniem był nasz udział w niedzielnej Eucharystii w rzymskiej bazylice San Clemente. Bazylika to prawdziwa perła, przede wszystkim z racji zachowanych kilku mieszczących się pod ziemią poziomów. Jest tam więc kościół z IV w. na „pierwszym piętrze" poniżej poziomu ulicy, pod nim kolejne „piętro", rzymskie, ze świątynią Mitry, a jeszcze pod nią pozostałości budynków, w których zapewne bywał św. Piotr. Do tego dodać trzeba freski, płaskorzeźby czy wreszcie były grobowiec św. Cyryla i ołtarz z jego relikwią. Na niedzielnej Eucharystii znów niestety była dosłownie garstka ludzi. I to pomimo świetnej posługi duszpasterskiej tamtejszych oo. dominikanów. Po wyjściu z kościoła można pójść ulicą San Giovanni in Laterano wprost do Koloseum. Na tym odcinku ulicy rządzą gejowskie knajpy, sklepy i hotele. Dwa różne światy.

Gdy więc człowiek w samym sercu łacińskiej chrześcijańskiej cywilizacji widzi objawy jej upadku – pusty kościół i gejów wywieszających tęczowe flagi na ulicy – to zaczyna zdawać sobie sprawę, iż jest szczęściarzem, bo mieszka w Polsce, wyspie normalności w butwiejącej Europie.

Świeczka Gersdorf



Piotr ***Cywiński***

„Niemcy przyznali sędzi Gersdorf 10 tys. euro. Mało, ale przecież nie o szmal tu chodzi..." – brzmiał tytuł mojego komentarza na portalu wPolityce.pl. Bo, jak podkreśliłem, „taką właśnie sumą dotowana jest Nagroda Demokracji". Co więcej, na końcu złożyłem „gratulacje dla pani sędzi Małgorzaty Gersdorf, 10 tys. piechotą nie chodzi, a poza tym przecież w ogóle nie chodzi o szmal...".

To ostatnie zdanie, acz bez gratulacji, znalazło się w „Komunikacie Rzecznika Prasowego SN" Michała Laskowskiego na portalu Sądu Najwyższego jako jeden z przykładów „rażącej nierzetelności dziennikarskiej – wydaje się, że przed informowaniem opinii publicznej o przyjęciu gratyfikacji, wypadało to po prostu sprawdzić". Pan rzecznik informuje, że pani sędzia jakoby „odmówiła przyjęcia gratyfikacji finansowej związanej z tą nagrodą [...] w dwa miesiące przed odebraniem nagrody". Piszę „jakoby" odmówiła, gdyż „pisma" Gersdorf „do przyznających" o tej odmowie nie widziałem, nie było też o tym słowa w ich informacjach ani w licznych relacjach medialnych, ale wierzę na słowo. Problem z rzetelnością ma jednak pan rzecznik, nie ja.

Nie napisałem, że sędzia odebrała pieniądze, gdybym to stwierdził, pewnie miałbym już pozew. Ironizowałem tylko, że suma, jaką dotowana jest niemiecka nagroda, stanowi tyle, co miesięczne zarobki pani sędzi: „Gdyby fundatorzy zadali sobie trud, znaleźliby wypowiedź nagrodzonej, że za dziesięć tysięcy można u nas żyć dobrze tylko na prowincji... A może wyszli z założenia, że nie o szmal tu chodzi, lecz o sprawę. Bo sprawa jest". Mój komentarz dotyczył w całości właśnie tej sprawy: przyprawiania polskiemu rządowi gęby reżimu, który „chce zburzyć sądy, będące ostatnimi bastionami niezależności" w naszym kraju (to cytat z „Süddeutsche Zeitung"). „Odbieram tę nagrodę nie tyle w swoim imieniu, ale w imieniu polskiego społeczeństwa oraz wszystkich sędziów w Polsce, którzy mimo mowy nienawiści, ograniczania ich praw, niekonstytucyjnych zmian w wymiarze sprawiedliwości [...] stoją na straży rządów prawa, praworządności i praw człowieka", oznajmiła laureatka zagranicy w okazjonalnym spiczu, który portal Wirtualnej Polski zatytułował: „Mocne słowa Gersdorf w Niemczech o Polsce. »Autorytaryzm wyborczy«".

Trudną rolę ma rzecznik SN, musi bronić czegoś, co da się zrobić tylko w stylu samej sędzi Gersdorf, tak oto tłumaczącej swój udział w jednej z ulicznych demonstracji: „Dostałam tę świeczkę od organizatorów. Było ciemno, to ją wzięłam. To nie jest tak, że chodziłam i demonstrowałam z tymi świecami"...

eprasa.pl f85080dd20

RYSUJE ANDRZEJ KRAUZE



SIECI

ISSN 2544-2694

www.wSIECIprawdy.pl

REDAKTOR NACZELNY: JACEK KARNOWSKI

E-MAIL: REDAKCJA@FRATRIA.PL
TEL. (22) 616 36 00, (22) 718 30 61, (22) 463 49 95
UL. FINLANDZKA 10, 03-903 WARSZAWA

AUTORZY: ŁUKASZ ADAMSKI, PRZEMYSŁAW BARSZCZ, ADAM CIESIELSKI, PIOTR CYWIŃSKI, LESZEK DŁUGOSZ, KRZYSZTOF FEUSETTE, MARCIN FIJOŁEK, WITOLD GADOWSKI, JOLANTA GAJDA-ZADWORNA, GRZEGORZ GÓRNY, KRYSTYNA GRZYBOWSKA, JERZY JACHOWICZ, STANISŁAW JANECKI, MARTA KACZYŃSKA-ZIELIŃSKA, JACEK KARNOWSKI, MICHAŁ KARNOWSKI, KONRAD KOŁODZIEJSKI, CEZARY KOWALSKI, ANDRZEJ KRAUZE, JAROMIR KWIATKOWSKI, DOROTA ŁOSIEWICZ, TOMASZ ŁYSIAK, RYSZARD MAKOWSKI, MAJA NARBUTT, MARZENA NYKIEL, MACIEJ PAWLICKI, JAN PIETRZAK, JAN POSPIESZALSKI, ANDRZEJ RAFAŁ POTOCKI, MAREK PYZA, WOJCIECH RESZCZYŃSKI, JAN ROKITA, ALEKSANDRA RYBIŃSKA, PRZEMYSŁAW SKRZYDELSKI, WOJCIECH STANISŁAWSKI, WIKTOR ŚWIETLIK, MARCIN WIKŁO, BRONISŁAW WILDSTEIN, PIOTR ZAREMBA, RAFAŁ ZAWISTOWSKI, DOMINIK ZDORT, ANDRZEJ ZYBERTOWICZ

WYDAWCA: FRATRIA SP. Z O.O.
PREZES: ROMUALD ORZEŁ
UL. LEGIONÓW 126-128,
81-472 GDYNIA
REDAKCJA@FRATRIA.PL, WWW.FRATRIA.PL

DYREKTOR WYDAWNICZY: MACIEJ WOŚKO
PRODUKCJA I DYSTRYBUCJA: JOANNA MAZUR, JOANNA.MAZUR@FRATRIA.PL
DYREKTOR ARTYSTYCZNY: MICHAŁ KORSUN, MICHAL.KORSUN@FRATRIA.PL
STUDIO GRAFICZNE: ANDRZEJ SKWARCZYŃSKI (KIEROWNIK), ANDRZEJ.SKWARCZYNSKI@FRATRIA.PL, LIDIA SŁOWIKOWSKA, ZBIGNIEW MALICKI
PROJEKT GRAFICZNY: MICHAŁ KORSUN
FOTOEDYCJA: ANNA ŁABĘCKA, ANIA.LABECKA@FRATRIA.PL, BARTŁOMIEJ SZYPERSKI, BARTLOMIEJ.SZYPERSKI@FRATRIA.PL
OBRÓBKA ZDJĘĆ: TOMASZ KIERAS

PRENUMERATA WYDANIA PAPIEROWEGO:
TEL. (22) 616 15 70, PRENUMERATA@FRATRIA.PL
REGULAMIN ORAZ WARUNKI PRENUMERATY NA STRONIE WWW.WSIECIPRAWDY.PL
WPŁAT ZA PRENUMERATĘ PROSIMY DOKONYWAĆ NA KONTO:
91 1240 5354 1111 0010 7713 6290
FRATRIA SP. Z O.O., UL. LEGIONÓW 126-128, 81-472 GDYNIA,
W TYTULE WPŁATY WPISUJĄC PEŁNE DANE ADRESOWE DO WYSYŁKI ORAZ RODZAJ PRENUMERATY
PRENUMERATA REALIZOWANA PRZEZ RUCH S.A.:
ZAMÓWIENIA NA PRENUMERATĘ W WERSJI PAPIEROWEJ I NA E-WYDANIA MOŻNA SKŁADAĆ BEZPOŚREDNIO NA STRONIE WWW.PRENUMERATA.RUCH.COM.PL.

EWENTUALNE PYTANIA PROSIMY KIEROWAĆ NA ADRES E-MAIL: PRENUMERATA@RUCH.COM.PL LUB KONTAKTUJĄC SIĘ Z CENTRUM OBSŁUGI KLIENTA „RUCH" POD NUMERAMI: 22 693 70 00 LUB 801 800 803 – CZYNNE W DNI ROBOCZE W GODZINACH 7^{00} – 17^{00}.
KOSZT POŁĄCZENIA WG TARYFY OPERATORA.

DRUK: WALSTEAD KRAKÓW SP. Z O.O.

DYREKTOR DS. ROZWOJU BIZNESU:
KATARZYNA MARCHEWKA – KATARZYNA.MARCHEWKA@FRATRIA.PL

BIURO REKLAMY:
REKLAMA@FRATRIA.PL, TEL. (22) 463 49 93
PAULINA KĄKOL – PAULINA.KAKOL@FRATRIA.PL
AGNIESZKA WOŹNIAK – AGNIESZKA.WOZNIAK@FRATRIA.PL
MARCIN DĄBROWSKI – MARCIN.DABROWSKI@FRATRIA.PL

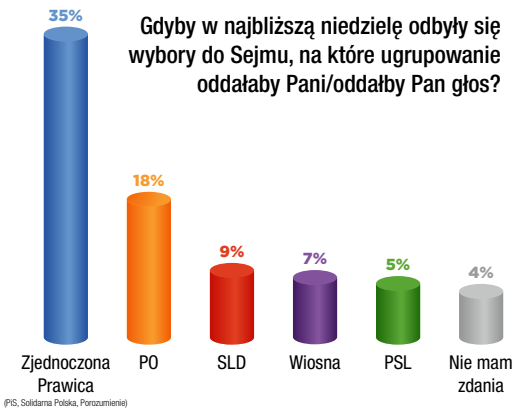
KOLPORTAŻ: KOLPORTAZ@FRATRIA.PL

REDAKCJA ZASTRZEGA SOBIE PRAWO DO REDAGOWANIA I SKRACANIA TEKSTÓW. COPYRIGHT © FRATRIA SP. Z O.O. WSZYSTKIE PRAWA ZASTRZEŻONE (WŁĄCZNIE Z TŁUMACZENIEM NA JĘZYKI OBCE). REDAKCJA NIE ZWRACA MATERIAŁÓW NIEZAMÓWIONYCH. OGŁOSZENIA I REKLAMY NIE STANOWIĄ MATERIAŁU POCHODZĄCEGO OD WYDAWCY. BEZUMOWNA SPRZEDAŻ NUMERÓW BIEŻĄCYCH I ARCHIWALNYCH PO CENIE NIŻSZEJ OD USTALONEJ PRZEZ WYDAWCĘ JEST ZABRONIONA, NIELEGALNA I GROZI ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ KARNĄ.

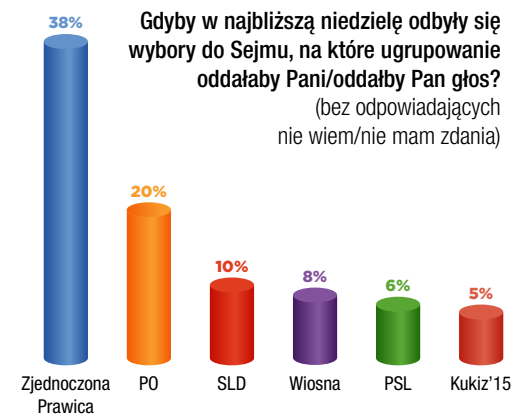
FOT. NA OKŁADCE: ANDRZEJ WIKTOR, WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER, ŁUKASZ SZELĄG/REPORTER, PIOTR MOLĘCKI/EAST NEWS, ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER, TOMASZ PACZOS/FOTONOVA, SHUTTERSTOCK

nasz sondaż — pracownia Social Changes dla wPolityce.pl

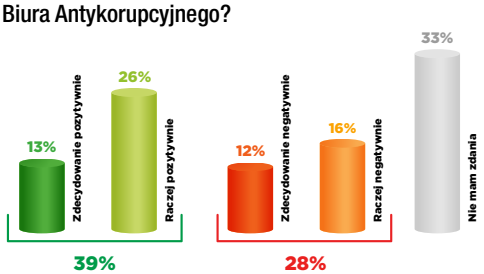
Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory do Sejmu, na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos?



Gdyby w najbliższą niedzielę odbyły się wybory do Sejmu, na które ugrupowanie oddałaby Pani/oddałby Pan głos?
(bez odpowiadających nie wiem/nie mam zdania)



Jak oceniasz pracę CBA, czyli Centralnego Biura Antykorupcyjnego?



Badania zrealizowane metodą CAWI (Computer Assisted Web Interview) na panelu internetowym. Badania przeprowadzone na ogólnopolskiej, reprezentatywnej (pod względem: płci, wieku, wielkości miejsca zamieszkania) próbie Polaków. W badaniu wzięło udział N=1033.

Zakres czasowy badania 1–5 listopada 2019 r.

eprasa.pl f85080dd20



Stawka większa niż

To wynik wyborów prezydenckich określi, czy Prawo i Sprawiedliwość będzie mogło nadal rządzić. Gdyby Andrzej Duda przegrał, mogłoby to oznaczać schyłek partii Jarosława Kaczyńskiego. W PiS jest tego świadomość, tym bardziej że nieoficjalny wyścig do pałacu rozpoczął się już na dobre. Obóz dobrej zmiany traktuje go niemalże jak grę o życie

Oficjalnie w sprawie wyborów prezydenckich nie wiemy dziś prawie nic poza tym, że się odbędą. Kiedy? Być może w najwcześniejszym możliwym terminie, czyli 10 maja. Ilu będzie kandydatów – nie wiadomo. Jasne jest natomiast to, że zaledwie moment po sformowaniu się nowego parlamentu największe partie polityczne już skupiają swoją uwagę na walce o najwyższy urząd w państwie. Przejęcie Senatu przez opozycję sprawia, że elekcja prezydencka nabiera jeszcze większego znaczenia. Ta kampania będzie ostra i wyniszczająca, najpierw o to, by dostać się do drugiej tury. Wszystko wskazuje, że w tej konkurencji będzie się liczyło tylko troje kandydatów.



MAREK PYZA MARCIN WIKŁO

eprasa.pl f85080dd20



Fot. fot. Krzysztof Sitkowski/KPRP

pałac

JAK DOGONIĆ DUDĘ?

Andrzej Duda swoją kampanię do wyborów w 2020 r. zaczął w zasadzie w styczniu 2015 r. To wtedy w Polskę ruszył dudabus i przedzierając się najpierw przez zaśnieżone północne Mazowsze, dowiózł kandydata PiS aż do pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Zwycięzca obiecał wtedy, że odwiedzi każdy powiat w Polsce (314 powiatów i 66 miast na prawach powiatu) i słowa dotrzyma jeszcze w tym roku, gdy dotrze do Gryfic na zachodnim Pomorzu. Zapełni tym samym mapę, którą z dumą pokazuje gościom odwiedzającym go w gabinecie. Wizyt krajowych i zagranicznych było zresztą w tej kadencji o wiele więcej, w niektórych miejscach prezydent (wcześniej jako kandydat) był wielokrotnie. Mówi się, że głowa państwa robi drugie okrążenie po Polsce.

Oficjalnie o zbliżającej się kampanii współpracownicy Dudy rozmawiać nie chcą. Słyszymy, że to wróżenie z fusów, wszystko rozpocznie się bowiem za dwa miesiące, gdy prezydent ogłosi datę wyborów. Praktyka wygląda jednak tak, że wyścig ruszył i Andrzej Duda jest w nim zdecydowanym faworytem.

– Jesteśmy jeszcze przed kampanią. Prezydent wykonuje swoje obowiązki. Jest skuteczny w prowadzeniu polskich spraw w polityce krajowej i zagranicznej. Pozostaje blisko ludzkich spraw. Utrzymuje stały kontakt z wyborcami, zwłaszcza odbywając wiele wizyt krajowych. To daje naturalne pole position – przyznaje Paweł Mucha, wiceszef Kancelarii Prezydenta.

To, że PiS będzie reprezentował Andrzej Duda, wydaje się jasne po kilku publicznych deklaracjach Jarosława Kaczyńskiego i po liście, który wysłał już po wygranych wyborach do swoich posłów. „Reelekcja prezydenta Andrzeja Dudy, który jest naturalnym kandydatem dla pragnących lepszego życia, będzie gwarancją budowania zamożnej, sprawiedliwej, solidarnej oraz silnej Rzeczypospolitej" – napisał prezes PiS.

Jako kampanijne uważane są także wystąpienia głowy państwa wygłoszone na pl. Piłsudskiego 11 listopada, gdy przywoływał słowa Romana Dmowskiego o „polskich obowiązkach" wszystkich obywateli, oraz na inauguracyjnym posiedzeniu Sejmu IX kadencji. „Polska jest jedna i proszę, żebyście państwo zawsze o tym pamiętali" – apelował do nowo wybranych posłów. „Proszę, żeby język debaty nie był radykalny, żeby był językiem szacunku" – podkreślił, a następnie uścisnął dłonie posłów zasiadających w pierwszym rzędzie. Od lewicy po prawicę. Gest zauważono jako wspólnototwórczy i ponadpartyjny.

– Jak wygrać z Andrzejem Dudą? – pytamy Piotra Zgorzelskiego, wicemarszałka Sejmu z PSL. – Tak jak on wygrał z Bronisławem Komorowskim: zagospodarować centrum. Prezydent ładnie zaczął to robić podczas swojego wystąpienia na inaugurację Sejmu. Nie jestem jego fanem, ale mądrze mówił, odwołał się nawet do premiera Mazowieckiego. Co prawda po twarzach pisowców widać było, że ciężko to znieśli, ale ci, którzy rozumieją tę grę, wiedzą, że był to słuszny zabieg.

W Sejmie często spotykamy się z opinią, że była to część szerszego planu, który zawierał nawet nominację Antoniego Macierewicza na funkcję marszałka seniora. Zgorzelski nie ma wątpliwości: – Chodziło o to, byśmy mieli dwa odmienne przemówienia podczas inauguracji – ostre, dzielące w wykonaniu byłego szefa MON i stonowane Andrzeja Dudy. Widać, że Andrzej Duda już ostro walczy. Weźmy to podanie ręki – nie było możliwości, by nawet największy wróg nie wyciągnął dłoni do prezydenta. To było cwane! Trzeba panu prezydentowi pogratulować doradców.

WŁADEK SIĘ ROZPYCHA

– Jako szachista lubię rozważania logiczne. Atut prezydenta polega na tym, że powstał bardzo ciekawy układ: ci, którzy mają szansę na drugą rundę, mają dużo mniejsze szanse, aby wygrać z nim w bezpośrednim pojedynku, a ci, którzy mieliby szansę walczyć o zwycięstwo z Andrzejem Dudą, nie mają szansy na drugą turę – diagnozuje Tadeusz Cymański z PiS. To powszechna opinia, nie tylko w PiS, więc wyjaśnijmy: obóz władzy najbardziej obawia się Władysława Kosiniaka-Kamysza. Nie ma wątpliwości, że w dużej mierze to liderowi ludowców Koalicja Polska zawdzięcza sukces w ostatnich wyborach. Udało mu się bowiem odmienić wizerunek partii – dotychczas kojarzonej z prowincją, rolnictwem i starymi działaczami, opętanymi żądzą sięgnięcia po państwowe łupy.

– Trzeba prowadzić dobrą, aktywną kampanię i Władysław Kosiniak-Kamysz już to rozpoczął – mówi Marek Sawicki z PSL. Gdy zauważamy, że nie wolno jeszcze prowadzić kampanii, pada odpowiedź: – Ale prezydent Andrzej Duda prowadzi! Więc jeśli jednemu wolno... – W ramach obowiązków prezydenta spotyka się z narodem – przywołujemy żelazne tłumaczenie Pałacu Prezydenckiego. – A Władysław Kosiniak-Kamysz wykonuje obowiązki

eprasa.pl f85080dd20

poselskie, w ich ramach ma prawo jeździć po Polsce i rozmawiać o problemach obywateli oraz o sposobach ich rozwiązania – ripostuje były minister rolnictwa.

Piotra Zgorzelskiego dopytujemy, jak jego partia chce dokonać niemożliwego i wejść do drugiej tury. – Nie rozumieją panowie, jaką grę prowadzimy? Wystartowaliśmy pierwsi (oczywiście poza prezydentem, który startuje już od pięciu lat, każdego dnia), więc teren z napisem „efekt pierwszeństwa" mamy obsikany. Poza tym zwróciliście chyba uwagę na naszą propozycję prawyborów w Europejskiej Partii Ludowej (do której w Parlamencie Europejskim należą i PO, i PSL)? Nasi towarzysze z Platformy oczywiście reagują na nią średnio. Mają problem, bo w tych prawyborach, w różnych debatach politycznych, nasz lider by bezapelacyjnie wygrał.

Na razie lider PSL raz się już zagalopował. I zamiast trzymać fason polityka niekonfliktowego, dywagował nad postawieniem Andrzeja Dudy przed Trybunałem Stanu. – To było niepotrzebne. Już o tym rozmawialiśmy. Władek wie, że w tej sprawie popełnił błąd. Myślę, że to był efekt zmęczenia końcówką kampanii parlamentarnej – tłumaczy Sawicki. On też uważa, że im więcej będzie debat, tym rosnąć będą szanse Kosiniaka-Kamysza.

Nikt w PSL nie zakłada, że w planie coś się posypie, ale trzeba pamiętać, że Koalicja Polska to twór kruchy. Umiarkowanie przewidywalny Paweł Kukiz już mówi współpracownikom o możliwości założenia własnego koła poselskiego, jeśli ludowcy spróbują skręcać w lewo. Nie podoba mu się wybór Michała Kamińskiego na wicemarszałka Senatu. Ta kandydatura nie była z nim konsultowana.

Jak obóz Andrzeja Dudy spróbuje zneutralizować szefa PSL? – Czy można wygrać wybory prezydenckie, jeśli jako minister podwyższało się wiek emerytalny i zabierało Polakom składki z OFE? – tym pytaniem odpowiada nam jeden z prezydenckich ministrów. Taktyką będzie więc przypominanie, że PSL nie powstało wczoraj po sympatycznej kolacji Kosiniaka-Kamysza z Kukizem, lecz jest partią wiele lat rządzącą Polską, w tym z turboliberałami z PO, którzy o losie zwykłych Polaków nie za wiele myśleli.

Dla PSL to będą pierwsze wybory, w których ich kandydat nie będzie tylko statystą. – Jeśli do drugiej tury wejdą Andrzej Duda i kandydat Koalicji Obywatelskiej, to obecny prezydent ma sprawę posprzątaną i zwycięstwo w kieszeni. Tylko kandydat centrum, Koalicji Polskiej, może zablokować drugą kadencję obecnej głowy państwa. Jeśli dojdzie do drugiej tury bez naszego kandydata, elektorat PSL w 80 proc. zagłosuje na Andrzeja Dudę, a nie na kandydata KO – przewiduje Marek Sawicki.

Jaka jest odpowiedź klubu KO? Poseł Marcin Kierwiński: – Tu musi paść pytanie do kolegów z PSL o dobre rozeznanie sytuacji. Bo ja od nich np. wcześniej słyszałem, że pójście w trzech blokach do wyborów parlamentarnych to jest gwarancja pokonania PiS. Wyniki pokazują, że to była zła strategia.

> Kierwiński wbija szpilę PSL: – Sprawa jest jasna, rywalem jest Andrzej Duda. Jeśli ktokolwiek uważa, że kontrkandydata trzeba widzieć po stronie opozycyjnej, to się na tym przejedzie. Nie tędy droga

SCHETYNA OBCIĄŻENIEM

Dlatego wśród ludowców wszyscy trzymają kciuki za... utrzymaniem władzy w Platformie przez Grzegorza Schetynę, lidera w rankingu nieufności wśród Polaków, symbolu porażek PO. – Jeśli określonym środowiskom w Koalicji Obywatelskiej uda się utrzymać Schetynę na fotelu szefa partii, to w lutym notowania Kosiniaka-Kamysza będą się zbliżały do wyniku Kidawy-Błońskiej – prognozuje Sawicki.

Co ciekawe, na podobny scenariusz u konkurencji liczą też w Pałacu Prezydenckim. – Pokazywanie się w kampanii kandydata KO u boku Schetyny nie będzie dostarczało poparcia. Ten lider ciągnie Platformę w dół. Dlatego mu kibicujemy – uśmiecha się jeden ze współpracowników prezydenta.

Wróćmy do Małgorzaty Kidawy-Błońskiej, bo to ona jest coraz częściej wymieniana jako kandydatka Koalicji Obywatelskiej. Spełnia się zatem scenariusz, który Grzegorz Schetyna naszkicował przed starciem o Sejm i Senat, wysuwając ją na front (choć sam usunąć się w cień nie dał rady). – Pani marszałek jest politykiem rozpoznawalnym. Andrzej Duda wygrał, rozpoczynając z o wiele niższego pułapu popularności – przypomina Marcin Kierwiński, ale zaznacza, że kwestia kandydata KO rozstrzygnie się w styczniu, na zjeździe krajowym Platformy. Wtedy mają się odbyć wewnątrzpartyjne prawybory. Mówi się, że w szranki mieliby stanąć także Radosław Sikorski (deklarował gotowość do startu w mediach społecznościowych) i Bartosz Arłukowicz. Ale gdy ucho przyłoży się gdzie indziej, to dowiadujemy się, że „kwestia kandydatki jest już postanowiona, a zapowiadana debata na zjeździe to byłaby jakaś niepotrzebna szopka" i panowie nie chcą brać w niej udziału.

Poseł Dariusz Joński (KO) przyznaje, że partia zainwestowała już sporo w promocję przyszłej kandydatki (bilbordy, reklama na autobusach, „orędzie") i „głupio by było, żeby to przepadło". Pomysłem Koalicji Obywatelskiej ma być jeżdżenie po mniejszych miejscowościach i przekonywanie wyborców do poparcia kandydatki partii, która dotychczas żniwo zbierała przede wszystkim w metropoliach, co pokazały wybory parlamentarne. – Tam, gdzie nasi kandydaci jeździli osobiście, wyniki naprawdę rosły, i to gwałtownie. Szczególnie w miejscach, gdzie byliśmy np. na dożynkach i rozdawaliśmy ulotki. Mimo że to były mniejsze miejscowości – mówi Kierwiński. Kampania ma być więc „dynamiczna" i „skuteczna", czyli dokładnie odwrotna do tego, co

eprasa.pl f85080dd20

zaprezentowali Bronisław Komorowski w 2015 r. i PO w kolejnych wyborach. – Oczywiście trzeba wyciągnąć wnioski z ostatnich kampanii, bo żeby wygrywać, nie wolno robić błędów, a tych kilka zostało popełnionych – przyznaje Joński.

Kierwiński wbija jeszcze jedną szpilę niedawnym koalicjantom z Koalicji Europejskiej: – Sprawa jest jasna, rywalem jest Andrzej Duda. To z jego elektoratu trzeba starać się zabierać głosy. Jeśli ktokolwiek uważa, że kontrkandydata trzeba widzieć po stronie opozycyjnej, to się na tym przejedzie. Nie tędy droga.

NA BOCZNYM TORZE

Dziś liderem prezydenckiej rywalizacji wydaje się Andrzej Duda. Nadal daleko za nim klaruje się dwuosobowa grupa pościgowa – z Władysławem Kosiniakiem-Kamyszem i Małgorzatą Kidawą-Błońską. Kto znajdzie się w peletonie? Kto jeszcze spróbuje namieszać w prezydenckim wyścigu? Raczej nie Konfederacja – niezależnie od tego, czy wystawi swojego żelaznego kandydata Janusza Korwin-Mikkego, czy postawi na kogoś młodszego i mniej kontrowersyjnego. Głosy jej elektoratu mogą jednak zaważyć na wyniku drugiej tury, dlatego można się spodziewać, że PiS nie będzie specjalnie atakowało najmniejszej sejmowej formacji. Zwłaszcza po doświadczeniach z kampanii parlamentarnej.

Dla Lewicy wyścig prezydencki będzie kolejnym etapem odbudowy swojej pozycji. I odbierania elektoratu Platformie. Na kogo postawi? Według szefa klubu Krzysztofa Gawkowskiego w grze są trzy uzgodnione potencjalne nazwiska. Ostateczną decyzję mamy poznać na przełomie roku. Ostatnio rosną szanse Adriana Zandberga. Robert Biedroń sam się bowiem ogłosił kandydatem za pośrednictwem Facebooka, czym mocno zredukował szanse startu. Teraz w język gryzie się nawet jego życiowy partner. Świeżo upieczony poseł Krzysztof Śmiszek nie chce dywagować, kogo wystawi Lewica. – Mamy wielu potencjalnych kandydatów – ucina. Woli za to opowiadać, jak pokonać Andrzeja Dudę: – Pan prezydent jest osobą słabą. A wyborcy szukają silnego przywódcy, niezależnie od tego, czy jesteśmy bardziej liberalni, czy konserwatywni. Ten przywódca jest marionetkowy. To, co pokazał w dniu inauguracji Sejmu, było dla mnie festiwalem obłudy, hipokryzji. Jak można ściskać się z Włodzimierzem Czarzastym, pokazywać, że każdemu trzeba podać rękę, podczas gdy przez ostatnie lata dzieliło się społeczeństwo i właściwie było wykonawcą poleceń swojego prezesa?

Wydaje się jednak, że taka retoryka nie wystarczy, by lewica po raz pierwszy od 20 lat miała swojego przedstawiciela w drugiej turze wyborów prezydenckich.

> Według szefa klubu Lewicy w grze są trzy uzgodnione potencjalne nazwiska kandydatów na prezydenta. Ostateczną decyzję mamy poznać na przełomie roku. Ostatnio rosną szanse Adriana Zandberga

Jeszcze inną grę, wykraczającą poza rolę mediów, prowadzi „Gazeta Wyborcza". W pisanym z emfazą wstępniaku Jarosław Kurski sugerował, że zbawcą polskiej demokracji okazać się może tylko Adam Bodnar. „GW" szuka swojego kandydata. Przy Czerskiej bowiem wiedzą, że wybory prezydenckie mogą być dobrym momentem założycielskim dla partii. W tym wypadku – dla jej partii. Dawno nie widzianej. Tyle że Rzecznik Praw Obywatelskich jasno zadeklarował w ubiegłym tygodniu, że w tych wyborach nie wystartuje. Choć w kolejnym zdaniu zasugerował, że do polityki się wybiera, ale po zakończeniu kadencji RPO.

PEŁNA MOBILIZACJA

Platforma Obywatelska w minionej kadencji chciała tworzyć autonomiczne obszary wewnętrzne – tę funkcję miały pełnić samorządy (21 tez samorządowców). Teraz poligonem takich działań będzie Senat. – Po pierwszych wystąpieniach pana marszałka Tomasza Grodzkiego widać, że w izbie wyższej opozycja chce się pozycjonować już nie jako totalny sprzeciw, ale jako środowisko wyciągające rękę, prowadzące merytoryczną debatę. Mogą chcieć utrzymać taką maskę do wyborów prezydenckich, by móc powiedzieć: zobaczcie, rządzimy w Senacie i tu widać, że polityka może mieć lepszą jakość – zauważa senator PiS Jan Maria Jackowski.

Nowej sytuacji, w której opozycja ma większość w Senacie, nie lekceważy też Tadeusz Cymański. Nawiązując do swojej ukochanej gry, sugeruje, że obóz władzy nie może sobie pozwolić na zgłaszanie jakichkolwiek kontrowersyjnych projektów: – Szachy mówią tak: masz dobry ruch – nie wykonuj go. Zastanów się, czy nie masz lepszego. I przede wszystkim unikaj niepotrzebnego ryzyka. Na dziś białe mają przewagę i wydaje się, że partia może być zakończona sukcesem. Ale najważniejsze jest, by nie popełnić żadnych błędów.

– Jest pełna świadomość powagi sytuacji. Potencjalna przegrana w wyborach prezydenckich de facto oznaczałaby brak możliwości rządzenia. Okazuje się, że nie wystarczyło wygrać w wyborach parlamentarnych, trzeba jeszcze zwyciężyć w tej dogrywce – dodaje Arkadiusz Mularczyk z PiS.

Jego koleżanka z partii Małgorzata Wassermann uczula: – Gdyby prezydent się zmienił, możliwe byłoby nawet rozwiązanie parlamentu. W naszym obozie mają tego świadomość również osoby, które z prezydentem, powiedzmy, „się nie przyjaźnią".

A zwycięstwo PiS w zarządzonych w takich okolicznościach przedterminowych wyborach parlamentarnych nie byłoby wcale oczywistością. Stawka tych wyborów jest więc dużo większa niż „tylko" Pałac Prezydencki.

eprasa.pl f85080dd20



Małe i duże roszady przy Wiejskiej

Pierwsze posiedzenia Sejmu i Senatu nie tylko otworzyły nowy sezon w polskiej polityce, lecz zarazem były sygnałem, który można interpretować jako pierwsze dowody na to, jak będzie wyglądała ta czteroletnia kadencja przy Wiejskiej. A przynajmniej do maja roku 2020 i do wyborów prezydenckich



MARCIN FIJOŁEK

Inauguracja nowej kadencji parlamentu upłynęła pod znakiem wysyłanych z wielu stron kolejnych uśmiechów i zapewnień o koncyliacyjnych nastrojach. Atmosfera była na tyle dobra, że w pewnym momencie prezes Jarosław Kaczyński zasugerował, że mamy do czynienia z „końcem opozycji totalnej". Jak do tego doszło? Rozpoczął prezydent Andrzej Duda, który w swoim przemówieniu apelował do posłów, by ci – niezależnie od barw partyjnych – próbowali z sobą współpracować, a na koniec uścisnął dłoń liderom wszystkim ugrupowań w Sejmie. – Godne rozpoczęcie kampanii prezydenckiej – zauważa w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" jeden z polityków rządzącej partii. I dodaje: – Nawet w PiS było trochę zdumienia, gdy prezydent cytował Tadeusza Mazowieckiego – tak czy inaczej, ten gest z podaniem rąk może na stałe wejść do tradycji polskiego parlamentu. A na pewno do spotów wyborczych Andrzeja – słyszymy.

Wystąpienie prezydenta kontrastowało z przemówieniem, jakie wygłosił marszałek senior Antoni Macierewicz. Nie zabrakło tam krytycznych słów pod adresem umowy okrągłego stołu czy wskazywania zagrożeń dla rodziny ze strony ruchów LGBT. – W PiS umiejętnie zagrali na dwóch fortepianach. Najpierw wciągnęli wszystkich do uścisków i zgody, a później uderzyli bejsbolem w klatkę z opozycją. Chcieli, żebyśmy zawyli po słowach Macierewicza. No i faktycznie zawyliśmy – żartuje jeden z parlamentarzystów klubu Lewicy, czyli połączonych sił SLD, Wiosny i Razem.

Przy Wiejskiej dało się jednak wyczuć atmosferę niczym z początku roku szkolnego – gdy wystrojeni uczniowie i nauczyciele zapewniają, że będą się starać, by tym razem było inaczej. Kolejny symbol tego posiedzenia to wymiana zdań między Katarzyną Piekarską (Koalicja Obywatelska, dawniej SLD) a Jarosławem Kaczyńskim. Na prośbę posłanki KO prezes PiS podpisał wniosek o utworzenie w Sejmie parlamentarnego zespołu przyjaciół zwierząt, po czym szarmancko pocałował Piekarską w dłoń. Z ust posłanki wydobyło się tylko charakterystyczne: „Wow!". Gdy przedstawiciele opozycji nie wystawili kontrkandydatur przeciw Elżbiecie Witek (wybranej na marszałka Sejmu), Kaczyński oznajmił, że może być to początek końca projektu „opozycji totalnej", jaki ogłosił na początku poprzedniej kadencji Grzegorz Schetyna. Na dowód dobrej woli PiS wsparło kandydatury opozycji na wicemarszałków Sejmu, oddając też kierowanie kilkoma ważnymi komisjami sejmowymi – w tym budzącą sporo kontrowersji kandydaturę Magdaleny Biejat (Razem) jako przewodniczącej komisji polityki społecznej i rodziny. „Sytuacja jest taka, że 11 komisji, jak wynika z parytetu, przy-

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f85080dd20

pada opozycji. Tyle że trzeba pamiętać o tym, że w komisjach mamy większość i głos przewodniczącego nie jest przeważający" – tłumaczył w rozmowie z wPolityce.pl Ryszard Terlecki, szef klubu parlamentarnego PiS. Z tego podziału została wykluczona Konfederacja, której stan posiadania w Sejmie (liczące zaledwie 11 posłów koło) zdaniem PiS nie jest wystarczający, by uwzględnić ich w takim rozdaniu personalnym, jeśli chodzi o prezydia komisji.

Z rozmów z politykami PiS wynika, że ten koncyliacyjny kurs będzie konsekwentnie realizowany w najbliższych miesiącach. – Trzeba sobie powiedzieć wprost: do maja nie ma co się spodziewać żadnego projektu, który byłby bulwersujący czy otwierający niepotrzebny front. Wszyscy gramy na Andrzeja, a on musi uzyskać w wyborach nie 40 czy 42 proc., ale 50 proc. plus jeden głos – słyszymy. Niektórzy parlamentarzyści żartują, że PiS chce udusić opozycję w tych pełnych miłości uściskach. Choć są i tacy, którzy czują niedosyt. – Wszystko pięknie, ale proszę mi powiedzieć: co mam mówić wyborcom prawicy? Że wprowadzamy pisowską wersję ciepłej wody w kranie? – irytuje się jeden z polityków PiS.

Na to pytanie odpowiedzi ma udzielić premier Mateusz Morawiecki, który we wtorek wygłosi w Sejmie swoje exposé, kreśląc najważniejsze priorytety i strategię dla nowego-starego rządu. Nazwiska ministrów i konstrukcja gabinetu Morawieckiego to kolejny odcinek, na który warto rzucić okiem pod kątem przyjętej politycznej strategii. – Mieliśmy etap romantyczny i rewolucyjny, jeśli chodzi o pierwsze dwa lata rządów PiS, teraz jeszcze bardziej konsekwentnie będziemy stawiać na pragmatyzm. A że największymi wyzwaniami na najbliższe miesiące są negocjacje budżetu unijnego i sprawy polityki klimatycznej, wzmocniony został minister Konrad Szymański, powołano też specjalny resort ds. klimatu, na którego czele stanął Michał Kurtyka – tłumaczy nam jeden z ważnych polityków PiS. Zwłaszcza polityka energetyczna, która będzie dyskutowana w dużej mierze w gabinecie komisarza Fransa Timmermansa, to wrażliwa, lecz również kluczowa kwestia przekładająca się na wiele dziedzin życia.

Senat i rząd to dwa pierwsze sektory politycznego boiska, na którym pierwszy gwizdek wybrzmiał wraz z inauguracyjnym posiedzeniem parlamentu. Trzecim obszarem, na który trzeba zwrócić uwagę, jest Senat. Izba wyższa parlamentu została przejęta przez opozycję, choć niemal do końca w PiS utrzymywano, że istnieją szanse na przeciągnięcie na swoją stronę jednego z senatorów opozycji. – Presja medialna była jednak zbyt duża. Dlatego nie wypalił ani pomysł z resortem sportu, ani kilka innych pomysłów, które były na stole. Niemniej jednak co się odwlecze, to nie uciecze – w ciągu tych czterech lat można się spodziewać zwrotów akcji – przekonuje w rozmowie z tygodnikiem „Sieci" polityk obozu rządowego.

> Z rozmów z politykami PiS wynika, że koncyliacyjny kurs w parlamencie będzie konsekwentnie realizowany w najbliższych miesiącach. – Wszyscy gramy na Andrzeja – słyszymy

Na razie jednak marszałkiem Senatu został Tomasz Grodzki, chirurg wybrany z list KO. – To konserwatysta, więc może być momentami wesoło. Tym bardziej że jeśli przyjrzy się pan szczegółowo składowi personalnemu w Senacie, to może się okazać, że o większość – np. w sprawach ochrony życia – może być o wiele łatwiej niż w Sejmie – słyszymy w kuluarach parlamentu. Sam Grodzki zalał początek swojego urzędowania hektolitrami opozycyjnego patosu – gestem nawiązał do słynnego „V" Tadeusza Mazowieckiego, nagrał też specjalne wystąpienie, które ma prawo wyemitować w Telewizji Publicznej, a jeśli dołożyć do tego zapowiedź wyjazdu do USA, by podziękować kongresmenom demokratów za pomoc w „obronie praworządności w Polsce", otrzymujemy obraz, który jasno wskazuje, czego możemy spodziewać się po marszałkowaniu Grodzkiego. Tym bardziej że sam zainteresowany widzi swoją rolę... filmowo: „Lubi pan »Gwiezdne wojny«? Zaczynamy nową nadzieję!" – powiedział w telewizji wPolsce.pl. Zarazem jednak sam pan marszałek zadeklarował w rozmowie z tygodnikiem „Sieci", że Senat nie będzie wyłącznie narzędziem do blokowania czy mrożenia projektów PiS z Sejmu. Ten ostatni sprawdzian to zresztą kwestia kilku najbliższych tygodni, więc szybko deklaracje o dobrej woli mogą się zderzyć z rzeczywistością. Wokół Grodzkiego narastają zresztą plotki, że ten mógłby zostać kandydatem KO na urząd prezydenta. „U nas, w Platformie, coraz głośniej się o tym mówi. Jeśli dobrze wykorzysta najbliższe tygodnie, to w prawyborach ktoś może go wystawić... A to w końcu trzecia osoba w państwie – wskazuje polityk KO. Z kolei senator PiS zwraca uwagę: – Proszę przeanalizować styl i treść wystąpienia Grodzkiego. To było przygotowywanie się do następnej roli. Nie zdziwię się, jeśli plotki się potwierdzą i zostanie kandydatem KO zamiast Kidawy-Błońskiej czy Arłukowicza.

Zarówno szeregi obozu dobrej zmiany, jak i te opozycyjne powoli jednak są odpowiednio przegrupowywane – wszystko po to, by przygotować się do kampanii prezydenckiej maksymalnie profesjonalnie. Z zaplecza Andrzeja Dudy słychać kolejne potwierdzenia tego, że urzędujący prezydent jest gotowy do walki o drugą kadencję i poszukiwanie elektoratu także poza polami związanymi z PiS. Stąd takie, a nie inne przemówienie w Sejmie, stąd też takie gesty jak zaproszenie do Pałacu Prezydenckiego skierowane do skrajnie niechętnej wobec PiS noblistki Olgi Tokarczuk. Opozycja jest nadal uwikłana w wewnętrzne rozgrywki związane z poszukiwaniem odpowiednich kandydatur. Tak czy inaczej te kilka pierwszych miesięcy nowej kadencji parlamentu z pewnością upłynie pod znakiem prezydenckiej kampanii – z każdym kolejnym tygodniem i następnym posiedzeniem Sejmu będzie to widać jeszcze wyraźniej.

eprasa.pl f85080dd20



Fot. Andrzej Wiktor/Andrzej Skwarczynski/Shutterstock

Łamigłówki nowego rządu

Drugi gabinet Mateusza Morawieckiego nie przynosi głębszych zmian na fotelach ministerialnych, za to podejmuje ciekawą reformę samej struktury rządzenia

Pośród nowych członków Rady Ministrów dwie postaci są niewątpliwie wybitne: to 50-letni wielkopolanin Konrad Szymański oraz 46-letni krakowianin Michał Kurtyka. Obaj co prawda pracują w rządzie od dawna, ale zarazem obaj po raz pierwszy zyskują polityczną podmiotowość i szersze pole samodzielności jako członkowie Rady Ministrów. Kurtyka to absolwent SGH i jednej z paryskich grandes écoles (wojskowej École Polytechnique), który od czasu rządu Beaty Szydło odpowiada za drażliwą kwestię światowych i europejskich negocjacji klimatycznych, gdzie Polska ma żywotne i niełatwe do obrony interesy.



JAN ROKITA

W znacznym stopniu jego intelektualnej kompetencji i talentom politycznym zawdzięczamy wyjście z tarczą z takich potencjalnych opresji, jak ubiegłoroczny katowicki szczyt klimatyczny, do pewnego momentu zaciekle zwalczany przez światowe lobby ekologiczne, a w finale chwalony za polską umiejętność doprowadzania do kompromisu.

eprasa.pl f85080dd20

Kurtyka nie ma wprawdzie swojego zaplecza politycznego, lecz jest obecnie dla obozu władzy postacią tak cenną, że jego awans nie budzi zaskoczenia. Tym bardziej że za stworzeniem resortu ds. klimatu stoi również czytelny zamysł przyjaznego gestu wobec nowej szefowej Komisji Europejskiej Ursuli von Leyen, która ideę „new green deal" ogłosiła dopiero co swoim priorytetem.

Z kolei Szymański awansuje do roli ministra odpowiedzialnego za politykę europejską w rezultacie zmiany w strukturze rządu, polegającej na powrocie spraw unijnych do kancelarii premiera. Taki model panował w Polsce w czasach istnienia Komitetu Integracji Europejskiej i został zmieniony w 2010 r. przez premiera Donalda Tuska na podobieństwo modelu jednolitego „wielkiego" MSZ stosowanego w większości państw unijnych. Nie ma racji były szef tego resortu Radek Sikorski, gdy krytykując obecny plan rozbicia MSZ, uznaje go za dowód tendencji do „rządzenia wszystkim przez premiera, której premier jeszcze pożałuje". Trudno bowiem wyobrazić sobie szefa rządu, który abdykuje na rzecz MSZ z prowadzenia polityki zagranicznej państwa. Jest to wręcz podstawowa konstytucyjna powinność premiera. A Morawiecki mógłby osobiście zarządzać sprawami europejskimi (co zresztą czynił dotąd) tak samo za pomocą szefa MSZ, jak i odrębnego „europejskiego" ministra bez teki. Najwyraźniej jednak Morawieckiemu lepiej pracuje się na co dzień z Szymańskim niż z Jackiem Czaputowiczem, bo trudno znaleźć jakąś inną, głębszą motywację decyzji o skomplikowanej organizacyjnie dekonstrukcji obecnego MSZ. W Polsce nie ma lepszego niż Konrad Szymański kandydata do pełnienia funkcji ministra „europejskiego". Uznawany w przeszłości za najlepszego polskiego europosła ma olbrzymie doświadczenie i wiedzę zarówno w dziedzinie polskiej polityki, jak i mechanizmów działania UE. Wątpliwość dotyczy tylko kwestii, czy dla nadania mu statusu samodzielnego ministra warto przeprowadzać operację rozbicia obecnego „wielkiego" MSZ, która nie tworzy w istocie żadnych nowych, bardziej skutecznych niż dotąd narzędzi prowadzenia polityki europejskiej.

Politycznie utalentowany jest też zapewne 28-letni Michał Woś, który obejmuje resort środowiska, okrojony o szczególnie drażliwe kwestie klimatu i walki ze smogiem. Ten młody prawnik ze Śląska i absolwent Uniwersytetu Jagiellońskiego jest jak dotąd prawą ręką Zbigniewa Ziobry, a powołanie go na członka rządu jest ewidentnym gestem w stronę skonfliktowanego z premierem ministra sprawiedliwości. Woś jest więc raczej nominacją wynikającą z układanki partyjno-personalnej tworzonej w siedzibie PiS przy Nowogrodzkiej niż z nadania Morawieckiego. Nie zmienia to tego, że podobnie jak niegdyś stało się z Jadwigą Emilewicz (którą „wysłał" do rządu Gowin), także Woś może się okazać efektywnym i inteligentnym zarządcą resortu, zdobywając sobie uznanie i zaufanie ze strony premiera. W każdym razie ma po temu kwalifikacje polityczne i intelektualne.

> Nominacja Marleny Maląg ma pewne polityczne znaczenie, oznacza definitywne osłabienie roli resortu rodziny i spraw socjalnych

Trójka pozostałych nowych członków gabinetu to postaci raczej przeciętne. 62-letni minister finansów Tadeusz Kościński jest wieloletnim urzędnikiem bankowym, który (jak sam opowiada) był 20 lat podwładnym Morawieckiego. Podobnie jak jeden z jego poprzedników (Jacek Rostowski) jest londyńczykiem, od urodzenia mieszkającym w Anglii i wykształconym w państwowym Goldsmiths College. Przychodząc do rządu, Morawiecki ściągnął go na wiceministra i przez ostatnie cztery lata, w zależności od aktualnych potrzeb swojego mentora, zmieniał tylko resorty. Przez cztery lata niczym się nie wyróżnił, a szerzej stał się rozpoznawalny dopiero w związku ze swoim ubiegłorocznym wywiadem dla Wirtualnej Polski, w którym tak wiernopoddańczo wychwalał Morawieckiego (świeżo po aferze taśmowej), że prowadzący wywiad dziennikarz w pewnym momencie zauważył z ironią: „To laurka całkiem jak z »Misia«". Publicznie opowiadał się za podwyższaniem podatków dla bogatych, choć teraz – po nominacji – w wywiadzie dla portalu Money.pl zaprzecza, aby miał zamiar zwiększać podatki. Jedno jest pewne: Kościński nie będzie mieć własnej inicjatywy jako minister finansów, co sprawi, że decyzje o budżecie będą zapadać w kancelarii premiera (i ewentualnie w siedzibie partii). To zaprzeczenie balcerowiczowskiego modelu silnego ministra ze Świętokrzyskiej, który jest decydentem finansowym i strażnikiem budżetu. Z punktu widzenia spójności gabinetu takie podporządkowanie Świętokrzyskiej Alejom Ujazdowskim nie jest wcale złym rozwiązaniem. I z pewnością umacnia wpływy i realną władzę premiera.

Wreszcie dwie nowe „ministry" (by posłużyć się żargonem feministek) to urzędniczki z Rzeszowa i Ostrowca Wielkopolskiego. 40-letnia Małgorzata Jedynak pracowała przez lata przy funduszach unijnych, a rok temu Morawiecki mianował ją wiceministrem od tych spraw. Z kolei 45-letnia Marlena Maląg prowadziła z powodzeniem szkołę przekazaną przez samorząd obywatelskiemu stowarzyszeniu, była radną, a przez jakiś czas wiceprezydentem Ostrowca. Rok temu została szefową PFRON, a w ostatnich wyborach posłem PiS z Wielkopolski. W obu przypadkach nominacje na pełnych członków Rady Ministrów muszą rodzić obawy o próg kompetencji. Nominacja Maląg ma pewne polityczne znaczenie, gdyż oznacza definitywne osłabienie roli resortu rodziny i spraw socjalnych, jako wewnętrznego lobby na rzecz zwiększania transferów socjalnych. Morawiecki ma zapewne w pamięci swoje liczne konflikty z Elżbietą Rafalską, która odmawiała poparcia dla jego polityki, gdy blokował wzrost płacy minimalnej albo postulował prywatyzację oszczędności emerytalnych.

eprasa.pl f85080dd20

Jest jasne, że drugi rząd Morawieckiego skazany jest na oszczędzanie pieniędzy w obliczu załamującej się koniunktury. Maląg nie powinna być tu dla premiera poważniejszą przeszkodą. Choć z perspektywy premiera byłoby rzeczą „wygodniejszą", gdyby szef resortu polityki społecznej nie był zarazem parlamentarzystą, co z natury rzeczy czyni go politycznie mniej odpornym na hipotetyczne przyszłe oszczędności w socjalu.

Natomiast nominacja Jedynak wynika z przebudowy całego segmentu rządu odpowiedzialnego za politykę gospodarczą. Nowo powstający superresort rozwoju otrzymuje Jadwiga Emilewicz z partii Gowina, która jako dotychczasowy minister przedsiębiorczości miała o wiele więcej energii i pomysłów niż realnych możliwości wprowadzania ich w życie. Komasacja w jej nowym resorcie budownictwa (z którym wyraźnie nie radził sobie Adamczyk zajęty kwestiami dróg i kolei), turystyki, inwestycji publicznych, polityki przemysłowej oraz spraw małego i średniego biznesu, daje 45-letniej Emilewicz faktyczną funkcję wicepremiera od gospodarki. Z jednej strony świadczy to o daleko idącym zaufaniu, jakiego Morawiecki nabył do pochodzącej z Krakowa „ministry", która w końcu (tak samo zresztą jak premier) nie ma wykształcenia ekonomicznego. Z drugiej zaś strony swoista nadaktywność i niezmożona energia Emilewicz, jak i przyszłe (zapewne liczne) jej pomysły i inicjatywy będą i tak całkowicie uzależnione od premiera, trzymającego jeszcze mocniej niż dotąd kontrolę nad resortem finansów. Krótko mówiąc, mimo licznych kompetencji, konstrukcja superresortu Emilewicz jest taka, iż wykonując dyrektywy szefa rządu, „ministra" mieć będzie rozległe pole aktywności i władzy, gdyby kiedykolwiek zaś zapragnęła działać na własną rękę, jej możliwości zostaną rychło ucięte na polu budżetu. Można przypuszczać, że z obawy o możliwość niedopilnowania w takim superresorcie księgowości funduszów unijnych dla tego celu stworzono sztuczny nieco resort „zarządzania funduszami". Powierzenie go rzeszowskiej urzędniczce świadczy o tym, że kierownictwo rządu zakłada coraz mniejszą i coraz bardziej „techniczną", a nie „polityczną" rolę zmniejszającej się puli funduszów unijnych.

Jeszcze jedna kluczowa reforma struktury rządu nawiązuje wprost (podobnie jak rozbicie MSZ) do rozwiązań znanych i wypraktykowanych w przeszłości. Odtworzony zostaje jednolity resort skarbu państwa, bezsensownie zlikwidowany w 2016 r. przez premier Beatę Szydło, a pod nową nazwą pokieruje nim teraz wicepremier Jacek Sasin. Nowa nazwa ma być – jak się zdaje – (w chwili gdy to piszę, rzecz nie jest jeszcze wyjaśniona) bardziej „uroczysta", a nie „techniczna". A jej propagandową funkcją będzie zamaskowanie oczywistego błędu Szydło sprzed czterech lat

> Nie ma racji Radek Sikorski, gdy krytykując obecny plan rozbicia MSZ, uznaje go za dowód tendencji do „rządzenia wszystkim przez premiera, której premier jeszcze pożałuje"

za pomocą argumentacji, iż w nowym resorcie chodzić ma o co innego niż poprzednio w skarbie. To, że PiS naprawia swoje poprzednie rażące błędy w zarządzaniu, jest optymistyczne, smutne jest tylko to, że przywódcy obozu władzy cztery lata temu wykazali się brakiem elementarnej wiedzy zgromadzonej w „pamięci instytucjonalnej" państwa. Odzyskując wolność w 1989 r., Polska odziedziczyła stan rozproszenia funkcji właścicielskich państwa, co walnie przyczyniło się do tzw. uwłaszczenia nomenklatury na początku lat 90. XX w. Stworzenie skarbu państwa i prokuratorii, dbającej o jego interesy w sądach, było w tamtych latach jednym z kluczowych haseł opozycyjnej prawicy (m.in. PC), zrealizowanym dopiero (mimo potężnego oporu branżowych lobbystów) w ramach tzw. reformy Pola z 1995 r. Powrót do branżowej parcelacji nadzoru nad spółkami musiał znów przynieść rozkwit nepotyzmu, korupcji, a przede wszystkim dominacji branżowych interesów finansowych nad polityką rządu i dobrem publicznym. W ciągu ostatnich lat najlepszym tego przykładem stała się faktyczna dominacja interesów lobby węglowego w działaniach resortu energetyki. Odejście do historii tego resortu – właściciela kopalń jest więc faktem ze wszech miar pozytywnym dla przyszłego sposobu rządzenia.

Z punktu widzenia modelu rządzenia ponowne zespolenie skarbu powinno przynieść wyraźne ograniczenie roli branż i resortów oraz wyraźny wzrost władzy premiera. W tym wypadku rządowa łamigłówka jest nieco bardziej zawiła. Wydaje się, że 50-letni Jacek Sasin, który wicepremierem jest od niedawna, reprezentując w gabinecie interesy i poglądy centrali PiS, ma zapewnić swego rodzaju równowagę pomiędzy interesami centrali PiS oraz kierownictwa rządu, czyli w praktyce – Kaczyńskiego i Morawieckiego. Nie byłoby w tym nic dziwnego, bo taka w ogóle jest przecież naczelna zasada politycznej konstrukcji obecnego gabinetu; zasada, dzięki której może on działać bez nadmiernych napięć pomiędzy centralą partyjną a kierownictwem rządu. Jeśli więc taka równowaga wpływów zostałaby osiągnięta również w sektorze państwowych spółek, to przy jednoczesnej eliminacji konfliktowych interesów branżowych i resortowych można by oczekiwać zakończenia (co tu dużo mówić) gorszącej i kompromitującej dla całego obozu władzy karuzeli stanowisk, jaka w kluczowych firmach państwowych miała miejsce w ciągu ubiegłej kadencji. Wiele zależeć tu będzie od siły osobowości samego Sasina, który ma szansę wyegzekwowania wyższych niż dotąd kryteriów kompetencyjnych przy obsadzaniu stanowisk we władzach spółek i zakończenia procederu frakcyjnych „walk o spółki". Jeśli nie starczy mu do tego woli i charakteru, to pozostanie tylko wicepremierem niespełnionej szansy.

7/1119/F

eprasa.pl f85080dd20

EUROPEAN CONSERVATIVES AND REFORMISTS GROUP

prof. Ryszard

LEGUTKO

zaprasza na dyskusję

Od tolerancji do despotyzmu

Lewicowy marsz na Polskę

Beata **Szydło**

red. Grzegorz **Górny**

ks. prof. Piotr **Mazurkiewicz**

red. Michał **Rachoń**

red. Michał **Karnowski**

red. Jan **Pospieszalski**

22.11.2019

piątek, godz. 9:00-13:00

Aula Zgromadzenia
Księży Misjonarzy
Kraków, ul. Stradomska 4

eprasa.pl f85080dd20

Krajobraz po Tusku

Nikt w III RP nie wywarł tak negatywnego wpływu na polską politykę jak były premier i dawny lider Platformy Obywatelskiej



STANISŁAW JANECKI

Kiedy 5 listopada br. Donald Tusk ogłosił, że nie będzie startował w najbliższych wyborach prezydenckich, po długiej nieobecności na twarz obecnego przewodniczącego Platformy Obywatelskiej Grzegorza Schetyny wrócił niewymuszony uśmiech. Tusk był bowiem największym przekleństwem Schetyny i kierowanej przez niego partii od 26 stycznia 2016 r. (daty objęcia stanowiska szefa PO). Realnie pozycja byłego premiera w partii była z każdym miesiącem słabsza, ale jego mit na tyle silny, a nawet coraz silniejszy, że Grzegorz Schetyna musiał go uwzględniać jako superwizora czy nadzwyczajnego rewizora, mimo że była to ostatnia rzecz, którą robiłby z dobrej woli. Schetyna był przygnieciony Tuskiem, podobnie jak PO, a z czasem nawet prawie cała opozycja. Donald Tusk zbudował bowiem mit złotego wieku Platformy Obywatelskiej i złotego wieku (osiem lat) jej rządów. A przede wszystkim mit polskiej „zielonej wyspy" oraz europejskiego mocarstwa. Przecież gdyby Polska nie była takim mocarstwem, Donald Tusk nie znalazłby się na szczycie unijnej władzy – jako przewodniczący Rady Europejskiej, czyli formalnie najwyższy urzędnik UE. Opowieść ta nie miała nic wspólnego z rzeczywistością, wręcz osłabiała pozycję Polski w UE, głównie z powodu tego, czego nie może robić państwo, którego premier został tak „doceniony". Trafiała jednak w potrzeby i kompleksy wielu Polaków.

Pozycja Tuska jako wielkiego i sprawnego polityka, autora seryjnych zwycięstw wyborczych, człowieka sukcesu na światową miarę dawała opozycji nadzieję, choć Grzegorz Schetyna i jego współpracownicy doskonale wiedzieli, że to tylko bajka. Ale nawet dla nich była ona użyteczna, bo odwoływała się do legendy złotego wieku. Tyle że po zwycięstwach Prawa i Sprawiedliwości w wyborach europejskich i parlamentarnych w 2019 r. oraz wobec końca drugiej kadencji Donalda Tuska w Brukseli skończyło się paliwo dla tego mitu. Osiem lat rządów potiomkinowskich zostało skonfrontowanych z czterema latami rządów realnych i to porównanie okazało się zabójcze dla PO. Dlatego PiS dostało mandat do rządzenia na następną kadencję, opozycja musiała się zaś zmierzyć z legendą Donalda Tuska i zweryfikować jego rolę.

Sam Tusk dokonał zresztą weryfikacji na własną rękę i uznał, że ostatnie, na co może sobie pozwolić, to porażka w wyborach prezydenckich, czyli najgorszy sposób pożegnania z mitem. Schodząc z wyborczego ringu, Tusk uniknął nokautu i część legendy uratował. Ale sposób, w jaki funkcjonował w latach 2007–2019, to już bezpowrotna przeszłość. Można by sparafrazować tytuł głośnego swego czasu tekstu Jacka Żakowskiego w „Gazecie Wyborczej" (ukazał się 16 kwietnia 1994 r.) „Coś w Polsce pękło, coś się skończyło". Najkrócej: skończył się mit Tuska i jego złotego wieku. I skończył się Tusk w polskiej polityce.

DZIEDZICTWO

Donald Tusk wybrał optymalny dla siebie scenariusz. Jego duch wciąż będzie krążył nad Polską, choć mocno wyblakły, a on w tym czasie będzie odcinał kupony od znajomości zawartych w ostatnich latach i od międzynarodowej rozpoznawalności dzięki funkcji przewodniczącego Rady Europejskiej. To zupełnie inna półka niż np. w wypadku prezydenta RP przez dwie kadencje Aleksandra Kwaśniewskiego. On co najwyżej może liczyć na ukraińskich oligarchów bądź dyktatorów

eprasa.pl f85080dd20



Fot. East/News/ AP Pool/ Shutterstock

w państwach powstałych po upadku ZSRS. Tusk, choćby z tego powodu, co i jak o nim pisały światowe media, szczególnie anglojęzyczne, przez kilka lat będzie mógł dyskontować status politycznego celebryty. Może nie tak jak były przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso, który poza świetnie płatnymi wykładami dostał jeszcze lepiej opłacane stanowisko doradcy w banku Goldman Sachs, ale może nawet bardziej niż Herman van Rompuy, jego poprzednik na stanowisku szefa Rady Europejskiej. Ten idealny i cichy biurokrata do dziś jest wysoko opłacanym wykładowcą. A Donald Tusk ma jeszcze w zapasie stanowisko przewodniczącego Europejskiej Partii Ludowej.

Prezydentura w Polsce była wyjątkowo niepewna, występy w roli globalnego politycznego celebryty są pewne, a poza tym lekkie, łatwe i przyjemne. I wiążą się z zarobkami rzędu 50 tys. euro i więcej za jeden występ. Ego Tuska oczywiście może cierpieć na tym, że nie będzie mógł już uchodzić za zbawcę i demiurga polskiej polityki, lecz lepsze nawet resztki mitu niż jego rozbicie w pył wskutek porażki w wyborach prezydenckich. Tusk może zresztą twierdzić, że z najwyższego w Europie stanowiska jej „prezydenta" nie ma sensu już schodzić niżej, a znacznie lepiej się funkcjonuje jako były „prezydent" Starego Kontynentu niż jako pokonany w wyborach lokalnych z europejskiej perspektywy. Jeśli ktoś sądzi, że Donald Tusk choć przez chwilę przejmował się losem opozycji w Polsce czy nawet tym, kto tu sprawuje władzę, to jest naiwny. Donald Tusk przejmował się wyłącznie Donaldem Tuskiem. O pewnych sprawach mówił bądź się w nie wtrącał wyłącznie dlatego, żeby podkreślić, jak wciąż jest ważny i miarodajny.

Dla Polski mity Tuska, czasów złotego wieku i mocarstwowości były wyłącznie konstrukcją potiomkinowską. I każdy miesiąc rządów Zjednoczonej Prawicy tę fasadę z dykty i gipsu obnażał. Każdy dzień pokazywał, że Donald Tusk zwyczajnie nie potrafił rządzić, natomiast obudował te złe rządy ogromną konstrukcją propagandy sukcesu, wzmocnioną równie potiomkinowską konstrukcją uznania w światowych mediach i docenienia przez wiele rządów oraz instytucji. Dla nich Tusk oraz Polska w okresie rzekomego złotego wieku to była kura znosząca wielkie złote jaja. Dosłownie, gdyż gdzieś w tym czasie wypłynęło z Polski 200–250 mld zł, ileś ważnych spraw załatwiono bez sprzeciwu Polski, ileś przewag, w tym konkurencyjnych zdobyto, ileś żywotnych polskich interesów zostało zagłaskanych i zaklepanych po plecach. Poza wysiłkiem modernizacyjnym, do jakiego Tuska i jego rząd zmusiła organizacja mistrzostw Europy w piłce nożnej (załatwionych zresztą przez rząd PiS i prezydenta Lecha Kaczyńskiego, przyznanych Polsce oraz Ukrainie 18 kwietnia 2007 r.), nic istotnego w sferze wielkich czy choćby ambitnych przedsięwzięć ani ten „wielki przywódca", ani „rząd złotego wieku" nie zrobił. Większość inwestycji na Euro 2012 zaplanowano zresztą jeszcze za rządu premiera Jarosława Kaczyńskiego.

W złotym wieku Tuska w dużym stopniu Polska miała premiera z tektury, politykę imitującą aktywność, quasi-podmiotowe relacje międzynarodowe będące w istocie nową wersją postkolonializmu, gospodarkę wpędzoną w pułapkę średniego rozwoju i duszoną przez ogromne transfery na zewnątrz oraz społeczeństwo zaganianie do słabo opłacanej pracy, w minimalnym stopniu korzystające ze wzrostu PKB i generalnie bogactwa narodowego. Złoty wiek Donalda Tuska był więc w znaczącym stopniu epoką wtórnego postkolonializmu. A model sprawowania władzy przez niego cechował brak powagi i poczucia odpowiedzialności za cokolwiek. I to jest prawdziwa spuścizna Tuska oraz jego rządów.

W OPARACH CYGAR I PRZY WINIE

Większość kryzysów, przez jakie przechodziła, Platforma Obywatelska zawdzięcza swemu ojcu założycielowi Donaldowi Tuskowi. Z perspektywy Grzegorza Schetyny Tusk zostawił mu w partii w dużym stopniu spaloną ziemię (jak zresztą w wielu innych dziedzinach). To za przewodnictwa Tuska PO stała się partią całkowicie eklektyczną programowo. To Tusk zaczął przesuwać PO na lewo, transferując takich polityków lewicy jak Bartosz Arłukowicz, Dariusz Rosati czy Danuta Hübner. To Tusk wyrzucił z partii bądź zmarginalizował jej konserwatywne skrzydło. To on zastąpił idee oraz wartości pragmatyczną i oportunistyczną filozofią ciepłej wody w kranie. To za jego rządów partia zaczęła się kurczyć, zamiast rosnąć. I to on zaprowadził styl rządów, który po przegranych przez KO (PO)

eprasa.pl f85080dd20

wyborach 13 października br. „Gazeta Wyborcza" opisała jako rządy piątego piętra (w siedzibie partii na Wiejskiej), czyli sprawowanie władzy „w oparach cygar i przy winie". To nie jest wynalazek Schetyny, lecz Tuska. Schetyna tylko wskoczył w buty Tuska, żeby partia była w ogóle sterowna.

Z kolei programowa jałowość PO pod wodzą Schetyny wynika w dużym stopniu z tego, czym ta partia jest, a właściwie była: zwornikiem interesów lub ściślej interesów grup interesów. Zresztą w intencji Donalda Tuska taka miała być od powstania w 2001 r. Grzegorz Schetyna przebudowuje PO (raczej mniej niż bardziej udolnie), odwołując się do koncepcji Koalicji Obywatelskiej, żeby partia radziła sobie, gdy jest w opozycji i przestaje być zwornikiem potrzebnym grupom interesów. W tym sensie ucieka od modelu Tuska, który tylko pod jego przywództwem był funkcjonalny. Gdy Tusk odszedł, a zastąpiła go Ewa Kopacz, wszystkie wady takiego modelu funkcjonowania PO zaczęły się szybko ujawniać.

Gdy 1 grudnia 2014 r. Donald Tusk zaczął urzędowanie w Brukseli w roli przewodniczącego Rady Europejskiej, nie tylko skorzystał ze ścieżki międzynarodowej kariery, możliwej wyłącznie wtedy, gdy silna była jeszcze europejska i krajowa pozycja jego promotorki Angeli Merkel. Wobec dzisiejszej pozycji Merkel Tusk nie miałby już szans na takie stanowisko. Idealnie wykorzystał więc historyczne okno. Ale był to też już ostatni moment, aby się ulotnić z polskiej polityki i uniknąć odpowiedzialności za zbliżające się porażki w kolejnych wyborach. One nie wynikały z braku Tuska w polskiej polityce, lecz były skutkiem jego bardzo intensywnej obecności i siedmiu lat sprawowania funkcji premiera oraz ponad jedenastu lat przewodzenia Platformie Obywatelskiej.

Można by te lata podsumować znanym powiedzeniem: „po mnie choćby potop" czy w wersji bardziej współczesnej: „teraz, k..., to paliwo może być nawet i po 7 zł". W takim stanie Tusk zostawił zarówno państwo polskie, jak i Platformę Obywatelską. Grzegorz Schetyna nie mógł oczywiście mówić o tym głośno, ale jego złe relacje z Donaldem Tuskiem wynikały przede wszystkim ze spuścizny tego ostatniego, za które ten pierwszy został obarczony odpowiedzialnością. Schetyna musiał się liczyć z mitem Tuska, a nawet z jego uzurpacją, z tym, że przez prawie pięć lat urzędowania w Brukseli zagwarantował sobie prawo bycia superprzewodniczącym PO oraz tym, kto może w Polsce więcej niż jakikolwiek polityk opozycji. Schetyna musiał się pogodzić z rolą Tuska jako proroka i zbawcy, jako ostatniej nadziei, strategicznej rezerwy i najważniejszego odwodu. Stąd wizja Tuska na białym koniu. Schetyna musiał przełknąć niczym niepopartą tezę, że PO przegrywa wskutek braku Tuska w polskiej polityce, choć nie tylko on wiedział, że porażki wynikają z dziedzictwa byłego premiera oraz jego wciąż mocnej pozycji w polityce opozycji. Z Tuskiem byłoby jeszcze gorzej, lecz sympatycy opozycji nie chcieli brać tego pod uwagę. Zadziałały mity zwycięzcy, złotego wieku i mocarstwowości. Tego, że z Tuskiem byłoby jeszcze gorzej, nie można było przyznać, gdyż wtedy zniknęłaby ostatnia deska ratunku, nadzieja i mobilizacja.

> Pozycja Tuska jako wielkiego i sprawnego polityka, autora seryjnych zwycięstw wyborczych, człowieka sukcesu na światową miarę dawała opozycji nadzieję, choć Grzegorz Schetyna i jego współpracownicy doskonale wiedzieli, że to tylko bajka. Ale nawet dla nich była ona użyteczna, bo odwoływała się do legendy złotego wieku PO

RATOWANIE MITU

Donald Tusk przez pięć lat po opuszczeniu stanowiska premiera rządu RP sprytnie podtrzymywał mit straty nie do odrobienia, jaką dla polskiej polityki jest jego „awans". Lepiej byłoby wyłącznie wtedy, gdyby wrócił. Ale realnie przecież nie mógł wrócić, gdyż wiedział (m.in. na podstawie różnych badań), że żadnych wyborów już by nie wygrał, nawet uzyskując dobre wyniki, a za to zniszczyłby mit zwycięzcy, zbawcy i proroka. Dlatego 5 listopada br. nie mógł ogłosić niczego innego niż to, że nie wystartuje w wyborach prezydenckich. Wolał, żeby zwolennicy i czekający na cud czuli zawód, rozgoryczenie, żal, a nawet złość, niż żeby się przekonali, że król jest nagi.

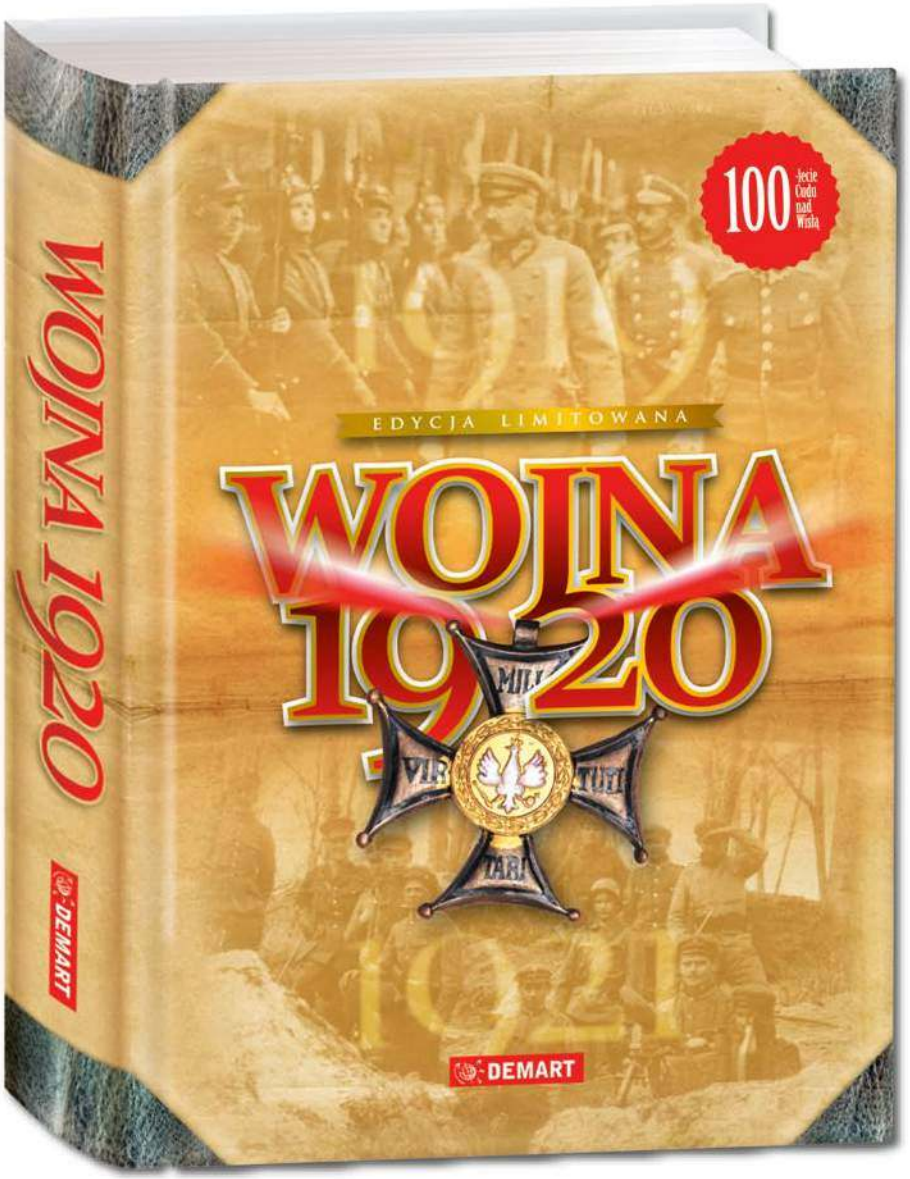
Wprawdzie mit Tuska został nadwerężony, ale nie został zniszczony, więc może trwać do wyborów parlamentarnych w 2023 r. oraz prezydenckich w 2025 r., gdyby w maju 2020 r. Andrzej Duda przedłużył swój mandat na drugą kadencję. W tym czasie były premier i były szef Rady Europejskiej będzie odgrywał światowca, będzie wykładał, mediował, wyprawiał się na specjalne misje, ale przede wszystkim będzie próbował zachować status tego, kto niesie nadzieję. Mimo że to on w najwyższym stopniu odpowiada za to, że nadzieja się nie ziściła od wyborów prezydenckich w 2015 r. Podtrzymanie przez Donalda Tuska nawet resztek mitu jest fatalną wiadomością dla Grzegorza Schetyny, on ten rozdział chciałby bowiem jak najszybciej zamknąć. Inaczej nie wyjdzie z pułapki Tuska, co oznacza odsunięcie od przewodzenia partii.

Rządząca Zjednoczona Prawica nie musi się Tuskiem przejmować, choć skutki jego rządów będzie odczuwać być może jeszcze przez całą drugą kadencję. Tak jak będzie odczuwać negatywne skutki jego przewodzenia Radzie Europejskiej. W tym sensie Donald Tusk może mówić o swoim sukcesie. Żaden polityk III RP nie odcisnął takiego piętna na polityce Polski i wokół Polski jak on.

47/1019/F

eprasa.pl f85080dd20

PREMIERA 28.11.2019
XXVIII Targi Książki Historycznej



Wojna polsko–bolszewicka i 100-lecie Cudu nad Wisłą

www.demart.com.pl

DEMART

Polska jest na dobrej drodze

Prawdziwa polityka to jest takie prowadzenie spraw, żeby coś załatwić dla dobra wspólnoty. Z tego punktu widzenia rząd dobrej zmiany jest najbardziej republikański spośród wszystkich rządów III RP. Bo myśli na serio, bo robi prawdziwe rzeczy, a nie „harata w gałę”

Jacek Karnowski rozmawia z Markiem Wróblem, prezesem Fundacji Republikańskiej

W tych dniach Fundacja Republikańska świętuje swoje 10-lecie. Po co powstaliście? Czy cele, które były na początku działalności, pozostają bez zmian, czy też, jak to często bywa, zmieniły się pod wpływem okoliczności?

Marek Wróbel: Nasze cele mają charakter ciągły i stale towarzyszy im ruchomy horyzont. Chodzi przede wszystkim o wzmocnienie i poprawę jakości państwa. Nigdy nie postawiliśmy sobie jakiegoś celu ostatecznego. Nie planowaliśmy przejęcia władzy nad światem czy np. zastąpienia któregoś z liderów [śmiech].

Fundacja Republikańska powstała w określonym kontekście. To było jeszcze przed Smoleńskiem, ale już po pierwszym zwycięstwie PO.

I przede wszystkim po rocznym kacu po przegranych wyborach. Fundację założyli ludzie ściślej lub luźniej związani z tzw. pierwszym PiS, czyli – jak to się wówczas mówiło – z IV RP. Byliśmy rozczarowani. Bo projekt IV RP nie dość, że wówczas nie wygrał, to do tego był skromny i mało ambitny.

Mało ambitny? Chodziło przecież o budowę nowego państwa, o odsunięcie od władzy potężnych układów.

To wyglądało jak próba co najwyżej nadgryzienia tych układów. W każdym razie wówczas identyfikowaliśmy się jako „sieroty po IV RP”, które nie dość, że zostały osierocone, to miały jeszcze poczucie niedosytu. Postanowiliśmy więc wyciągnąć wnioski i wziąć się do roboty systemowej. Chcieliśmy tworzyć środowisko, wymyślać projekty, porządkować pewne sprawy, na nowo nazywać zjawiska i problemy. Przyjęliśmy też nowatorską, jak na polską prawicę, formułę interoperacyjności. To była nasza odpowiedź na poważną chorobę po naszej stronie sceny politycznej, którą ówcześnie było sekciarstwo czy jakiś rodzaj zamknięcia. Dotyczyło to wówczas nawet PiS.

W jakim sensie?

Wczesne PiS było bardzo unitarne. Wystarczyło, że ktoś odstawał o 5 proc., a już się nie mieścił. Powtórzę, że dotyczyło to całej prawicy. Więc szukaliśmy formuły, która pozwoli nam zgromadzić ludzi również różniących się od siebie, a także da nam możliwość współpracy z podmiotami dość od nas dalekimi. Szukaliśmy zasad, które będą z jednej strony elastyczne i pojemne, ale z drugiej nie sprawią, że upodobnimy się do PO czy SLD. Tak powstały nasze trzy zasady republikańskie, jednocześnie sztywne i elastyczne, a także pozwalające wyinterpretować z nich pogląd na dowolną sprawę.

Przypomnijmy te trzy zasady.

Po pierwsze, zasada dobra wspólnego, przeciw interesom grupowym. Po drugie, zasada podmiotowości państwa polskiego w wymiarze zewnętrznym i, co podkreślam, wewnętrznym. Po kilkunastu latach transformacji było już jasne, że elita rządząca Polską nie zawsze dla Polski działa. To, że mówi po polsku i z wyglądu przypomina inne elity, jeszcze nie znaczy, że pracuje na rzecz podmiotowości. I trzecia zasada, czyli ochrona życia od poczęcia do naturalnej śmierci. Te trzy zasady to nasze kotwice. Jeśli ktoś je podziela, to go lubimy, nawet jeśli on nas nie lubi. I będziemy go lubić tak długo, aż również on nas polubi [śmiech]. Do tego dochodzi jeszcze nacisk na merytoryczne podejście. Gdy widzimy jakiś problem, zawsze stawiamy pytanie: na czym on polega? Co jest pod spodem? Jak wygląda mechanizm i dlaczego nie działa albo dlaczego działa? To nas interesuje, a nie to, czy facet, który lansuje jakiś pomysł, 30 lat wcześniej coś podpisał czy też nie.

Ale to ma często duże znaczenie.

Oczywiście, wiemy, że podpisanie lojalki ma wpływ i na dzisiejszą rzeczywistość, ale traktujemy to na zimno, jak kolejny parametr i motywację danej osoby czy środowiska. Przyjęliśmy jeszcze jedno założenie: nie mówimy o jakimś problemie, jeśli nie możemy przedstawić propozycji jego rozwiązania. Chcemy się wyrwać z typowej publicystycznej pułapki, która skupia się na opisywaniu tego, jak jest źle

eprasa.pl f85080dd20



Fot. Andrzej Wiktor

i beznadziejnie. Owszem, pierwsze numery naszego kwartalnika „Rzeczy Wspólne" to była próba opisania świata, ale już od dawna skupiamy się na proponowaniu rozwiązań.

Co dla was znaczy słowo „republikańskość"? W polskiej debacie to słowo coraz mocniej kojarzy się z tzw. prawicą wolnościową, a więc konserwatywno-liberalną.

Większość z nas wyszła z tych środowisk, sam byłem 20 lat temu członkiem Unii Polityki Realnej. Ale to było dawno. W naszym ujęciu republikanizm to przede wszystkim dobro wspólne. My się zajmujemy przede wszystkim siłą i podmiotowością polskiego państwa. I wiemy, że w pewnych warunkach wolność potrzebuje np. nie zniesienia wszystkich regulacji, ale odwrotnie: solidaryzmu czy etatyzmu. Cóż z tego, że w początkach lat 90. rynek został uwolniony, zresztą w pełni tylko na krótko, skoro beneficjentami byli głównie albo starzy towarzysze, albo kapitał zagraniczny? To uwolnienie nie stworzyło warunków do akumulacji polskiego kapitału nieoligarchicznego. Zresztą kapitał oligarchiczny też się za bardzo w Polsce nie rozwinął.

Tak, na tym polu nasze sukcesy na tle sąsiadów wyglądają na szczęście marnie.

To dlatego nasza transformacja jest mimo wszystko najbardziej udana spośród wszystkich transformacji krajów postkomunistycznych. Kapitał oligarchiczny niszczy tkankę społeczną i państwową w dużo większym stopniu niż kapitał zagraniczny. To dotknęło nie tylko państwa położone na wschodzie, lecz także Czechy, Słowację, Węgry, Rumunię, Bułgarię. A ojcowie założyciele III RP z jakichś powodów uznali, czy raczej uznano za nich, że lepiej będzie oddać siebie i kraj pod opiekę mocarstw i ich kapitału. Dzięki temu poszliśmy drogą możliwie najbardziej zachodnią. To gorzki paradoks – że na decyzji o nas podjętej bez nas wyszliśmy nie tak najgorzej.

Nie było trzeciej drogi?

Była, ale jeszcze gorsza: serbska lub białoruska, a więc odmowa udziału w globalizacji. Polska była zupełnym bankrutem i nie decydowaliśmy wówczas o swoim losie, nie byliśmy w żadnym stopniu podmiotowi. Czy mogliśmy być? Wątpię, bo nie było ani pieniędzy, ani organizacji, ani tradycji. Z tego punktu widzenia mieliśmy więcej szczęścia niż rozumu. Oczywiście nie znaczy to, że nie można było zrobić tego lepiej, uczciwiej.

To samo mówi wiele środowisk III RP, które przecież przyznają, że popełniono pewne błędy. Rozumiem, że z pana perspektywy one nie miały i nie mają ambicji, by iść dalej?

Oni nadal uważają, że powinniśmy tkwić w tym, co nam dano. A więc integracja europejska, liberalna demokracja i takiż turbokapitalizm. A my tę lekcję odrobiliśmy pierwsi w regionie. W porównaniu z marzeniami poradziliśmy sobie średnio, ale gdy tłem będzie te parę tuzinów krajów, które razem z nami wystartowały 30 lat temu, to naprawdę nie wypadamy źle. Mamy jakieś tam instytucje, jakąś świadomość, jakąś klasę polityczną, jakieś pieniądze i jakąś armię. Dlaczego więc powinniśmy nadal być tym osławionym „kondominium"? Nie ma najmniejszego powodu. A polityka „ciepłej wody w kranie" jest najzwyczajniej do bani. Rozumiem, skąd ona się wzięła, czemu służyła i jak zarazem kreowała i odpowiadała na demokrację sondażową, ale to była postpolityka. A to nie jest prawdziwa polityka.

Jeśli daje władzę, to jest. Przynajmniej w rozumieniu gry o panowanie w kraju.

Prawdziwa polityka to jest takie prowadzenie spraw, żeby coś załatwić dla dobra wspólnoty. Z tego punktu widzenia rząd dobrej zmiany jest najbardziej republikański spośród

eprasa.pl f85080dd20

wszystkich rządów III RP. Bo myśli na serio, bo robi prawdziwe rzeczy, a nie „harata w gałę". Jeśli cywilizacyjnym projektem Platformy było Euro 2012 oraz orliki, to ja bardzo przepraszam, to pokazuje skalę myślenia. Nie chcę powiedzieć, że wielkie imprezy czy boiska nie są potrzebne, wręcz przeciwnie. Ale to nie mogą być sztandarowe projekty państwa polskiego! Bo wydźwignąć nas mogą rzeczy naprawdę ambitne, np. spięcie rurami, kolejami i drogami Trójmorza. To jest dwie ligi wyżej. A to, co proponowała PO, nie dorastało nawet do przekopu Mierzei Wiślanej.

Te wielkie projekty idą jednak ciężko. A jeśli się nie udają, stają się łatwym polem do ośmieszania wszelkiej ambitnej polityki.

Wiem. Kierunek jest jednak ważny. To wszystko przypomina trochę czasy przedwojenne. Czasem można spotkać złośliwe określenie PiS jako „grupy rekonstrukcyjnej sanacji". Jeśli jednak zignorujemy złośliwość, a „sanację" zastąpimy „II RP", to rzeczywiście, mamy dosyć trafne określenie, bo analogii nie brakuje. Ówczesne państwo polskie mierzyło się z dość podobnymi problemami. Wówczas było nawet dużo trudniej, bo trzeba było scalić, licząc z cesarstwem, cztery różne kawałki, kraj był zniszczony wojną, a do tego doszła hiperinflacja, czyli po prostu bankructwo. Sytuacja była gorsza niż po komunizmie. Ubytek PKB po I wojnie światowej i po wojnie polsko-bolszewickiej był większy niż po II wojnie. Nawet po 20 latach, tuż przed II wojną, dochód na mieszkańca był ok. 10 razy mniejszy niż obecnie. Zapóźnienie wobec Niemiec było znacznie większe niż dziś. Ale jednak próbowano szarpnąć do przodu właśnie za pomocą wielkich projektów: Gdyni, COP, rozbudowy kolei. Próbowano także zapewnić państwu bezpieczeństwo, zarówno przez sojusze, jak i rozbudowę armii. Ten krajobraz jest więc dość podobny do obecnego, choć na szczęście są też różnice. Przede wszystkim nie mamy u granic potężnych i agresywnych bandytów – III Rzeszy i Sowietów.

Dziś mamy w grze także Amerykę, której wówczas tu nie było.

Za to bezpieczeństwo także płacimy. Czasem musimy się troszkę poniżyć, ale lepiej się kłaniać Stanom Zjednoczonym, niż mieć Rosję na karku, albo kłaniać się dużo niżej Niemcom.

II RP działała jednak w czasach, gdy właściwie wszyscy akceptowali wartość własnego państwa. Dziś próbujemy coś zrobić w warunkach cywilizacji, która nie tylko nasze państwo osłabia, i to na każdym możliwym poziomie. Mamy także próbę podważenia podstawowego porządku moralnego. Jak na to należy, waszym zdaniem, odpowiadać?

Dla porządku należy powiedzieć, że ówczesna Rzeczpospolita wcale nie była taka spójna. Mieliśmy 30 proc. nie zawsze lojalnych mniejszości narodowych, a i Polacy potrafili się kłócić! A dziś, paradoksalnie, mamy sporo gorzkiego szczęścia. Komunizm wyrządził wiele szkód i krzywd, ale jednak nas osłonił przed rewolucją 1968 r. i jej tragicznymi następstwami. My wtedy mieliśmy po prostu walki frakcyjne między „chamami" a „Żydami", a tam to był pierwszy akord procesu rozwalania społeczeństwa.

To jednak do nas przychodzi, ostatnio bardzo szybko.

Ale jednak z opóźnieniem i nie na taką skalę. To jest renta z zapóźnienia, premia za peryferyjność, tak jak w naszym systemie bankowym, który ominął etap czeków i od razu przeszedł do kart kredytowych. Zanim trucizna nas zatruje, inni mogą już być martwi. Do tego zanim część naszej młodzieży się tym zachwyciła, wielu z nas już widziało, jakie są tego prawdziwe skutki. Mamy też konserwatywną młodzież.

Ważne są jednak trendy. Widać, że duża część młodzieży porzuca związek z katolicyzmem. To będzie miało poważne skutki.

Wystarczy, że tej patriotycznej młodzieży, której np. na tle lat 90. jest sporo, będzie istotna mniejszość. Nie ma takiej potrzeby, by wszyscy stawali do walki czy do pracy dla ojczyzny. Nie ma nawet takiej możliwości. Ludzi, którzy walczą w jakikolwiek sposób, zawsze jest niewielu. Największe mobilizacje w dziejach świata nie przekraczały 10 proc. społeczeństwa. Spośród członków pierwszej „S" też przecież tylko część stała na barykadach. Nie ma w tym nic niezwykłego ani nawet złego. Młodzi ludzie czasem się bardzo oburzają, gdy im mówię, jak wygląda realna polityka. Oni żyją w świecie – jak to nazywamy w Fundacji – tęczowych jednorożców i będą w nim żyli. To my musimy robić swoje, by oni mogli pląsać po łąkach z jednorożcami. Treścią życia nie jest walka. Walka jest niezbędna, by ochronić życie, ale nie ona jest celem. I jednak zachowajmy proporcje, bo nawet narzekając na odchodzenie młodzieży od Kościoła czy na rosnący konsumpcjonizm, pamiętajmy, jak wygląda młodzież niemiecka czy brytyjska.

W złym łatwiej dogonić lidera niż w dobrym.

Te zagrożenia oczywiście są. Ale też uważajmy, żeby nie przesadzić. Na przykład nasza propaganda patriotyczna jest trochę zbyt toporna. Jeśli będziemy wszystkich wokół nadmiernie epatowali żołnierzami wyklętymi, to w końcu naprawdę nastąpi reakcja. Ale generalnie z dziesięciolecia na dziesięciolecie sytuacja się poprawia. Poparcie dla aborcji w latach 90. było znacznie wyższe niż teraz i drobne wahania tego obrazu nie zmienią. Podobnie z patriotyzmem czy np. stosunkiem do Wojska Polskiego. Myśmy się mocno „odlewakowali" w ciągu ostatniego 30-lecia.

Z poziomu polityki historycznej zejdźmy na poziom tu i teraz. A tu PiS wygrywa na gruncie socjalnym, solidarystycznym, gospodarczym.

Jeśli PiS „daje 500+", to włącza do życia narodu ludzi, którzy dotychczas w nim nie uczestniczyli. Dziesięć lat temu Polska liczyła nie 38 mln obywateli, ale ze 30 mln, bo reszta była wykluczona. Wielkie programy społeczne przywracają ludzi właściwie nieobecnych wśród nas już od całego pokolenia albo i dwóch. Widać już wyższy stopień integracji społecznej niż siedzenie na miejscu, w odcięciu od świata – np.

eprasa.pl f85080dd20

w aktywności zawodowej, edukacyjnej czy wakacyjnej. A jeśli jeszcze część tych ludzi zaczyna głosować, to mamy republikanizm w najlepszym wydaniu. Nie wszyscy muszą od razu spalać się na ołtarzu ojczyzny, zacznijmy od spraw podstawowych: od włączenia wszystkich Polaków do Polski. I jeszcze jedno: to, że pieniądze na 500+ wzięły się z tzw. uszczelnienia, ma fundamentalne znaczenie.

Dlaczego?

Bo to oznacza nie tylko, że te rządy lepiej zarządzają, lecz także to, że realizują zasadę sprawiedliwości. Te wszystkie karuzele VAT-owskie i mafie nie tylko nas okradają, one także – a może przede wszystkim – niszczą kapitał społeczny. Jeśli wszyscy są przekonani, że panu X, który trzęsie gminą, wolno wszystko, to o jakiej wspólnocie możemy mówić? Ten w sumie prosty projekt 500+ buduje ważne wartości.

Wcześniej mówił pan o relatywnym sukcesie III RP na tle sąsiadów. Skoro jednak 500 zł na dziecko zmieniło tak wiele, to ten obraz nie wygląda najlepiej.

W 30-leciu III RP wielu z nas załapało się na poprawę. I to był powód, dla którego to państwo nie zauważyło wykluczonych. Musimy widzieć proporcje: takie zjawiska jak strukturalna zapaść, wyludnianie się całych regionów czy wpadanie w łapy populistów przybierały w innych państwach znacznie ostrzejsze formy. Dziś walczymy z pułapką średniego dochodu, ale pamiętajmy: w latach 90. taka pułapka była marzeniem, była poza zasięgiem. To, że nie chcemy już średniego dochodu, jest miarą naszego sukcesu.

Jak na tym tle pan i pana środowisko interpretujecie wyniki ostatnich wyborów?

Optymistycznie. Zjednoczona Prawica nie jest pozbawiona wad. Ale po pierwsze, wszyscy inni mają tych wad znacznie więcej, a po drugie, spośród sensownych sił tylko PiS ma szansę na rządzenie. Po tych czterech latach sprawy, na których nam zależy, a więc troska o dobro wspólne czy podmiotowość państwa, mają się lepiej. To musi potrwać, bo zbiorowy proces polityczny, psychologiczny i systemowy, jakim jest „wstawanie z kolan", musi trwać i często zaboli. W sumie ewidentnie poszliśmy do przodu i ludzie to widzą. Pamiętajmy też, że w 2015 r. PiS wygrało samodzielne rządy jednak przypadkiem. Teraz dostało ponad 8 mln głosów, czyli swoją szansę solidnie wykorzystało. Zapracowało na tę drugą kadencję.

Co powinno być najważniejsze dla ekipy rządzącej w ciągu najbliższych czterech lat?

> Nasza transformacja jest mimo wszystko najbardziej udana spośród wszystkich transformacji krajów postkomunistycznych. Kapitał oligarchiczny za bardzo w Polsce się nie rozwinął. A on niszczy tkankę społeczną i państwową w dużo większym stopniu niż kapitał zagraniczny

Niestety utrzymanie wysokiego poparcia. Mówię niestety, bo wiem, jakie są tego koszty. Trzeba robić rzeczy, których by się nie chciało robić, rządzenie z oddechem sondaży na karku należy do zajęć dość nieprzyjemnych. Nie ma jednak innego wyjścia: do wyborów prezydenckich trzeba dowieźć wysokie poparcie. Później pojawi się jednak okno na reformy, pewnie dwuletnie.

Jakie to powinny być reformy?

Na przykład podatkowa. I nie mówię koniecznie o obniżeniu podatków, bo to zależy jakich i gdzie. Ale ten system trzeba zdecydowanie uprościć i mocno zobiektywizować. To bardzo duża sfera urzędniczej uznaniowości psuje polskie państwo. To dlatego system podatkowy jest zły, a nie dlatego, że podatki są wysokie. Bo na tle europejskim są one średnie.

Co należy zrobić z niedokończoną reformą wymiaru sprawiedliwości?

Ta reforma utknęła, jesteśmy w sytuacji patowej. Ani „kasta" nie złożyła broni, ani też nie pokonała „najeźdźców". Problem polega na tym, że bardziej radykalne reformy wymagałyby posiadania większości konstytucyjnej. Coś jednak można zrobić, np. dlaczego nie wprowadzić sędziów pokoju? Na pewno warto tę reformę zrestartować, zacząć od nowa. Bo to jest jedna z pięt achillesowych III RP.

Jak oceniacie coś, co często jest nazywane wojną polsko-polską?

To jest problem prawdziwy, ale przeceniany. Odbywa się on w dużej mierze w sferze medialnej. Na przykład w mediach społecznościowych bywam bardzo ostro atakowany przez liberalnych znajomych. Gdy jednak spotkam kogoś z atakujących, to się okazuje, że potrafimy normalnie rozmawiać, a nawet współpracować. To po pierwsze. A po drugie, wbrew powszechnej opinii zgodność Polaków jest większa niż 30 lat temu. Bo czy są dziś liczące się grupy, które uważają, że powinniśmy sprowadzać gaz tylko z Rosji? A kilkanaście lat temu były. Czy są grupy, które sprzeciwiają się wzmacnianiu polskiej armii? Jeśli są gdzieś na lewicy, to mają marginalne znacznie. Patrząc realnie, łączy nas całkiem sporo, a może nawet coraz więcej.

W sumie po dziesięciu latach Fundacja Republikańska ma więc poczucie, że jej sen o republikańskim państwie już nie jest mrzonką?

Mamy też poczucie, że jakąś swoją cegiełkę do tego dołożyliśmy. Polska jest na dobrej drodze.

eprasa.pl f85080dd20



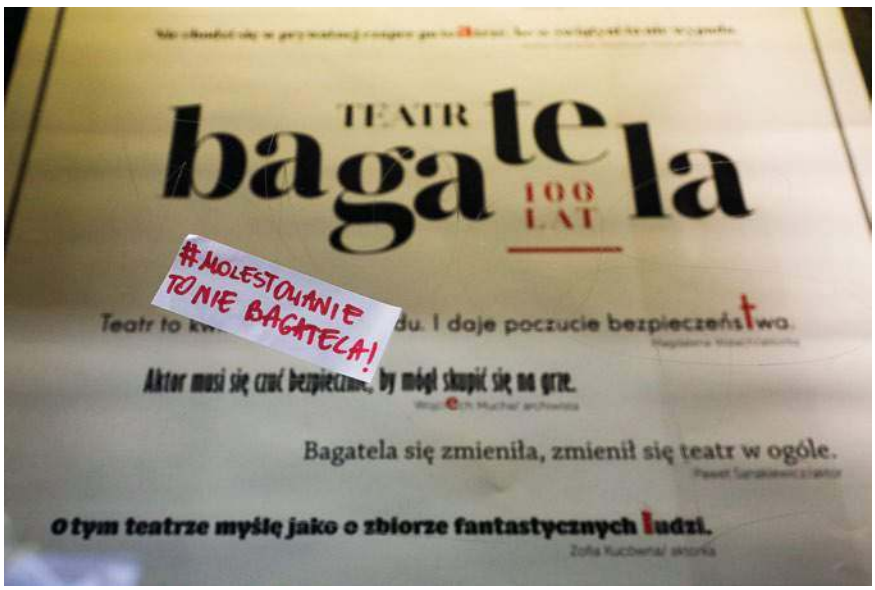
– Nie jest normalne, że czuję się bezpiecznie w scenicznym łóżku z kolegą, a gdy wchodzę do gabinetu dyrektora, czuję się zagrożona – mówi Alina Kamińska

Ciałem pracuję tylko na scenie

Lizał aktorki po szyi, wkładał im język do ucha, mówił sprośne rzeczy. Tak opowiadają o dyrektorze aktorki krakowskiego teatru. On zapewnia, że jest niewinny: zachowywał się po ojcowsku, a jeśli jakąś aktorkę przytulił, to dlatego że było jej zimno



MAJA NARBUTT



Fot. Beata Zawrzel/REPORTER

Dlaczego zareagowałyśmy dopiero teraz? Dlaczego długo nie zgłaszałyśmy problemu i nie mówiłyśmy publicznie, co nas spotyka ze strony dyrektora? Tak właśnie zapytał mnie starszy kolega z teatru. Odparłam: „A jeśli bym ci to opowiedziała zaraz po kolejnym incydencie, to co byś zrobił? Poszedłbyś do niego?". Zapadło głuche milczenie – opowiada mi Alina Kamińska, aktorka teatru Bagatela.

Decyzja, by ujawnić molestowanie i mobbing, do którego miało przez lata dochodzić w teatrze, nie była łatwa. Powodów, które zamykały aktorkom usta, jest wiele. Typowo krakowski niepokój, „co ludzie sobie pomyślą", oraz obawa, że spotkają się ze środowiskowym ostracyzmem, bo kalają własne teatralne gniazdo, ujawniając sprawy, które powinny być dyskretnie przemilczane. Ale także lęk, że złamią sobie karierę i dostaną etykietkę aktorek konfliktowych i „niezatrudnialnych", przed którymi zamkną się wszystkie drzwi.

Żeby do końca zrozumieć, co się działo w teatrze Bagatela, trzeba znać teatralną specyfikę. Aktorka w starciu z dyrektorem jest z zasady na straconej pozycji.

– Pewne reguły nie dotyczą gwiazd, ale w końcu ile tych gwiazd jest? One czują się bezpiecznie, grają w filmach, reklamach, wiedzą też, że w razie czego zawsze inny teatr chętnie je zatrudni. Ale cała masa aktorek rozumie doskonale, że w jednej chwili mogą zostać zwolnione i wylądować na bruku. Nic ich nie chroni. Mogą mieć etat, jednak to nic nie znaczy. Zawsze można powiedzieć, że ich emploi już nie odpowiada teatrowi albo się po prostu zestarzały – mówi jeden z krakowskich ludzi teatru.

Kiedy aktorki teatru Bagatela usiadły naprzeciw siebie i zaczęły analizować, co je spotykało, szybko doszły do wniosku, że wybór kobiet, które stały się obiektem mobbingu i seksualnego prześladowania, nie był przypadkowy. Profil był podobny: kobieta w trudnej sytuacji życiowej bez partnera czy męża, często samotnie wychowująca dziecko. To zresztą klasyczna strategia w takich wypadkach, prześladowca z reguły szuka osób słabszych, które będą się bały stawić zdecydowany opór i za którymi nikt się nie ujmie.

Ich położenie było fatalne. Ze względu na indywidualną sytuację, ale też zważywszy na brutalne reguły gry w teatrze, które kobietom nie sprzyjają.

– Aktorka teatralna szybko rozumie, że znalazła się w pułapce. Kiedy ma, powiedzmy, 39 lat, uważa się, że nie jest już młoda i proponuje role matek dwudziestoparolatków. Wtedy ona patrzy z lękiem w lustro, czy jej czas się już kończy. Gdy zbliża się do pięćdziesiątki, trafia do „poczekalni", gdzie ma czekać, aż się bardziej zestarzeje i zacznie grać role babek – opowiada z goryczą jedna z krakowskich aktorek.

Tajemnicą poliszynela było, że dyrektor Henryk Schoen, od 20 lat kierujący teatrem Bagatela, lubi zatrudniać ładne aktorki o pewnym typie urody i nieskazitelnej cerze, ale kiedy osiągają pewien wiek, jest bezlitosny.

– Usłyszałam, że widz czuje wstyd i zażenowanie, kiedy widzi na scenie starsze aktorki. Często padały hasła w stylu: jak aktorka skończy 40 lat, to powinna sprzedawać warzywa – mówi Alina Kamińska.

Gdyby do rzeczywistości teatralnej przyłożyć zasady dotyczące walki z dyskryminacją ze względu na płeć czy wiek, wynik byłby katastrofalny. Tak po prostu jest i po części wynika to z biologii, bo trzydziestoparolatka nie powinna już grać szekspirowskiej Julii.

Ale w pewnych teatrach jest lepiej, w innych gorzej, a w niektórych wręcz fatalnie. Pozornie koleżeńskie więzi, to, że wszyscy spotykają się przy stoliku w teatralnym bufecie i mówią sobie po imieniu, nie zmienia faktu, że teatr jest instytucją hierarchiczną, na której szczycie znajduje się dyrektor. Niektórzy z dyrektorów dzielą się władzą – wpływ na obsadę sztuki czy dobór repertuaru mają reżyserzy albo rada artystyczno-programowa, ale w teatrze Bagatela tak nie było, tam dyrektor miał władzę absolutną, a – jak wiadomo – władza absolutna deprawuje absolutnie.

Trzeba też wziąć pod uwagę, że teatr jest miejscem, w którym ludzie o specyficznej, artystycznej wrażliwości ulegają rozchwianym emocjom, gdzie knuje się zakulisowe intrygi i desperacko walczy o rolę.

– Nie mam wątpliwości, że kiedy dojdzie do sądowej walki, będziemy przedstawione jako osoby, które się mszczą na dyrektorze. Jednak to nie ma nic wspólnego z zemstą i nie chodzi przecież o mój indywidualny przypadek. Jest zbyt wiele kobiet z teatru, nie tylko aktorek, lecz także pracownic

Fot. Damian Klamka/East News

eprasa.pl f85080dd20

administracji, które gotowe są opowiedzieć, co je spotkało. I nie chodzi tylko o mobbing, ale o seksualne nadużycia, przekraczanie granic – mówi Alina Kamińska.

Niedawno zeznawała wstępnie w prokuraturze – nie chce ujawniać, co było treścią zeznań, ale można się spodziewać, że znalazły się tam też treści, które do tej pory nie przeniknęły do opinii publicznej i są naprawdę mocne.

KOŃSKIE ZALOTY

– To absolutnie niemożliwe, by Henryk Schoen robił rzeczy, które mu się zarzuca. Cała historia jest jedną wielką groteską, zwłaszcza odkąd pojawiły się relacje, że kelnerki z lokalu położonego koło teatru twierdzą, że bały się go obsługiwać, bo składał im nieprzyzwoite propozycje. Albo że nagabywał nawet pasażerkę w tramwaju. Nigdy w to nie uwierzę, bywaliśmy wielokrotnie na tych samych bankietach i nie widziałem w jego zachowaniu nic, co by na takie skłonności wskazywało – twierdzi krakowski publicysta, jeden z sąsiadów dyrektora Schoena w Woli Justowskiej, najbardziej ekskluzywnej dzielnicy Krakowa, pełnej zabytkowych rezydencji.

Bez wątpienia Henryk Schoen, który lubi się chwalić, że pochodzi z rodziny baronów von Taube, należy do krakowskiej elity, co zdaniem niektórych jest gwarancją przyzwoitości. Jest z zacnej rodziny, wrośniętej od pokoleń w Kraków, ma żonę scenografkę, która słynęła w krakowskim wielkim świecie z tworzenia pięknych haftowanych sukien, a teraz stanowczo zapewnia, że ręczy za swego męża, tego samego od 45 lat.

Krakowskie elity na ogół sznurują usta, zgorszone faktem, że pewne rzeczy roztrząsa się publicznie, bo od czasów „Moralności pani Dulskiej" wiadomo, że nie wypada tego robić. Są gotowe uwierzyć w spisek, który ma zniszczyć dyrektora.

Ale wśród ludzi związanych z teatrem nastroje są inne. Wybuch skandalu nie był dla nich gromem z jasnego nieba. Po prostu pewne rzeczy się zdarzają, choć raczej nie wypływają poza krąg wtajemniczonych.

– Wszyscy w kręgach teatralnych Krakowa dobrze się znają, po spektaklu chodzą na wódeczkę do Piwnicy pod Baranami, obserwują się w różnych sytuacjach, bywają na teatralnych festiwalach. Powiedzmy więc, że nie byłem bardzo zaskoczony – mówi jeden z moich rozmówców.

Jednak chociaż w Krakowie opowiada się teraz różne anegdoty i roztrząsa, „jaki właściwie jest Henryk Schoen", nie jest to istotne. Nie chodzi o wydanie mu świadectwa moralności lub jej braku, bo to jego prywatna sprawa. Sprawa, którą prowadzi Prokuratura Okręgowa w Krakowie z artykułu 199 paragraf 2 Kodeksu karnego, dotyczy bowiem jednej konkretnej rzeczy: doprowadzenia do poddania się czynnościom seksualnym z wykorzystaniem zależności służbowej.

> Decyzja o tym, by ujawnić molestowanie i mobbing, do którego miało przez lata dochodzić w teatrze, nie była łatwa. Powodów, które zamykały aktorkom usta, jest wiele. Typowo krakowski niepokój „co ludzie sobie pomyślą" oraz obawa, że spotkają się ze środowiskowym ostracyzmem

Brzmi to bardzo poważnie, choć niektórzy z moich krakowskich rozmówców skłonni są bagatelizować sytuację, sugerując, że Henryk Schoen, rocznik 1951, jak wielu mężczyzn z jego pokolenia, po prostu nie zauważył, że czasy się zmieniły i pewnych rzeczy, określanych jako końskie zaloty kobiety już nie tolerują.

Prawdziwy problem związany z aferą, która wybuchała w Krakowie, polega też na czymś, co nadal jest tematem tabu – poza środowiskiem teatralnym, gdzie jest to oczywiste.

Do molestowania i mobbingu dochodzi bowiem w wielu polskich teatrach. I gdyby naprawdę się tym zająć, byłoby to jak otwarcie puszki Pandory.

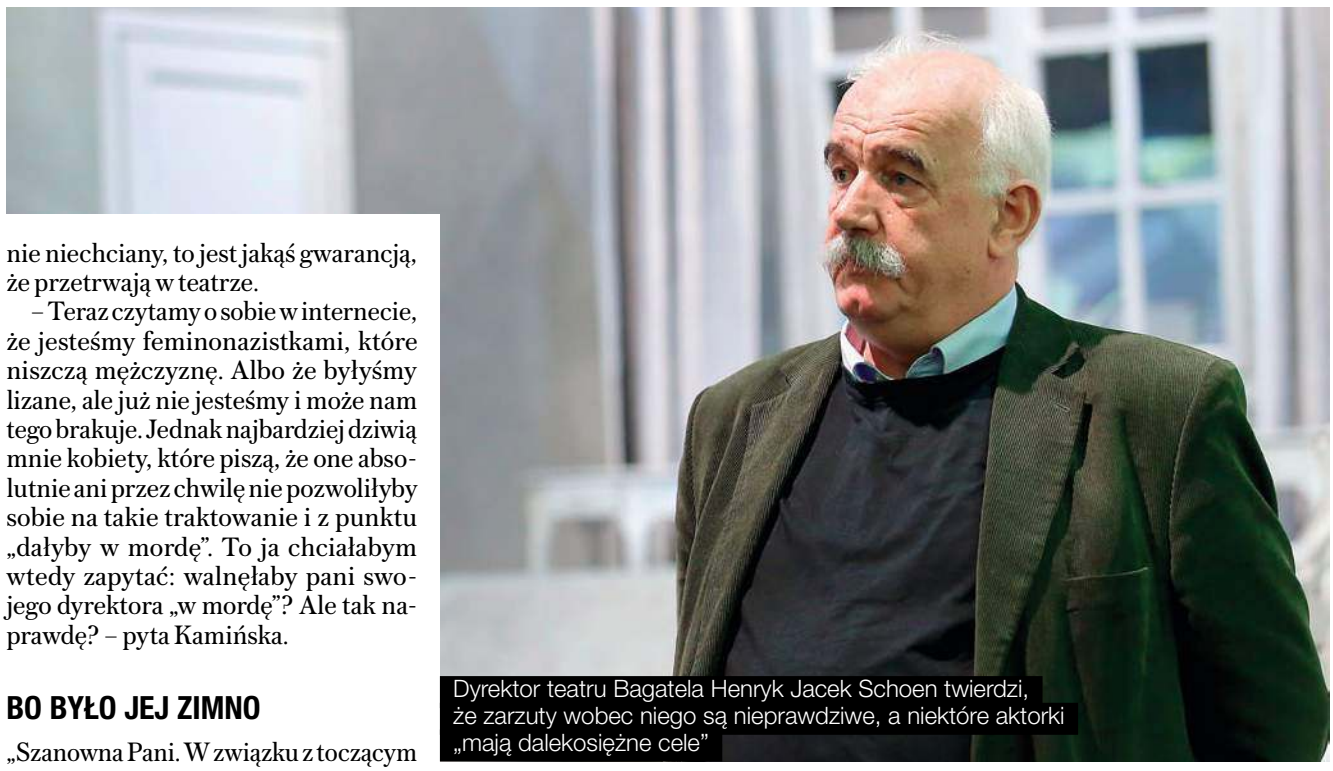
– Plotki, że jakiś dyrektor lub reżyser molestuje, nikogo nie dziwią. Dotyczą wielu znanych osób, o głośnych nazwiskach. Jedyna różnica polega na tym, że ktoś molestuje aktorki, a inny aktorów. Dziewczynka czy chłopiec, oto jest pytanie. A poza tą usankcjonowaną zwyczajem teatralną frywolnością w teatrze jest też zjawisko przemocy. Aktorów można upokorzyć, zwymyślać, potraktować brutalnie. Wszystko oczywiście w imię sztuki, żeby wywołać w nich emocje, sprawić, by przekroczyli swoje granice – opowiada znany krytyk teatralny.

Jednak trudno uznać, że dyrektor teatru Bagatela mógł działać w imię sztuki. Molestowanie, które mu się zarzuca, miało przecież dotyczyć także kobiet pracujących w administracji. One chyba znosiły to najgorzej – przełomowy moment nastąpił, gdy jedna z nich po wyjściu z gabinetu dyrektora ukryła się w toalecie i wymiotowała. A potem wysłała esemesa do Aliny Kamińskiej, że muszą porozmawiać. I wypadki potoczyły się lawinowo.

– Godzę się na utratę intymności na scenie. To mój zawód. Ale chociaż w teatrze jako aktorka pracuję ciałem, to nie oznacza to, że to ciało jest dostępne w takim samym stopniu poza sceną. I nie jest normalne, że czuję się bezpiecznie w scenicznym łóżku z kolegą, a gdy wchodzę do gabinetu dyrektora czuję się zagrożona – mówi Alina Kamińska.

Bardzo długo i ona, i inne aktorki zmagały się z poczuciem winy. Zastanawiały się, czy zrobiły wszystko, by go powstrzymać, czy też mogły być bardziej stanowcze. Może paraliżował je lęk, a może podświadomie czuły, wstydząc się tego, że skoro dyrektor jakoś się nimi interesuje, nawet w sposób przez

eprasa.pl f85080dd20



Dyrektor teatru Bagatela Henryk Jacek Schoen twierdzi, że zarzuty wobec niego są nieprawdziwe, a niektóre aktorki „mają dalekosiężne cele"

Fot. Damian Klamka/East News

nie niechciany, to jest jakąś gwarancją, że przetrwają w teatrze.

– Teraz czytamy o sobie w internecie, że jesteśmy feminonazistkami, które niszczą mężczyznę. Albo że byłyśmy lizane, ale już nie jesteśmy i może nam tego brakuje. Jednak najbardziej dziwią mnie kobiety, które piszą, że one absolutnie ani przez chwilę nie pozwoliłyby sobie na takie traktowanie i z punktu „dałyby w mordę". To ja chciałabym wtedy zapytać: walnęłaby pani swojego dyrektora „w mordę"? Ale tak naprawdę? – pyta Kamińska.

BO BYŁO JEJ ZIMNO

„Szanowna Pani. W związku z toczącym się w prokuraturze postępowaniem wyjaśniającym nie mogę niestety udzielać żadnych informacji" – odpisuje mi dyrektor Schoen, gdy proszę go o spotkanie i rozmowę.

Ale nie chciał się kontaktować z dziennikarzami już wcześniej, zanim z zawiadomienia prezydenta Krakowa Jacka Majchrowskiego, któremu podlega dotowany przez miasto teatr, prokuratura wszczęła postępowanie.

– Czekałem przed jego gabinetem, gdy ujawniono, że aktorki poszły ze skargą do prezydenta Majchrowskiego i wybuchła afera. Dyrektor nie zaprosił dziennikarzy do siebie, drzwi były zamknięte. W końcu wyszedł i odczytał oświadczenie, że zarzuty wobec niego są nieprawdziwe, a niektóre aktorki „mają dalekosiężne cele". Nie chciał wyjaśnić, o co mu właściwie chodzi, był w wyraźnym szoku, w niczym nie przypominał zadowolonego z życia sybaryty, jak go zwykle postrzegaliśmy – opowiada Łukasz Gazur, szef działu kultury „Gazety Krakowskiej".

Enigmatyczne sformułowanie o dalekosiężnych celach „niektórych aktorek" szybko w Krakowie rozszyfrowano. Miała się za tym kryć sugestia, że to właśnie Alina Kamińska, inspiratorka teatralnego buntu, aktorka, ale też radna, czyha na dyrektorski stołek.

Ta teoria ma pewną lukę – w konkursach na stanowisko dyrektorów krakowskich teatrów wymagane jest zwykle co najmniej czteroletnie doświadczenie na kierowniczym stanowisku, czego Kamińska nie ma.

– Skandal w teatrze Bagatela jest dla wielu szokiem. Chociaż, jak się lepiej zastanowić, były pewne sygnały, które mogły świadczyć, że dzieje się tam coś dziwnego. Z teatru odchodziły aktorki. Słyszałem od nich, że nie podoba się im atmosfera. Określały ją jako „familiarną". To było tak, jakby dochodziło do przekraczania pewnych granic. Ale nie chciały stawiać sprawy ostro, chyba bały się, że środowisko uzna, że są zbyt emocjonalne albo wręcz rozhisteryzowane – opowiada Łukasz Gazur.

Dyrektor Henryk Schoen przebywa teraz na urlopie. Wymuszonym, bez wątpienia, przez prezydenta Krakowa. Kiedy urlop się skończy w styczniu, powinien wziąć następny, za następny rok, tego się od niego oczekuje.

– Kolejny ruch należy do prokuratury. Ale nie wyobrażamy sobie, by dyrektor do teatru wrócił – mówi mi rzeczniczka prezydenta Krakowa Monika Chylaszek.

Ci, którzy znają dyrektora, nie są wcale przekonani, że jest to dla niego oczywiste.

Mecenas Anna Skąpska-Capińska, reprezentująca Henryka Schoena, nie chce się oficjalnie wypowiadać na temat sprawy. Przyznaje, że doradziła dyrektorowi, by w ogóle nie zabierał głosu. Chce mnie wręcz przekonać, bym nie wspominała o naszej rozmowie, bo każda informacja prasowa „nakręca i nakręca" aferę.

Bez wątpienia rozwój sytuacji jest dla dyrektora Schoena zaskoczeniem. Szykował się, że to on wytoczy sprawę o naruszenie dóbr osobistych, tymczasem sprawy przybrały inny obrót. Nadal uparcie twierdzi, że dotykał aktorek „po ojcowsku", a jeśli jakąś przytulił, to wtedy, gdy było jej zimno.

– Będę trochę tajemniczy, nie wolno przecież za wcześnie odkrywać kart. O tym, czy można mówić o przestępstwie zadecyduje prokuratura. Nie jest jednak tak, że pewnych spraw nie można dowieść i nie ma świadków – mówi mecenas Wojciech Nartowski, reprezentujący aktorki z teatru Bagatela.

eprasa.pl f85080dd20



Kanadyjski teoretyk gender Christopher Dummitt na łamach francuskiego tygodnika „Le Point" przyznał się, że fałszował badania, które miały potwierdzać teorie płci społecznej

Niebezpieczna pseudonauka

Czy dziedzina zbudowana na fałszywych badaniach ma prawo do naukowego szacunku? Czas rozprawić się z ideologią gender i odkryć jej prawdziwy cel



MARZENA NYKIEL

W czasie gdy jeden z ważniejszych profesorów genderologii Christopher Dummitt dokonywał medialnej spowiedzi, przyznając się do pseudonaukowego kłamstwa, Jarosław Gowin, minister nauki i szkolnictwa wyższego, przekonywał, że położy się Rejtanem w obronie gender na uczelniach. Rak politycznej poprawności wniknął bardzo głęboko, skoro ideologia ma prawa równe nauce, a ludzie odpowiedzialni za rzetelną, naukową dyskusję zwodzą i dają się zwodzić. Czy pseudonauka zbudowana na kłamstwie powinna się utrzymywać na uczelniach?

SPOWIEDŹ GENDERYSTY

Miesiąc temu huknęła wstrząsająca dla genderowego świata wieść. Christopher Dummitt, profesor z kanadyjskiego uniwersytetu w Trent, wyznał, że treść jego książki „The Manly Modern. Masculinity in Postwar Canada" jest w większości zmyślona. Naukowiec, wpływający przez lata na formowanie zagadnień genderowych, przyznał się do fałszowania wyników swoich badań. „Myliłem się. Albo – mówiąc dokładniej – częściowo miałem rację, a resztę wymyślałem wszystko od A do Z, i nie byłem jedyny" – wyznał Dummitt, przekonując, że całe środowisko naukowe skupione wokół gender studies naciąga lub fałszuje dane. „To po prostu sposób działania na tym polu naukowym" – podkreślił. Kanadyjski historyk z zakresu gender studies przyznał się do zafałszowania wyników w kilku pracach naukowych. „Ciągle powtarzałem: płeć nie istnieje, ja to wiem i tyle" – mówi. I tłumaczy, że wierzono mu tylko ze względu na autorytet stopnia naukowego.

KŁAMSTWA ZAŁOŻYCIELSKIE

Sprawa Dummita nie jest odosobniona. Ideologia gender wyrosła z całego zespołu kłamstw i zafałszowań. Nawet najbardziej absurdalne teorie mogą zostać utrwalone w społeczeństwie, jeśli zostaną odpowiednio rozpowszechnione i uzasadnione naukowo. Mar-

eprasa.pl f85080dd20

garet Mead, Wilhelm Reich, Simone de Beauvoir, John Money czy Alfred Kinsey byli w tym nieocenieni. Mimo że ich naukowa działalność poszerzała jedynie niechlubny zbiór fałszerstw intelektualnych, w swoim czasie odegrała potężną rolę w tworzeniu naukowej podbudowy dla zmian obyczajowych.

W 1928 r. Margaret Mead opublikowała książkę „Dojrzewanie na Samoa", opisując w niej barwnie życie Samoańczyków cieszących się rozkoszami niczym nieskrępowanej wolności seksualnej. Swoją publikacją dokonała przewrotu w światowej antropologii, przekonując, że to, co dotychczas uważaliśmy za część ludzkiej natury, jest jedynie skutkiem ograniczenia narzuconego przez cywilizację. Jej książka miała ogromne znaczenie dla postępów rewolucji seksualnej. Szybko zdobyła pozycję światowego bestsellera, wywierając potężny wpływ na rozwój XX-wiecznej antropologii. Wnioskami, które sformułowała, karmiono młodzież uniwersytecką. Rozpowszechniono też szeroko przekonanie, że nie istnieje stała i niezmienna natura ludzka, a zachowanie seksualne człowieka jest uwarunkowane jedynie kulturowo. Naukowo udokumentowany postulat „wolnej miłości" utorował drogę rewolucji seksualnej. Dopiero pół wieku później się okazało, że treści, które stały się wykładnią uniwersytecką i fundamentem dalszych badań, są zmyślone. W 1983 r., pięć lat po śmierci Mead, australijski naukowiec Derek Freeman z uniwersytetu w Canberze ujawnił, że wyniki jej badań to oszustwo. Freeman spędził na Samoa wiele lat, wnikając głęboko w struktury społeczne mieszkańców wyspy. W książce „Margaret Mead i Samoa: stworzenie i obalenie antropologicznego mitu" opisał prawdziwe życie na archipelagu, dowodząc, że sfera płciowości jest wyjątkowo przez Samoańczyków strzeżona i ceniona. Odkrycie Freemana ujawnił „The New York Times", podkreślając, że Mead dopuściła się poważnych przekłamań. „Cały akademicki establishment oraz wszystkie encyklopedie i podręczniki akceptowały konkluzje zawarte w tej książce, a te konkluzje są fundamentalnie błędne. Nie ma drugiego takiego przypadku samooszukania się w całej historii nauk behawioralnych" – podsumował Freeman.

Autor innego kłamstwa sprawił, że dewiacja stała się normą. Amerykański zoolog Alfred Kinsey przeprowadził pierwsze w historii analizy socjologiczne na temat aktywności i preferencji seksualnych. Efekty opublikował w dwóch książkach: „Zachowanie seksualne mężczyzny" z 1948 r. i „Zachowanie seksualne kobiety" z 1953 r. Wywołały one w USA obyczajowe tsunami. Kinsey oparł swoje analizy na anonimowych ankietach przeprowadzonych na ponad 5 tys. mężczyzn i 6 tys. kobiet. Dotyczyły one także aktywności dzieci w wieku od dwóch miesięcy do 15 lat. Jakie wyciągnął wnioski? Amerykańskie monogamiczne i rodzinne społeczeństwo to czysta fikcja. Kinsey przekonywał, że stosunki przedmałżeńskie i pozamałżeńskie służą rozwojowi emocjonalnemu oraz psychicznemu kobiet, powstrzymywanie się zaś od nich prowadzi do zaburzeń. Zachowania hetero-, bi- i homoseksualne polecił traktować jako równoważne, normalne i akceptowalne, orientację seksualną człowieka określił zaś jako continuum od hetero- do homoseksualizmu. Na dowód wyliczył, że prawie 40 proc. mężczyzn ma za sobą kontakty homoseksualne, a 10 proc. to homoseksualiści. Dowodził też, że dzieci są żywo zainteresowane seksem już od niemowlęctwa i nie przeżywają kontaktów płciowych traumatycznie. Dotychczasowe pojęcie normy seksualnej zostało całkowicie zdegradowane. W nowej mieściło się wszystko: masturbacja, homoseksualizm, kazirodztwo, fetyszyzm, zoofilia, nekrofilia, pedofilia i wszelkie inne perwersje. Publikacja raportów doprowadziła do dziejowego przewrotu obyczajowego. Mimo że część świata naukowego od początku miała wątpliwości dotyczące analiz Kinseya, oficjalnie uznano je za wyrocznię seksuologii. Wyniki badań wprowadzono do naukowego dorobku jako twardy punkt wyjścia do dalszych rozważań. Przyniosły też konkretne skutki prawne i przełożyły się na obniżenie dopuszczalnego prawem wieku inicjacji seksualnej, wprowadzenie do szkół edukacji seksualnej dzieci oraz rekonstrukcję prawa karnego.

Dopiero 30 lat później dr Judith Reisman, przedstawiając wyniki wieloletnich analiz, dowiodła w 1981 r., że raporty Kinseya są największym oszustwem naukowym XX w. Wykazała, że większość błędów była zamierzona i miała potwierdzić przyjęte wcześniej założenia. Podstawowe uchybienie metodologiczne stanowiła próba badawcza dobrana w sposób skandaliczny i absolutnie nienaukowy. Zebrane przez Kinseya dane pochodziły w większości z półświatka ludzi seksualnie wyzwolonych, którym zresztą płacił za intymne wynurzenia. W gronie badanych znalazło się ok. 25 proc. więźniów i przestępców seksualnych. Reszta to czarni mieszkańcy getta i biali z kręgów bohemy. Trudno się więc dziwić, że osiągnął tak wysoki wskaźnik dewiacyjnych zachowań seksualnych. Najbardziej szokująca część raportu dotyczyła życia seksualnego dzieci. Kinsey stwierdził, że seksualność rozwija się już w niemowlęctwie, a kontakty seksualne dzieci z dorosłymi są dla maluchów przyjemne i korzystne. Mimo że jego badania okazały się kłamstwem, nadal stanowią koło napędowe rewolucji genderowej, Instytut Kinseya do dziś uchodzi za poważną uczelnię kształcącą seksuologów, a na jego teoriach oparta jest współczesna seksuologia.

Nie sposób tu pominąć twórcy samego pojęcia gender. Doktor John Money, kontrowersyjny psychiatra i seksuolog amerykański z Uniwersytetu w Baltimore, użył pojęcia „gender" po raz pierwszy. Określał w ten sposób dwie obecne w człowieku i przeciwstawne sobie płcie: „sex", czyli płeć biologiczną, i „gender", czyli płeć społeczno-kulturową. Na tę ostatnią składa się wiele czynników: edukacja, stereotypy kulturowe, uwarunkowania społeczne, religijne, ekonomiczne. Money pierwszy przekonywał, że dziecko rodzi się bez poczucia tożsamości płciowej i przez pierwsze dwa lata życia można ją dowolnie ukształtować na drodze wychowania. Wystarczy więc odpowiednia interwencja behawioralna, by dokonać kolejnej zmiany płci. Problem w tym, że teoria nie wytrzymała starcia z rzeczywistością i zakończyła się ludzkim dramatem. W 1966 r. do kliniki Moneya trafili rodzice półrocznych bliźniaków, z których jeden przeszedł nieudaną operację usunięcia napletka i został poważnie okaleczony.

eprasa.pl f85080dd20

Zrozpaczeni rodzice, szukając rozwiązania, zdecydowali się na operacyjną zmianę płci. Uznali, że skoro dziecko dopiero nabywa tożsamość seksualną, mogą uratować je przed życiowym nieszczęściem i na nowo ukształtować jego płeć. Money zalecił wykonanie operacji narządów płciowych i nakazał Reimerom, by traktowali chłopca jak dziewczynkę. Dziecko od samego początku nie akceptowało tej sytuacji, a wieloletnia terapia eksperymentalna stosowana wobec braci zakończyła się potężną depresją. Bruce-Brenda od 11. roku życia miał myśli samobójcze. Gdy nowy psychoterapeuta zalecił, by powiedzieć chłopcu prawdę, ten natychmiast zdecydował o powrocie do swojej biologicznej płci. Przeszedł kolejną metamorfozę i przyjął imię David. Cały czas borykał się jednak z silnym poczuciem wstydu. I choć pozornie jego życie zaczęło się układać, nawet się ożenił, nie potrafił znaleźć równowagi. W wieku 38 lat odebrał sobie życie. Jego brat bliźniak, cierpiący na depresję, zrobił to samo dwa lata wcześniej.

GENDER STUDIES

Genderyści za wszelką cenę próbują zdobyć legitymację naukowości. Podyplomowe szkółki dla aktywistów wdarły się na uniwersytety, prowadzą rozstrzygane we własnym gronie badania i narzucają nową wizję świata. Nienaukowość genderyzmu wychodzi jednak za każdym razem, gdy tylko zabierają głos w akademickim dyskursie. O ile bowiem celem filozofii jest poznanie prawdy ukrytej w naturze bytu, o tyle gender próbuje wymyśloną przez siebie „prawdę" wtłoczyć w rzeczywistość, negując istnienie natury. Ideologia jest jednak silniejsza. Międzynarodowe instytucje wywierają naciski, a ministerstwa nauki poszczególnych krajów biernie im ulegają.

Proces deformowania nauki i wpasowywania jej w lewicową ideologię galopuje dzięki systemom grantowym. Już kilka lat temu jasne było, że plan zgenderyzowania nauki jest faktem. Unia Europejska zapowiedziała wówczas największy w historii program finansowania badań naukowych i innowacji „Horyzont 2020". Przeznaczyła na to prawie 80 mld euro. Świat naukowców, zwłaszcza w Polsce, ogromnie ucieszyła możliwość zdobycia środków na prowadzenie badań. Jednak już podczas rejestracji okazało się, że naukowy słownik został poddany genderowej rewitalizacji. Zawiera on kilkadziesiąt nowych pozycji, a wśród nich: „gender in computer hardware and architecture", „gender in water resources", „gender in transport planning" czy „gender in vehicle engineering". Gender można (a nawet należy, jeśli chce się otrzymać unijny grant) wybrać w każdej dziedzinie badawczej. Niezależnie od sugestii szczegółowych jest jeszcze oddzielna kategoria – „gender research", uwzględniająca ów termin m.in. w religii, filozofii i sztuce. Jak można więc mówić o wolności nauki, jeśli pojawia się silna presja, by – pod groźbą cofnięcia dofinansowania – wprowadzać gender studies nawet na katolickie uniwersytety?

> Naukowo udokumentowany postulat „wolnej miłości" utorował drogę rewolucji seksualnej. Dopiero pół wieku później się okazało, że treści, które stały się wykładnią uniwersytecką i fundamentem dalszych badań, są zmyślone

ŹLE POJĘTY PLURALIZM

„Położę się Rejtanem, jeżeli ktoś będzie próbował ograniczać wolność słowa zwolennikom ideologii gender. Jeżeli są tacy na uczelniach, mają prawo podejmować projekty badawcze, prowadzić zajęcia w tym zakresie" – stwierdził Jarosław Gowin, minister nauki i szkolnictwa wyższego, przekonując w rozmowie z Jackiem Karnowskim w tygodniku „Sieci", że Zjednoczona Prawica musi się otworzyć na centrum, wyzbyć się lęków i konstruktywną pracą wykształcić nowe pokolenie konserwatystów. Skąd to optymistyczne oderwanie od rzeczywistości i ślepa wiara w źle pojęty pluralizm? Dlaczego mielibyśmy uznać ideologiczny bełkot za równy teorii naukowej?

Wydaje się, że problem ze źle pojętym pluralizmem stoi u podłoża nowej koncepcji szkół wyższych wprowadzonej przez Jarosława Gowina. Środowiska humanistyczne szeroko oprotestowały Konstytucję dla nauki, która w efekcie promuje lewicowy – często pseudonaukowy – nurt. Uzależnia wyniki naukowców od publikacji w wytypowanych wydawnictwach i ogranicza rzetelne badania. Wysokie uzależnienie nauki od grantów i systemu punktowego doprowadzi do jej skarlenia. Zostanie skrojona pod grantodawców i w wielu przypadkach wypaczona.

Jarosław Gowin przekonuje, że gender studies nie stanowią w Polsce problemu, ponieważ obecne są tylko na kilku uczelniach, a i tak nie mają zbyt wielu zainteresowanych. Czy można tak lekko potraktować tę sprawę? Należy pamiętać, że kierunek obecny jest na polskich uczelniach od 20 lat i zdążył już wykształcić obecną dziś na uczelniach kadrę naukową, która wkroczyła ze swoją ideologią na wiele innych wydziałów i w „nowym" duchu wychowuje polską młodzież. Ideologia gender wdziera się w światową naukę, próbując ją zastąpić, pełniąc funkcję, jaką niegdyś pełnił marksizm. Młodzi ludzie mają być formowani w lewicowym kluczu, promowanym przez międzynarodowe instytucje, także naukowe, nagradzające sutymi grantami tych, którzy pójdą za rozwojem neomarksizmu opakowanego w szyld nowoczesności. Ile warte są ich badania, pokazują kolejne akty demaskatorskie.

Nie można się temu zjawisku biernie przyglądać, wierząc naiwnie w naukowy pluralizm. Ideologowie mają zbyt duże wsparcie, także polityczne i finansowe. Rzecz idzie przecież o coś znacznie potężniejszego. O nowe społeczeństwo. O nowego człowieka, skrojonego na miarę ideologów kreujących nowy świat.

eprasa.pl f85080dd20

Kiedyś się jeszcze spotkamy, Jasiu

„Wszystkie badania naukowe potwierdzają, że aborcja jest bezpieczna, że jest nawet bezpieczniejsza od porodu" – przekonywały aktywistki z tzw. Aborcyjnego Dream Teamu, recenzując w „Wysokich Obcasach" film „Nieplanowane". To te same panie, które kilka miesięcy wcześniej z pastelowej okładki tegoż tytułu przekonywały, że „aborcja jest OK"



DOROTA ŁOSIEWICZ

Aborcyjny Dream Team istnieje już trzy lata. Tworzą go: Justyna Wydrzyńska, Karolina Więckiewicz oraz Natalia Broniarczyk. Na profilu ADT na Facebooku aktywistki opublikowały 101 faktów o aborcji, przekonując m.in., że aborcja prawie zawsze przynosi ulgę oraz bywa doświadczeniem bardzo wzmacniającym, nie powoduje zaburzeń zdrowia psychicznego, za to „zmuszanie osoby do kontynuacji niechcianej ciąży i porodu może prowadzić do kryzysów emocjonalnych, a nawet depresji. [...] Po aborcji możliwe jest odczuwanie wahania nastroju, ale według wielu badań zdecydowana większość (95 proc.!) nie żałuje aborcji i uważa, że decyzja o przerwaniu ciąży była słuszna" – czytamy.

– Te kobiety albo zupełnie nie wiedzą, o czym mówią, albo próbują zagłuszyć tą promocją aborcji to, co zrobiły. Nie wierzę, że ktoś, kto przeszedł przez aborcję i wie, z czym to się wiąże, mógłby tak lekko pakować w to piekło inne kobiety – mówi Katarzyna z Warszawy, jedna z uczestniczek rekolekcji „Winnica Racheli" przeznaczonych dla kobiet, które dokonały aborcji.

ABORCJA TO PRAWO WYBORU?

Pani Kasia ma 48 lat. Dziś zajmuje się wychowaniem dzieci, prowadzeniem domu. Pomaga mężowi prowadzić finanse firmy. 28 lat temu, w ósmym tygodniu ciąży, dokonała aborcji. Wtedy nie widziała możliwości wychowania dziecka.



Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f85080dd20

– Pochodzę z dysfunkcyjnej rodziny, wychowali mnie dziadkowie, moja mama zniknęła, gdy miałam 10 lat, nigdy więcej jej nie widziałam. Ojciec założył nową rodzinę. Byłam więc takim niedokochanym dzieckiem –opowiada pani Kasia. – Męża poznałam, gdy miałam 18 lat, zakochałam się, dwa lata później zaszłam w ciążę. Już wtedy pracowałam. Mój partner nie chciał dziecka. Nie był gotowy. To był szok. Ale ja tak bardzo nie chciałam zostać sama, nie wyobrażałam sobie, że możemy się rozstać. Do rodziny nie mogłam się zwrócić o pomoc. Miałam poczucie, że sama jestem dla dziadków ciężarem. Jak więc mogłam sprowadzać im na głowę kolejny ciężar – relacjonuje pani Kasia. – Jestem pewna, że nie ma takiej kobiety, która na zimno, z rozmysłem, wiedząc, z czym to się wiąże, dokonałaby aborcji. Kobiety to robią, ponieważ są opuszczone i się boją. Ja byłam opuszczona i się bałam. Tu nie chodzi o żaden wybór – dodaje kobieta.

Co do tego nie ma także wątpliwości Abby Johnson, bohaterka książki i filmu „Nieplanowane". Moją rozmowę z byłą szefową jednej z placówek Planned Parenthood publikowaliśmy w jednym z poprzednich numerów tygodnika „Sieci". – Decyzja kobiety to często efekt presji otoczenia, osamotnienia, wręcz odrzucenia. Jest często zdesperowana. Widziałam przypadki, gdy obrońcy życia pod drzwiami mojej kliniki przekonywali kobiety, że istnieje inne wyjście. I to działało. Kobiety, doświadczając bliskości i troski nawet ze strony obcych ludzi, rezygnowały z aborcji. Dlatego pamiętajcie: postawa pro-choice, nie jest postawą „za wyborem". To stawianie pod ścianą kobiet, które najczęściej są w dramatycznej sytuacji i dlatego uznały, że ich jedynym wyjściem jest aborcja. A to jest zawsze złe wyjście. Sama dokonałam dwóch aborcji, mam do czynienia z kobietami, które tego doświadczyły. To piętno odciśnięte na psychice, które pozostaje tam właściwie do końca życia. Te osoby przez wiele lat zmagają się z wielkim, osobistym dramatem – mówiła Abby Johnson.

ABORCJA JEST JAK WYRWANIE ZĘBA?

Pani Katarzyna poddała się aborcji w 1991 r. – Gdy już wiedziałam, że nie ma odwrotu, szłam na zabieg jak robot. W tamtych czasach przeprowadzenie aborcji nie było skomplikowane. Wystarczyło pójść do gabinetu i było po sprawie. Aborcja była dostępna na życzenie, nikt nie robił problemu – wspomina kobieta.

Pani Kasia dorastała w latach 70. i 80. w rodzinie „tradycyjnie katolickiej". To znaczy, że została ochrzczona, poszła do Pierwszej Komunii Świętej, nawet do bierzmowania. Nie była to jednak rodzina wierząca, brakowało w niej Boga, nie mówiło się o wartości życia.

– Aborcja istniała w powszechnej świadomości jako coś, co nie jest wielkim problemem. Mama mojej koleżanki dokonała aborcji, bo nie mieli warunków na kolejne dziecko. Po prostu poszła do lekarza i dostała skierowanie do szpitala ze względu na warunki bytowe. Mimo tego że nie byłam szczególnie wierząca, a aborcja była w powszechnym przekonaniu niczym wyrwanie zęba, miałam poczucie, że robię coś niewłaściwego. Był wewnętrzny niepokój – opowiada kobieta.

Sam zabieg był dużym wstrząsem.

– To było straszne. Nie dostałam wtedy znieczulenia. Czułam potworny ból, ale to jest jak z wyrwaniem zęba, wiesz, że musisz przez to przejść i już. Dziś są inne standardy, zabieg przeprowadza się w płytkiej narkozie, więc fizycznie kobiecie jest łatwiej. Nie słyszy tego, co się wokół niej dzieje. Komfort fizyczny jednak nie sprawia, że psychicznie jest łatwiej – zauważa pani Kasia.

Po zabiegu ówczesny chłopak odwiózł ją taksówką do domu.

– Do dziś pamiętam, że pierwsze, co zrobiłam po wyjściu z taksówki, to potwornie zwymiotowałam gdzieś pod drzewem. Później wróciłam do domu i zasnęłam. Obudziłam się z ogromną pustką. Czułam, jakby mi ktoś wyrwał kawałek serca. Miałam poczucie straty. Tęskniłam później za tym dzieckiem, myślałam, co by było, gdyby ono się urodziło. Nikomu o tym nie mówiłam, a po latach okazało się, że babcia wiedziała, że usunęłam ciążę. Ale ten temat nie istniał – wspomina pani Katarzyna.

Później się okazało, że do czasu.

Tak swoją pierwszą aborcję (jedną z dwóch) wspomina w książce Abby Johnson: „Jedno z najwyraźniejszych wspomnień to moment, gdy leżałam na stole, moje stopy spoczywały w uchwytach i czułam ból w podbrzuszu. Jęczałam, a pielęgniarka głaskała mnie delikatnie po głowie. »Już dobrze, kochanie. To prawie koniec«. Otworzyłam oczy i zobaczyłam plakat z kotem na suficie nad moją głową. Kot wisiał na gałęzi, a tuż pod jego zwisającą łapą widniał napis: »Trzymaj się«. [...] Znowu poczułam ból. Słyszałam własny jęk, ale brzmiał jakoś obco. [...] Nagle ktoś pomógł mi wstać i założyć ubranie, tam na miejscu. Podano mi kilka krakersów. »Proszę to zjeść, a potem może pani iść«. Mark czekał na zewnątrz, jak zawsze nonszalancki. Pomógł mi wsiąść do samochodu i w milczeniu wróciliśmy do Bryan. Podwiózł mnie do mojego mieszkania. Zrobiliśmy to. »Problem« zniknął. Sam zabieg wiązał się z fizycznym cierpieniem, ale nie było we mnie żadnego żalu. Żadnego smutku. Ani wewnętrznego zmagania, czy słusznie postąpiłam. Jedynie wyraźne poczucie ulgi. Uff. Mam to za sobą. Teraz mogę zająć się przyszłością. Całe to doświadczenie wrzuciłam do skrzyni, wieko zabiłam gwoździami i umieściłam w najbardziej odległych zakamarkach mojej duszy, udając, że to wszystko nigdy nie miało miejsca. Trzy dni później powróciłam do zwykłych zajęć".

ABORCJA PRZYNOSI ULGĘ I NIE OBCIĄŻA PSYCHIKI KOBIETY?

– Feministki mówią często o poczuciu ulgi. Ja rzeczywiście poczułam ulgę, ale wynikała ona z tego, że wreszcie cały ten stres miałam już za sobą. Później przestałam czuć radość, smutek. Przestałam w ogóle czuć emocje. Słaba była ta ulga – mówi pani Kasia. – Po aborcji po prostu odcięłam się od własnych uczuć. To wydarzenie mnie zmieniło. Stałam się cyborgiem. Skoncentrowałam się na celach. Skupiłam się na tym, żeby założyć rodzinę, chciałam wyjść z dysfunkcyjnego domu. Nie skończyłam studiów, bo nie widziałam takiej możliwości. Chciałam iść do pracy, uniezależnić się.

W 1992 r., czyli rok po usunięciu ciąży, pani Kasia wyszła za mąż za ojca swojego nienarodzonego dziecka. Uczucie, które

eprasa.pl f85080dd20

łączyło parę, było na tyle silne, że przetrwało tę trudną próbę. Choć mężczyzna nie chciał dziecka, to jeszcze bardziej nie chciał stracić partnerki. W 1994 r. przyszedł na świat Antoś. Rodzina skoncentrowała się na poprawieniu sytuacji materialnej, zdobyciu mieszkania. Okazało się, że dość szybko zaczęło im się wieść materialnie, z sukcesami osiągali kolejne wyznaczone cele.

– Mimo tego ciągle byłam niezadowolona, cały czas mi czegoś brakowało, miałam poczucie niedosytu. Wówczas nawet się nad tym nie zastanawiałam, dopiero później zrozumiałam, jakiego spustoszenia dokonała w moim życiu duchowym i psychicznym aborcja. Człowiek jest istotą duchową bez względu na to, w co wierzy. Aborcja kompletnie dezintegruje – twierdzi pani Kasia. – Po aborcji w ogóle przestałam chodzić do kościoła. Mąż chodził, irytowało mnie to, nie mogłam zrozumieć, po co mu te wizyty. Dziś wiem, że byłam wściekła na Boga. Obwiniałam go o taką, a nie inną rodzinę, o to, że nikt mi nie pomógł – relacjonuje kobieta.

W 2002 r. pani Katarzyna urodziła córkę Maję. W 2005 r. zmarł Jan Paweł II.

– Nie wiem, co się ze mną stało. Płakałam po papieżu. Doświadczyłam wtedy działania Ducha Świętego. Zdawało mi się, że odszedł ktoś bliski. Wtedy nie wytrzymałam i poszłam do spowiedzi. Wyspowiadałam się z tej aborcji. Pamiętam, że zrzuciłam ciężar tych lat, zalałam się łzami, ale nie pamiętam, co mówił do mnie ksiądz – opowiada pani Kasia. – Ale to jeszcze nie było gwałtowne nawrócenie. Przełamałam lody. Później z tego samego grzechu spowiadałam się wielokrotnie, ale to nie przynosiło ulgi. Nie mogłam uwierzyć, że to załatwia sprawę – relacjonuje kobieta.

W 2009 r. zmarł dziadek pani Kasi. Jedyna osoba z rodziny, która dawała jej poczucie bycia kochaną i którą ona kochała. – To był szok. Straciłam grunt pod nogami, ziemski punkt odniesienia. Został mi już tylko Bóg, zaczęłam regularnie chodzić w niedzielę do kościoła – opowiada.

Mając 40 lat, pani Kasia poczuła się szczęśliwa i spełniona. Czuła, że ma wszystko, czego chciała, i jest po prostu dobrze. Jednak sielanka nie trwała długo. Dwa tygodnie po jej 40. urodzinach okazało się, że kobieta jest w trzeciej ciąży, wkrótce potem straciła pracę. To samo spotkało jej męża. Do tego dużą komplikacją okazała się opieka nad babcią, którą trzeba było sprowadzić do domu.

– Cała finezyjna konstrukcja zawaliła się niczym domek z kart. Jednak byłam pewna, że cokolwiek by się działo, nie powtórzę błędu z młodości i nie przerwę ciąży. Choćby się miało palić i walić.

Urodził się syn, Maciek. A w życiu faktycznie wszystko się waliło i paliło. Brak pieniędzy i kłopoty z babcią okazały się ciężarem trudnym do uniesienia. Starsze dzieci potrzebowały opieki i wsparcia.

> Czułam, jakby mi ktoś wyrwał kawałek serca. Miałam poczucie straty. Tęskniłam później za tym dzieckiem, myślałam, co by było, gdyby ono się urodziło – mówi pani Katarzyna

– I ja dopiero wtedy zaczęłam się naprawdę modlić i zobaczyłam swoją nędzę. Zrozumiałam, że wszystko, za czym goniłam, nie miało sensu, bo doczesne dobra mogą w każdej chwili przepaść. Złapałam Pana Boga za nogi i postanowiłam go nie puszczać. Ale aborcja wciąż we mnie siedziała. I zatruwała moją duszę – opowiada pani Kasia.

Także Abby Johnson wiele lat po aborcji odkryła, że „skrzynia" w jej duszy nie była zabezpieczona tak dobrze, jak myślała. „Niestety, wydobywały się z niej niewykrywalne i zarazem trujące opary, zakażając po cichu moją duszę i serce" – opisuje w książce „Nieplanowane".

KOBIETY NIE ŻAŁUJĄ?

W 2016 r. pani Katarzyna trafiła na rekolekcje „Winnica Racheli".

– Dopiero wtedy naprawdę doświadczyłam Bożego Miłosierdzia, ale uświadomiłam sobie także, czym jest syndrom poaborcyjny. Przez lata moje emocje były zamrożone, ale gdy pojawiło się trzecie dziecko, pojawił się też paniczny strach o jego zdrowie, o to, że mogłoby go nie być. Nie wypuszczałam syna z rąk. Spał ze mną, cały dzień go nosiłam. Ten lęk mnie paraliżował. Czułam, że na to dziecko nie zasłużyłam. Dopiero podczas rekolekcji zrozumiałam, że tak działa syndrom poaborcyjny, choć nie miałam takich objawów przy dwójce wcześniejszych dzieci. Wszystko wystrzeliło, gdy moja „skrzynia" zaczęła się otwierać. Rekolekcje uwolniły mnie od potępiania siebie, od wizji groźnego, karzącego Boga, pozwoliły samej sobie przebaczyć. Choć zabiłam swoje dziecko, zrozumiałam tam, że nie jestem stracona, że jest jeszcze dla mnie nadzieja – zamyśla się pani Kasia.

W kolejnych latach wzięła udział w kilku edycjach rekolekcji, wspierając przyjeżdżające tam kobiety.

– Wszystkie łączy ten sam wspólny mianownik: lęk i osamotnienie. Żadna kobieta nie zdecydowałaby się na aborcję, gdyby miała u boku mężczyznę, który powiedziałby: „Damy radę" – wzdycha moja bohaterka.

Na rekolekcje „Winnica Racheli" przyjeżdżają młode dziewczyny, ale także kobiety starsze, które nosiły swoje brzemię przez całe życie.

– I one się otwierają, zrzucają z siebie ten ciężar całego życia. Ofiarą aborcji jest dziecko, ale kobieta także. Cierpienie zostaje w niej na zawsze, nawet jeśli na początku udaje się je zagłuszyć, to wreszcie staje się nieznośne. Podczas rekolekcji jest dużo łez, ale jest też ostatecznie radość i ulga. Nie bez znaczenia jest pożegnanie dziecka podczas nabożeństwa żałobnego. Nadanie mu imienia. Napisanie do niego listu. Wyobrażenie go sobie. Dziś wiem, że moje dziecko, nadałam mu imię Jaś, nie jest stracone na zawsze. Jest wciąż moje. Wiem, że się kiedyś spotkamy – kończy pani Kasia.

eprasa.pl f85080dd20



Proszę pana, przed wojną nie wiedziałem, co to jest antysemityzm. Do 1939 r. nie znałem tego pojęcia, nie doświadczyłem żadnej nienawiści ze strony Polaków. Mieszkaliśmy w Krakowie przy ulicy Saarego

Spotykam ludzi, którzy o Holokauście dowiadują się dopiero ode mnie

eprasa.pl f85080dd20



Fot. Andrzej Wiktor

Z Edwardem Mosbergiem, ocalałym z Holokaustu, zaangażowanym w głoszenie prawdy o zbrodniach w niemieckich obozach koncentracyjnych oraz współpracownikiem fundacji From the Depths, rozmawia Jakub Maciejewski

Nasi czytelnicy znają pana przeważnie jako ocalałego z Holokaustu, który głosi światu prawdę o niemieckich obozach koncentracyjnych. Ale pańska aktywność się na tym nie kończy, bo jest pan zaangażowany także we współczesną amerykańską politykę.

Edward Mosberg: Mój temperament nie pozwala mi milczeć, gdy w Ameryce próbuje się zaprowadzić komunizm.

Aż tak?

Co się pan tak dziwi? Bernie Sanders z Partii Demokratycznej obiecuje Amerykanom takie głupoty, jakie słyszałem w Polsce zaraz po II wojnie światowej. Młodzież wierzy, że będzie sobie szczęśliwie żyła, nie płacąc za nic, a nie wie, że za darmo to można dostać jedynie bólu głowy.

Czyli, rozumiem, woli pan Donalda Trumpa?

Nie lubię Donalda Trumpa.

Słucham?!

Ja go nie lubię – ja go kocham! [śmiech] Znam go od wielu lat, byłem na ślubie jego córki, odwiedzałem go w Białym Domu. To twardy facet, który po prostu zwalcza w Ameryce komunizm. Żaden tam liberalizm czy socjalizm, jak oni próbują to nazywać, tylko po prostu komunizm.

Może taki Sanders jest jedynie ignorantem, nie wie, czym się taka ideologia kończy?

On dobrze wie, co robi. Ja komunizm lubię tylko wtedy, gdy jest daleko. Miałem przyjaciół w powojennej Polsce, wysoko postawionych, którzy zachwycili się marksizmem. Jeden z nich uznał, że nad Wisłą jest on za słaby, i pojechał do Rosji, bo tam miało być „lepiej". Ze Związku Sowieckiego wrócił wyleczony z komunizmu [śmiech].

I co zrobił?

Niewiele, bo wkrótce potem zmarł podczas urlopu w Soczi.

A pan?

Od początku nie miałem złudzeń. Po wojnie wróciłem do Krakowa i musiałem się wyleczyć ze wszystkich chorób nabytych w obozach koncentracyjnych. Lekarz mi powiedział, że nie ma dla mnie żadnego lekarstwa i że w ciągu kilku miesięcy umrę. Miałem gruźlicę płuc i gruźlicę kości i tylko wyjazd do Włoch uratował mnie przed śmiercią. Pobyt w sanatoriach mi pomógł i w 1947 r. wróciłem do Polski. Długo tam nie zabawiłem i wkrótce wyjechałem do Belgii. Tam starałem się o wizę do USA – daleko od komunizmu, daleko od nazizmu.

Nazizm w Europie był jednak wtedy pokonany.

Pamiętam, jak był „pokonany". Zaraz po wyzwoleniu obozu w Linzu zakwaterowano mnie i mojego kolegę w jednym niemieckim domu. Tak się akurat złożyło, że był to dom, w którym kiedyś żyli rodzice Adolfa Hitlera – Klara i Alois. Gospodyni starała się być miła, wszystko wyglądało poprawnie. Kiedy siedzieliśmy na parterze w salonie, zastanowiło nas, że przy ścianie stoi wielka szafa. Piętro wyżej w tym miejscu były drzwi, a tutaj – szafa. Chcieliśmy zobaczyć, dlaczego gospodyni zasłoniła drzwi szafą i co ukrywa w pokoju. Wyszliśmy na zewnątrz, kolega mnie podsadził przy oknie i omal mu z ramion nie spadłem.

Co tam było?

Zajrzałem do pokoju i pierwsze, co zobaczyłem, to popiersie Adolfa Hitlera. Ale tam było więcej rzeczy, tam było właściwie całe muzeum wodza III Rzeszy i jego rodziców.

Co zrobiliście?

Wezwaliśmy amerykańską policję, która znalazła także kartotekę lokalnych struktur NSDAP. Pamiętam, jak rzeźba Hitlera została załadowana do ciężarówki i odjechała.

Udała wam się ta gospodyni...

Tacy byli Niemcy. Oni byli wtedy w tej wojnie pobici, czuli się upokorzeni, ale to nie oznacza, że się od razu zmienili. Byłem w Linzu 30 lat później i na grobie rodziców Hitlera zastałem całą górę świeżych kwiatów. Z sąsiedniego domu wyszło akurat niemieckie małżeństwo – zacząłem ich dopytywać, kto tak dba o ten grób. Z początku nieufni, zaczęli opowiadać coraz więcej. Wreszcie się dowiedziałem, że same kwiaty złożyli przedstawiciele

eprasa.pl f85080dd20

partii nazistowskiej ze Szwecji, którzy przyjechali tam z okazji urodzin Hitlera. Mężczyzna zaprosił mnie do domu i w pewnym momencie pokazał mi całą kolekcję zdjęć ze świętowania. Mówię mu wtedy, że chętnie odkupię to zdjęcie, jego żona zachęca: „Daj mu, przecież widzisz, że jest zainteresowany", ale on nie chciał się rozstać ze swoją pamiątką. Tak wyglądał pokonany nazizm.

Rozmawiał pan kiedyś osobiście z którymś z niemieckich katów?

Po wojnie w Krakowie dostałem się do Amona Götha, komendanta obozu w Płaszowie. Esesman był wtedy w więzieniu, czekał w spokoju na wykonanie kary śmierci. Podszedłem do niego i mówię: „Jak zabijałeś Żydów, to się śmiałeś". I on się wtedy zaśmiał. W tamtej chwili zrobiłem zdjęcie, udało mi się uchwycić ten złowrogi, szczery uśmiech.

Jaki jest pana stosunek do współczesnych Niemców.

Nie wolno karać dzieci za winy rodziców. Ale ważny jest stosunek do ich zbrodni. Kiedyś z żoną zwiedzaliśmy Frankfurt pod opieką niemieckiej przewodniczki. W pewnym momencie sprostowałem jakąś informację i ona się zainteresowała moją historią. „Pan zna Frankfurt?". „Byłem tu w 1945 r." „Z wojskiem?". „Nie, droga pani, ja tu byłem w obozie koncentracyjnym".

Lubi pan zaskakiwać rozmówców.

Ona mi wtedy wyznała, że ma wielki żal do swojej matki i babki, które twierdziły, że nic nie wiedziały o niemieckich zbrodniach. „Z miasta zniknęli wszyscy żydowscy mieszkańcy, a one niby nic nie wiedziały?" – wspominała. I ja taką postawę szanuję. Podobnie zachował się syn Generalnego Gubernatora Hansa Franka. Jako dziecko mieszkał w okupowanym Krakowie, ale gdy dorósł i zrozumiał, czego był świadkiem, to wyrzekł się swojego ojca.

Bardzo dobrze rozumie pan nasz ból, gdy to Polaków oskarża się o antysemityzm, a obozy koncentracyjne nazywa „polskimi".

Nie było żadnych „polskich obozów". Gdyby nie Niemcy, to nie byłoby partii nazistowskiej, którą oni wybierali w wolnych demokratycznych wyborach.

Dzisiaj wielu historyków lubi podkreślać, że Polska przedwojenna też była, nazwijmy to, nieidealna.

Co to znaczy „nieidealna"?

Na przykład było w Polsce dużo biedy...

Wszędzie można znaleźć biedę. Mogę panu pokazać biedę w Stanach Zjednoczonych, we Francji, w Niemczech.

> Ja nie lubię Donalda Trumpa. Ja go kocham! Znam go od wielu lat, byłem na ślubie jego córki, odwiedzałem go w Białym Domu. To twardy facet, który zwalcza w Ameryce komunizm

Antysemityzm...

Proszę pana, przed wojną nie wiedziałem, co to jest antysemityzm. Do 1939 r. nie znałem tego pojęcia, nie doświadczyłem żadnej nienawiści ze strony Polaków. Mieszkaliśmy w Krakowie przy ulicy Saarego. Ojciec był inżynierem, a matka z dziadkiem prowadzili sklep, do którego towary sprowadzali z Wiednia. Dobrze wspominam dzieciństwo. Tworzyliśmy wielką rodzinę, matka miała trzy siostry, one miały mężów i dzieci. Ja sam miałem dwie siostry.

I wszyscy zginęli w czasie wojny.

Nikt nie przeżył. Siostry zostały zabite w obozie koncentracyjnym w Stutthofie. Ojca zastrzelono w Czortkowie w 1941 r., matka zginęła w komorze gazowej – widziałem, jak ją zabierali na śmierć.

Pamięta pan jeszcze ich twarze, tembr głosu, uśmiechy?

W mojej sypialni, nad łóżkiem, wiszą zdjęcia ich wszystkich. Widzę ich, gdy się budzę, widzę ich, gdy kładę się spać. Te zdjęcia przechowałem przez całą wojnę, miałem je przy sobie we wszystkich obozach koncentracyjnych, to jedyne, co mi po nich zostało. Widział pan film „Destination Unknown"?

Wstrząsający dokument o ocalałych z Holokaustu. Fundacja From the Depths zorganizowała w zeszłym roku jego pokaz w Warszawie.

W tym filmie występuje także moja żona. Gdy ona pokazuje zdjęcia swojej rodziny, z której także wszyscy zginęli, to od razu płacze. Nigdy nie mogła o tym mówić. Tego się nie da zapomnieć.

A jednak od kilku lat wraz z fundacją opowiadacie całemu światu o niemieckich zbrodniach. W tym filmie mówi pan, że jedynym sposobem na przetrwanie obozu koncentracyjnego było... szczęście.

I nic innego. Nie było tak, że jeden był mądrzejszy od drugiego i miał większe szanse na przetrwanie. Bez szczęścia nie udawało się przeżyć. W jednym z obozów nabawiłem się wrzodów. Pomyślałem, że to dobry sposób na uniknięcie morderczej pracy. Wystawiłem się na słońce, żeby wrzody nabrzmiały, aż popłynęła z nich ropa. Udałem się do szpitala, a lekarz zaczął na mnie krzyczeć: „Idź stąd, nie chcę cię tu widzieć!". Co miałem zrobić, odszedłem. I następnego dnia wszystkich pacjentów zabrano do komory gazowej. Gdyby mój sprytny sposób zadziałał, to dzisiaj byśmy nie rozmawiali. Takie szczęście towarzyszyło mi wiele razy.

Za to nie towarzyszyło pańskim siostrom.

W jakiś sposób się o to obwiniam. Pamiętam, jak Niemcy spędzali tłum kobiet do pociągu. Namówiłem siostry, by ustawiły się na końcu. Często brakowało miejsca w wagonach i niektóre z więźniarek nie trafiały do obozów

eprasa.pl f85080dd20



Fot. Andrzej Wiktor

zagłady. Ale gdy kobiety dotarły tamtego strasznego dnia na peron, niemiecki dowódca nakazał „w tył zwrot" i koniec kolumny stał się początkiem. Moje siostry weszły do pociągu pierwsze.

Jak się pan dowiedział o ich śmierci?

Opowiedziały mi o tym więźniarki, które przeżyły Stutthof. Niemcy w ostatniej chwili przed nadejściem Rosjan wzięli nad morze wszystkie kobiety i zaczęli do nich strzelać. Niektóre z nich wpadły do wody i przeżyły, a gdy wyszły na plażę, to tam już byli Rosjanie. Zabrakło po prostu... szczęścia.

Dzisiaj jeździ pan po świecie i głosi prawdę, spotyka się pan z głowami państw, rozmawiał pan z ojcem świętym Benedyktem XVI, wygłasza wykłady o Holokauście. Z tych zmagań z Adolfem Hitlerem wyszedł pan zwycięsko.

Ja? Zwycięsko? Z wojny wyszedłem pobity. Całą moją rodzinę zamordowano, mój świat się rozpadł. Ludzie

> Zaraz po wyzwoleniu obozu w Linzu zakwaterowano mnie i mojego kolegę w jednym niemieckim domu. Tak się akurat złożyło, że był to dom, w którym kiedyś żyli rodzice Adolfa Hitlera – Klara i Alois

postrzegają mnie jako człowieka z wielkim poczuciem humoru, ale gdy dochodzimy do tematu wojny, to nie pozostaje nic innego jak głęboki smutek i żal. Ostatnio opowiadałem o Holokauście w akademii policyjnej, słuchali jak zaczarowani. Wielu z nich po raz pierwszy usłyszało o zagładzie Żydów.

Po raz pierwszy? To niemożliwe. Holokaust jest obecny w świadomości ludzi Zachodu, opowiadają o nim nie tylko wykładowcy czy naukowe książki, lecz także kultura popularna, książki i filmy.

A jednak. Trzeba o tym opowiadać. Po takich wypowiedziach, jakie miał Israel Katz, który stwierdził, że Polacy wyssali antysemityzm z mlekiem matki, historię trzeba przypominać jeszcze mocniej. Należy przypominać o takich ludziach jak rodzina Ulmów z Markowej, która przechowywała Żydów, za co została przez Niemców zabita, włącznie z dziećmi. Tłumaczę ludziom, jak wielkie to było bohaterstwo. Przecież Polacy, którzy decydowali się pomagać Żydom w czasie wojny, ryzykowali życie nie tylko swoje, ale także swoich rodzin. Nie każdy musi rzucać na szalę los swoich najbliższych. A wielu Polaków tak robiło.

Wciąż trudno mi zrozumieć, jak to możliwe, że niektórzy pańscy słuchacze nie wiedzieli wcześniej o Zagładzie. Dobrze, że chociaż w Polsce nie mamy tego problemu.

Żeby się pan nie zdziwił.

eprasa.pl f85080dd20

Już 25 listopada **SIECI**

i raz w miesiącu
do końca roku

SUKCESY
XX-lecia międzywojennego

1918–1939



Cykl dodatków
o niezwykłych
czasach
budowania
nowego państwa
po 123 latach
zaborów

PARTNER DODATKU

ORLEN

eprasa.pl/f85080dd20



W wirze rozbłysku

Dwie polskie premiery wchodzą do kin. „Supernova" to roller coaster narastających emocji i rewelacyjny Marcin Hycnar. W „Żelaznym moście" tłem uczuciowego trójkąta jest... kopalnia. W obu filmach poruszą widza moralne dylematy i aktorski kunszt

Fot. Materiały prasowe

Autopromocja

eprasa.pl f85080dd20



Z aktorem i reżyserem Marcinem Hycnarem, rozmawia Jolanta Gajda-Zadworna

Supernowa kojarzy się z eksplozją, samounicestwieniem, czymś nie do opanowania. A czym jest dla pana?

Marcin Hycnar: Perspektywą, w której może się wydarzyć coś nowego, coś powstać, ale jednak na zgliszczach starego porządku. I chyba w tym metaforycznym sensie możemy czytać tytuł filmu „Supernova".

Aktor z doświadczeniem, również reżyser z doświadczeniem, decyduje się zagrać u debiutanta. Dlaczego?

Reżyser albo wie, o czym chce opowiedzieć, albo nie wie. Bez względu na to, ile ma lat albo co zrobił wcześniej. Albo jest przygotowany i przychodzi do aktora z konkretem, albo nie.

Z jakim konkretem przyszedł Bartosz Kruhlik?

To był prezent, rzadko się takie spotyka.

Zagrać ustawionego, wypranego z uczuć drania? Najgorszą z możliwych wersję polityka?

Tak, a jednocześnie Bartkowi zależało na tym, żeby żadna z postaci, które tragedia rozegrana na wiejskiej drodze zasysa, wciąga niczym supernowa... żeby żadna z tych postaci, summa summarum, nie była zero-jedynkowa, żeby to nie był świat czarno-biały. Pewnie gdyby to była wizja Wujka Samo Zło, który niczego od początku do końca nie przeżywa i żadna refleksja mu nie towarzyszy, nie wybrałbym się w tę podróż, ale myślenie Bartka było takie, że każda z pokazanych postaci jest bardziej skomplikowana, niż się na początku wydaje.

Mówi pan o swojej postaci Wujek Samo Zło, ale jaki ten bohater wymuskany. Świetnie się na pana patrzy, choć do pewnego momentu za tą medialną fasadą nie ma nic poza butą. Refleksja przychodzi późno, za to spektakularnie. Warto na nią czekać, tak jak warto obejrzeć ten film.

Ale szczegółów lepiej nie zdradzać, bo powinny i mają szansę być zaskoczeniem dla widza. A jest jeszcze sporo poza fabułą – w psychologicznym pogłębieniu i zarazem odsłanianiu motywacji postaci. Jest też skomplikowana siatka zależności i relacji między bohaterami. To chyba najmocniej decyduje o wartości filmu.

Może i to, co pokazał „Przypadek" Kieślowskiego, że czasem tak wiele może zależeć od jednej chwili. Od splotu zdarzeń, na które absolutnie nie mamy wpływu. Ale też – co bardzo mocno pojawia się w „Supernovej" – że w splocie zdarzeń wina może się na równi mieszać ze sprawstwem.

To prawda. I jeszcze, cytując noblistkę: „Tyle wiemy o sobie, ile nas sprawdzono". Ten film jest tego przykładem. Postaci są wrzucone w zdarzenia, które w każdym z nas mogą wywołać wahanie: „Jak ja bym się w tej sytuacji zachował?".

Rozbłysk „Supernovej" na tegorocznym festiwalu w Gdyni przyniósł Bartoszowi Kruhlikowi nagrodę za reżyserski debiut. Przypomniał też pana jako kinowego aktora, który zagrał również w dwóch innych konkursowych filmach: „Piłsudskim" i „Solid Gold".

Michał Rosa jest świetnym reżyserem, jednocześnie czujnym i otwartym na to, co proponuje aktor. I chyba udało nam się (w grupie najbliższych współpracowników Piłsudskiego) stworzyć coś na kształt „chłopców z ferajny", na czym zależało Michałowi. Natomiast mój udział w „Solid Gold" to zadanie stricte drugoplanowe, ale cieszę się, że mogłem popartnerować na planie znakomitym aktorom i spotkać się w pracy z reżyserem Jackiem Bromskim.

„Supernova" trafi do kin 22 listopada, tydzień później można będzie zobaczyć „Solid Gold", a co dzieje się u pana teatralnie, reżysersko?

Powoli kończy się mój kontrakt na stanowisku dyrektora artystycznego teatru w Tarnowie. Reżyseruję też spektakle i pracuję ze studentami w warszawskiej Akademii Teatralnej.

Całkiem niedawno mogliśmy oglądać na dużym ekranie „(Nie)znajomych". Pan postanowił się z nimi „poznać" na własnych, teatralnych warunkach?

Zderzenie naszego spektaklu z polskim filmem inspirowanym tym samym scenariuszem, czyli włoską produkcją „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" z roku 2016, jest zupełnie przypadkowe. Propozycję reżyserowania otrzymałem bodajże jesienią zeszłego roku, z różnych powodów finiszujemy dopiero teraz (premiera 5 grudnia w Teatrze Buffo).

Ma pan inny pomysł na tę historię?

Gdy reżyseruję, staram się nie podglądać innych realizacji. Mimo to doszły mnie słuchy, że polski film różni się od włoskiego, i to niekiedy znacząco. Spektakl „Dobrze się kłamie" jest bliski oryginału, akcja dzieje się we Włoszech, ale ponieważ tekst przetłumaczył i zaadaptował Bartosz Wierzbięta (znany autor polskich wersji językowych do animowanych kinowych hitów) rzecz skrzy się dowcipem, jest błyskotliwa i nawiązuje do naszej rzeczywistości. A w obsadzie: Olga Bołądź, Katarzyna Kwiatkowska, Anita Sokołowska, Szymon Bobrowski, Marcin Perchuć, Bartłomiej Topa/Przemysław Sadowski i Wojciech Zieliński. Zapraszam.

eprasa.pl f85080dd20

W PREZENCIE

25 LISTOPADA W TYGODNIKU SIECI



Popularne imieniny

Skrócone kalendarium poprzedniego i następnego miesiąca

Święta i dni wolne od pracy

Niedziele handlowe

PIĘKNY I FUNKCJONALNY

KALENDARZ ŚCIENNY

Partner kalendarza

ORLEN

eprasa.pl f85080dd20



Chłopak z Sosnowca

Fot. materiały prasowe

W filmie „Żelazny most", który za chwilę trafi do kin, Łukasz Simlat pojawia się w niewielu scenach, ale mamy wrażenie, że na ekranie jest cały czas. Buduje i współtworzy historię uczuciowego trójkąta na równi z niemal niewychodzącymi sprzed kamery Julią Kijowską i Bartłomiejem Topą

Ta umiejętność skupiania na sobie uwagi widza – niezależnie od wielkości roli i charakteru bohatera, przy zastosowaniu, wydawałoby się, minimalnych środków – jest znakiem rozpoznawczym Simlata. Aktora kreującego postaci, które właściwie nie okazują emocji, a wierzy się im, podąża za nimi; które ciekawią i mogą zaskoczyć.

SZCZENIAK DLA OSKARA

Na zakończonym trzy tygodnie temu Festiwalu Aktorstwa Filmowego im. Tadeusza Szymkowa we Wrocławiu w ręce aktora trafiła nagroda Złoty Szczeniak za drugoplanową rolę w filmie „Żelazny most". Zagrał w nim Oskara – górnika, który (gdy go poznajemy) pracuje w kopalni, a w wolnych chwilach samodzielnie układa kafelki w swojej łazience.



JOLANTA GAJDA-ZADWORNA

Życie na powierzchni dzieli z dwiema ważnymi dla siebie osobami. To żona i przyjaciel. Ufa im. Gdy go zawodzą, traci wszystko.

Złoty Szczeniak, nagroda przyznawana przez środowisko aktorskie, zwrócił uwagę na jeden z kilku ważnych tegorocznych filmów, w których aktor zagrał. W każdym z nich skupił na sobie uwagę. W „Bożym Ciele" Jana Komasy stworzył postać charyzmatycznego księdza Tomasza, który staje się inspiracją i wzorem dla głównego bohatera. To duchowny, którego chciałoby się spotkać na swojej drodze. Bez którego ta historia nie byłaby pełna i nie miała tylu dodatkowych odcieni. W „(Nie) znajomych" – polskiej wersji włoskiego filmu „Dobrze się kłamie w miłym towarzystwie" – po raz kolejny rewelacyjnie odegrał rolę męża. Tym razem uciekającego w romans od rodzinnych obowiązków i obciążeń.

Zresztą bycie mężem w związku, który przeżywa kryzys, przynosi aktorowi najwięcej udokumentowanego uznania. W takiej relacji spotkał się już wcześniej m.in. z Julią Kijowską w filmie „Zjednoczone stany miłości" (nagrodzono go za tę drugoplanową rolę na festiwalu w Gdyni 2016). Dwa lata później „Fuga", w której partnerował Gabrieli Muskale, dała mu Złotego Szczeniaka. A teraz, również za „małżeński" drugi plan, wyróżnienie przy-

eprasa.pl f85080dd20

niósł „Żelazny most". Dwa lata temu wyjechał z festiwalu w Gdyni z nagrodą za rolę komisarza w „Amoku", także postać drugoplanową.

W tym roku w kolejnym sezonie serialu „Pod powierzchnią" powrócił jako nauczyciel z powołania, nieradzący sobie jednak z wyborami wchodzącej w dorosłe życie córki. Zagrał też w miniserialu „Grand Hotel", potwierdzając – co tak doceniali np. fani serialu „BrzydUla" – komediowe talenty.

W produkcji jest film Leszka Dawida (m.in. „Ki" i „Jesteś bogiem") – oparta na prawdziwych wydarzeniach historia legendarnego polskiego himalaisty Macieja Berbeki. Simlat gra w niej Krzysztofa Wielickiego, kierownika zwycięskiej, ale tragicznie zakończonej zimowej wyprawy na tytułowy szczyt Broad Peak.

DO GÓRY I W GŁĄB

Historia „Broad Peak" prowadzi aktorów bardzo wysoko nad poziom morza, „Żelazny most" ściąga ich w głąb ziemi. Łukasz Simlat i Bartłomiej Topa przed rozpoczęciem zdjęć postanowili sprawdzić incognito, jak to jest w kopalni. Podobno dla obu aktorów, pierwszego urodzonego w Sosnowcu i drugiego pochodzącego z Nowego Targu, było to pierwsze tego typu doświadczenie. Sądzili, że uda im się wtopić w zwarty tłum ubranych jednakowo górników i udokumentować z poziomu pracowników poznawane przestrzenie. Zostali jednak rozpoznani już na powierzchni. I potem tysiąc metrów pod ziemią, gdy dotarli do przodka, ale i tak dzień spędzony pod ziemią dał im bardzo wiele. Pozwolił nadać – nomen omen – głębię relacjom między bohaterami.

W tej historii wpisanej w górniczą metaforę Łukasz Simlat miał zadanie dodatkowo utrudnione. Jego bohater pojawia się na ekranie w krótkich retrospekcjach i w tym czasie aktor musiał stworzyć postać człowieka, którego losami widz się przejmie, który będzie w tej opowieści obecny, choć nie dosłownie w kadrze. I to się udało.

Pracujący z Łukaszem Simlatem ludzie, ale też widzowie, doceniają jego umiejętność tworzenia postaci nieoczywistych. I faktycznie, aktor ma coś takiego w twarzy (która z biegiem lat staje się coraz bardziej interesująca), sylwetce i ruchach, co sprawia, że i on sam, i jego bohaterowie są trudni do zdefiniowania. Ci ostatni czasem nawet do finalnych ujęć. Równocześnie jest w tworzonych przez Simlata ludziach pogłębiona doświadczeniami prawda. I jest niedopowiedzenie, które wynika też z małomówności. Aktor nie jest wylewny, dlatego gdy już zdecyduje się mówić, jest o wiele uważniej słuchany.

WYMIANA ENERGII

Poruszając się głównie w drugim planie, Simlat wypełnia z naddatkiem swoje postaci. Nawet te pojawiające się na ekranie krótko. Nic więc dziwnego, że choć uchodzi za aktora niełatwego we współpracy – jest niezwykle precyzyjny, skoncentrowany i wymagający pełnej dyspozycji od siebie i innych – ma na koncie udział w ponad 120 produkcjach: filmach, serialach, spektaklach Teatru TV. Oczywiście, na tę liczbę składają się też epizody, które stosunkowo długo stanowiły jego zawodowy rozbieg, ale kariera Łukasza Simlata potwierdza, że osobowość, konsekwencja i nieustanny rozwój w dłuższej perspektywie wygrywają z amancką urodą pierwszego planu.

Warszawską Akademię Teatralną ukończył 19 lat temu. Zdecydował się pozostać w stolicy, chociaż nie przepada za rytmem i bezdusznością tego miasta.

W jednym z nielicznych wywiadów wspomniał, jak po warszawskiej kolizji, którą spowodowało wtargnięcie na jezdnię kobiety, gdy unikając zderzenia, rozbił skuter i poranił siebie, nikt nie udzielił mu pomocy, za to słyszał klaksony i niewybredne komentarze pospieszające go do usunięcia się z jezdni.

W Sosnowcu – urodził się tam w 1977 r. – gdzie od małego, będąc odpowiedzialnym „facetem", tworzył z mamą dwuosobową rodzinę – uczony był innych wartości. I od samego początku mógł liczyć na ogromne domowe wsparcie. A dzięki niemu zrealizować swoje marzenie o aktorstwie, które zaczęło się od uwielbienia dla Teatru Telewizji. Mama pozwalała mu oglądać spektakle. Potem zobaczył program z Wojciechem Mannem oraz Krzysztofem Materną i zafascynowała go widoczna na ekranie wymiana energii. Dwa lata studium Doroty Pomykały pomogły mu pójść na egzaminy do szkoły aktorskiej bez lęku i dostać się na wymarzone studia za pierwszym razem.

CO USKRZYDLA CZŁOWIEKA

Zadebiutował w roku ukończenia Akademii Teatralnej epizodem w serialu „Dom", trzy lata później pierwszy raz pojawił się na dużym ekranie w głośnym filmie „Warszawa", a następnie w „Vincim". W 2005 r., za rolę w filmie „Kochankowie z Marony" dostał nominację do Nagrody im. Zbyszka Cybulskiego, ale nie zagwarantowało mu to kolejnych znaczących ról. Na zawodową pozycję i imponujący dorobek musiał solidnie zapracować przez następne lata.

W tym czasie popularność przyniosła mu „BrzydUla" i zdobył sympatię widzów m.in. rolą nieśmiałego chłopaka w uhonorowanym kilkoma nagrodami filmie „Statyści", ale zgrał też ojca Adasia we „Wszyscy jesteśmy Chrystusami". Na scenie Teatru TV wystąpił m.in. w „Śmierci rotmistrza Pileckiego", a w 2014 r. otrzymał nagrodę na Festiwalu Dwa Teatry w Sopocie za tytułową postać w spektaklu „Karski".

Kilkakrotnie był nominowany do Złotej Kaczki (m.in. za role w „Pokoju szybkich randek", „Maratonie tańca", filmie „Wymyk"). Brawurowo zagrał w kryminalnej serii z 2012 r. „Krew z krwi". Dał się zapamiętać w kinowych filmach: „Lincz", „Jeziorak" czy „Zbliżenia", a także w głośnym serialu „Belfer". Od kilku lat regularnie dostaje nagrody. Wciąż za drugi plan. Ale po mistrzowsku aktorstwem wypełniony.

„Kiedy zaczynałem, myślałem tylko, że to będzie przygoda. I to związana z lataniem, bo w tym zawodzie fruwasz. To się zdarza rzadko, ale jak już się pofrunie, to uskrzydla człowieka na kolejne lata. Jednak to kapryśny zawód" – powiedział w wywiadzie do „Elle Man". Pytany, jak radzi sobie, tak intensywnie pracując, stwierdził: „Chcę czasem pożyć swoim życiem. Ale nie ma szans, bo się na tę robotę zdecydowałem".

eprasa.pl f85080dd20

ZAREMBA PRZED TELEWIZOREM

Rządy nieszczęśliwych kobiet

Jestem olśniony filmem Jorgosa Lantimosa „Faworyta". Obejrzałem go natychmiast, gdy pojawił się w Canal Plus. Pamiętam, co o nim pisano przed rokiem, choćby w kontekście Oscara przyznanego Olivii Colman za rolę angielskiej królowej Anny Stuart. I dorzucam swoje trzy grosze.

Piękne zdjęcia (rybie oko, przez które oglądamy korytarze królewskiego pałacu!), wyśmienita scenografia, sugestywne tło muzyczne, kilka świetnych ról. Już to wystarczy, aby się filmem zachwycić. Tu każda scena coś znaczy. Rytm akcji raz ekscytuje, a raz przygnębia. Mnie jednak oszołomiło w nim coś jeszcze. Świetna recepta na poszukiwanie prawdy o człowieku w dawniejszych epokach.

Stylistyka tego filmu jest nowoczesna, niektóre sceny (groteskowy taniec księżnej Marlborough podczas królewskiego balu) trudno uznać za muzealne oddanie realiów. A jednak nie ma w nim tego, co mnie we współczesnej popkulturze drażni, kiedy próbuje się zajmować historią. Unowocześniania na siłę, braku poczucia, że tamci ludzie czymś się od nas różnili. Oni są z ducha XVIII w., tak jak we francuskiej „Śmieszności" Patrice'a Leconte'a. Takie obrazy można polecać jako materiały pomocnicze do lekcji historii.

W „Faworycie" jest okrucieństwo czasów. Oddanie nie tylko dziwacznych obyczajów (wyścig kaczek bawiący dworskich notablów), lecz i logiki drobiazgowej, opartej na różnych rytuałach hierarchii. Ona jest w Anglii nieco inna niż w społeczeństwach europejskich. Świetnie uchwycono sens tamtejszej polityki. Królowa może sobie pozwolić na kaprysy, nawet zadać cios dygnitarzom zależnym od jej łaski, ale musi tolerować parlament, a lider torysowskiej opozycji, pan Harley, jest wpływową postacią, po trosze jej partnerem. Równocześnie jest to nadal społeczeństwo, w którym kastowe bariery czynią walkę o miejsce w hierarchicznym porządku czymś rozpaczliwym. Marzę, aby ktoś pokazał równie drapieżnie kawałek historii dawnej Polski. Materiału byłoby aż nadto.

Mamy też przyczynek do losów kobiet. Angielska królowa, jeśli nie miała kurateli męża, była jedyną przedstawicielką swojej płci, która mogła coś narzucić mężczyznom. Z kolei jej faworyty dobijały się jakiejś podmiotowości poprzez jej pozycję. Anna nie miała szans na legendę Elżbiety I, ale miała – zdaje się – naprawdę lesbijskie skłonności. Stąd pozycja księżnej Marlborough, a potem jej następczyni. Stąd swoiste „rządy kobiet". Ale był to status iluzoryczny. Sama królowa to kobieta schorowana, cierpiąca po stracie licznych dzieci. Faworyty skazane są na rozpaczliwą walkę między sobą, co prowadzi donikąd, skazuje na upokorzenia, rozpacz.

Pokazując to, twórcy filmu wystrzegali się ideologii, którą jest podszyta część współczesnych historycznych obrazów. Kręcąc w 2012 r. „Kochanka królowej", o duńskim reformatorze rządzącym poprzez kobietę, Nikolaj Arcel optował zbyt dydaktycznie za postępem. „Faworyta" nie optuje za niczym, pokazuje tylko, jak było.

Jej główne bohaterki są głęboko ludzkie, nawet jeśli odpychające – to koncert nie tylko Olivii Colman, lecz i Emmy



Stone (Abigail) oraz Rachel Weisz (księżna Marlborough). A wokoło wyraziste twarze mężczyzn, na czele z moim ulubionym Nicholasem Houltem w roli groteskowego pana Harleya. Czy odkrycie, jak bardzo człowiek jest nieszczęśliwy w najbardziej eksponowanych historycznych rolach, to coś przełomowego? Mnie wystarczy, że dochodzimy do niego, po raz setny, z zaciśniętym gardłem.

Piotr Zaremba

Blaski, odblaski



Przemysław Skrzydelski

O kondycji inteligencji lepiej opowiadać Czechowem niż Gorkim. Ale to tylko jeden z błędów Macieja Prusa, który dla Teatru Narodowego wybrał „Letników".

Jak ognia unikam czczej gadaniny o tym, że jakikolwiek wybitny dramaturg dziś już jest passé, bo się postarzał, bo dziś tak się nie pisze, nie ta epoka. Nie dotyczy to nawet absurdu Ionesco. Maksima Gorkiego też nie. Jego czas wróci. To także kwestia nowych przekładów.

Ale mamy kłopot z wczesnymi dramatami tego autora. Dziś widać, że przegrywają z Czechowem. Powstawały zresztą w czasie, gdy Gorki pilnie obserwował, jak Konstantin Stanisławski w Moskiewskim Teatrze Artystycznym wystawia mistrza z Taganrogu. „Na dnie", dramat o dwa lata starszy niż „Letnicy" i, co ciekawe, o niebo lepszy, pisał Gorki, przyglądając się właśnie serii prób do słynnej inscenizacji „Mewy". Mówiąc wprost: w tym wcześniejszym Gorkim pobrzmiewa Czechow aż do przesady.

Maciej Prus to wiedział, a jednak postawił na ten gorszy literacki wariant, może zakładając, że Czechowa w ostatnich latach dostaliśmy na polskich scenach nadto i warto przypomnieć autora pomijanego. Jednak to słaby argument, kiedy przyjrzymy się, jak „Letnicy" funkcjonują jako dramat. Jeżeli u Czechowa siłą postaci był z zawsze z jednej strony ich nie do końca określony status psychologiczny, to z drugiej strony paradoksem było to, jak świetnie autor zaznaczył relacje między nimi. To daje niebywały napęd na scenie. W „Letnikach" zaś właściwie wszyscy są papierowi, zbyt pretensjonalni, trudno im uwierzyć. A relacji nie sposób odgadnąć, dlatego przez dłuższy czas sztuka męczy. No i niektóre fragmenty rażące melodramatyzmem niemającym nic wspólnego np. z melodramatem z „Płatonowa". Jednak przecież motywem przewodnim „Letników" jest kondycja inteligencji i z tym jest najgorzej. Aktorzy Teatru Narodowego nie wierzą w to, co mówią; gdzieś to już grali, tyle że w lepszej wersji. Za dużo tu deklaratywnych idei.

Oczywiście w decyzji zarówno Prusa, jak i dyrektora Jana Englerta jest zawarta prowokacja, bo to spektakl ascetyczny, sterylny, z prostą scenografią, światło ma w nim oddzielną rangę. Wiem, że takiego teatru coraz mniej, lecz widzę też, jak męczą się aktorzy, przez dwie i pół godziny próbując ograć i ogarnąć przestrzeń dużej sceny. W ogóle wiele niedostatków i tytułu, i przedstawienia dałoby się zamaskować, pokazując „Letników" na scenie kameralnej. Ale chyba już za późno.



Maksim Gorki
„Letnicy"
reż. Maciej Prus
Teatr Narodowy (Sala Bogusławskiego)
premiera: 9 listopada 2019 r.

Tylko najlepsi



Adam Ciesielski

Elita jazzu spod znaku ECM wystąpi w stolicy z okazji 50-lecia tej słynnej wytwórni muzycznej.

Edition of Contemporary Music od swego powstania w 1969 r. przyciąga artystów identyfikujących się z ambicją szefa monachijskiej firmy, Manfreda Eichera stawiającego na „najpiękniejsze dźwięki zaraz po ciszy". Brzmienie ECM wyznaczają nazwiska Keitha Jarretta, Arvo Pärta, Jana Garbarka, Tomasza Stańki oraz setek młodszych jazzmanów i przedstawicieli klasyki.

Warszawski festiwal 25 listopada otworzy solowy występ szwedzkiego basisty Björna Meyera. Następnie na scenę wyjdzie trio duńskiego gitarzysty Jakoba Bro, dawnego współpracownika Stańki. 26 listopada posłuchamy tria norweskiego poety fortepianu Torda Gustavsena oraz francuskiej formacji Tarkovsky Quartet pod wodzą pianisty François Couturiera.

27 listopada zaplanowano aż trzy koncerty, w tym dwa polskie. Saksofonista Maciej Obara przedstawi muzykę ze swej najświeższej, drugiej w ECM, rewelacyjnej płyty „Three Crowns", rekomendowanej niedawno na tych łamach. Partnerami lidera są: pianista Dominik Wania oraz dwóch Norwegów – perkusista Gard Nilssen i kontrabasista Ole Morten Vågan. Z kolei młody włoski pianista Giovanni Guidi ze swym kwintetem zaprezentuje program z albumu „Avec le Temps". Na finał zostaje popis renomowanego Tria Marcina Wasilewskiego, które staż w ECM ma już od 2002 r.

Rządzi jazz, ale atrakcją będą też wystawa zdjęć, okładek płyt i filmy o artystach wytwórni.



ECM50 Warsaw Festival
25–27 listopada 2019 r.
Centrum Praskie Koneser

eprasa.pl f85080dd20



Porachunki inteligenckie

Dwie współczesne polskie powieści, jak dwa równoważące się ciężarki zegara, przywołują dwie możliwe ścieżki rodowodów

Wojciech Stanisławski

Dla literatury polskiej fenomen inteligencji jako warstwy społecznej i roli, jaką może lub powinna odegrać w dziejach narodu, nieraz był tematem i wyzwaniem. By nie sięgać już do Wyspiańskiego i Żeromskiego, dość przypomnieć, że w pierwszych latach po II wojnie powstało z pół tuzina powieści, określonych z czasem mianem „porachunków inteligenckich": Stanisław Dygat, Kazimierz Brandys, ale i Paweł Hertz zmagali się z inteligenckim etosem, z zasługami, ale i odpowiedzialnością tej klasy. Zmagali się, dodajmy, mając za kibica i krytyka komunistyczną władzę, w pierwszych latach po zainstalowaniu się ciągle niepewną, na ile inteligencję jako warstwę kokietować, na ile brać pod obcas.

Później sprawy jeszcze bardziej się skomplikowały. „Przedwojennym inteligentom" (notabene najzjadliwiej wyśmiewanym przez poetów i satyryków o jak najbardziej przedwojennym rodowodzie, takim jak Gałczyński czy Minkiewicz) propaganda przeciwstawiała „inteligentów z awansu" – prawilnych, gorliwych, z dyplomem ukończenia studiów wyższych i z teczką, tyle że całkowicie pozbawionych definiującego tę klasę obycia czy rogatości. Później nastąpiły różne antyinteligenckie nagonki i ze śmiechem przez łzy patrzano na Mrożkowy rysunek przedstawiający grupę facetów w beretach (plus jednego w okularach), opatrzony podpisem „na załączonym obrazku pokaż i skreśl inteligenta". Potem przyszły Marce, Sierpnie i Grudnie, a wreszcie wolność i opłakiwana, nieuchronna przemiana inteligentów w klasę średnią; ostatnią wielką powieścią inteligencką wydawała się przez lata „Madame" Antoniego Libery. I oto tej jesieni pojawiły się dwie powieści, niedoskonałe, ale i niebanalne, w których mocno pobrzmiewa kwestia, jeśli tak można powiedzieć, statusu klasowego, a nadzieje na awans do warstwy inteligenckiej bądź ryzyko deklasacji są najważniejszymi zagadnieniami, definiującymi bohatera mocniej od jego przygód i romansów.

Historia awansu nadaje kierunek pierwszej z tych powieści, „Złodziejom bzu" Huberta Klimko-Dobrzanieckiego. Dość nieoczekiwanie, bo pierwsza część książki zapowiada zupełnie inną historię: magiczną sielankę kresową, podszytą narastającą grozą wojny w kilku odsłonach: sowieckiej, niemieckiej i najstraszniejszej, wołyńskiej. Bohater, którego wczesne dzieciństwo kończy się wraz z tymi kataklizmami, już wówczas miał w sobie krzepę i przysadzistość, która wielokrotnie gwarantowała powodzenie rozmaitym bohaterom z ludu – i w życiu, i w książkach. Po wojnie jednak, na Ziemiach Odzyskanych, gdzie trafił nastoletni bohater z ojcem, sielanki ani magii już nie stało. Jest to pewnie odczarowanie dorosłości, znak okrucieństwa nowych czasów – ale i niekonsekwencja powieści, która staje się sklejona jakby z dwóch części, z czym do końca lektury trudno się oswoić.

Ta druga część jest zapisem awansu – chwilami realistycznym, chwilami osuwającym się w groteskę pokrewną „Konopielce" Redlińskiego. Bohaterowi nie zbywa na szczeblach kariery, względach kobiet i rzadkich na peerelowskiej prowincji dobrach – płaci za to jednak postępującym ześwinieniem. Przemiana człowieka w wieprza, która w innej, niezrównanej powieści magicznej dokonała się za sprawą smugi czarodziejskiego kremu, tu zajmuje 45 lat. Gdy jednak dobiegnie końca, a bohater po wirach transformacji i licznych scenach nomenklaturowych z Dolnego Śląska ostatecznie stanie się szanowanym obywatelem III RP z nomenklaturową przeszłością, nie stać go będzie na najbardziej elementarny gest współczucia wobec cudzego nieszczęścia: czekamy niemal, by zagadnął w kiosku o najnowsze wydanie tygodnika „Nie".

Takie przemiany zdarzały się naprawdę, pojawił się nawet nurt „prozy chłopskiego awansu", który usiłował je dokumentować. Bohaterowie tamtej prozy, której najwybitniejszym chyba dziełem pozostał „Tańczący jastrząb" Juliana Kawalca, płacili jednak za swoje sukcesy zawałem, pijaństwem, samobójstwem. Bohaterowi „Złodziei bzu", chociaż musiał stanowić prawdziwe wyzwanie dla pracowników działu kadr – klasowo chłopointeligent, mentalnie drobnomieszczanin, z zawodu dyrektor – żadne szaleństwo serca nie zżarło: szczelnie otoczył się tłuszczem.

Marek Deutsch, bohater powieści Macieja Hena, nie ma tego problemu: nie otłuszczenie mu grozi, ale głód, nie zawrotne wyżyny awansu, ale

eprasa.pl f85080dd20

ort ekstremalny

osunięcie się w ostateczną deklasację i bezdomność, od której przegranego zawodowo i życiowo plastyka dzieli bufor kilkuset złotych. Cały „Deutsch dla średnio zaawansowanych" pisany jest z perspektywy radykalnie odmiennej niż „Złodzieje bzu": wielkomiejskiej, lekko zblazowanej, do PRL odwołującej się tylko w złych wspomnieniach: te dwie powieści są niczym ciężarki zegara szafkowego, sunące w przeciwne strony. Zupełnie inna jest też konstrukcja książki: „Deutsch..." to współczesna powieść łotrzykowska, powieść drogi, której bohater wędruje w trzy tygodnie przez spory kawał współczesnej Europy Środkowej, rozwiązując zagadki stawiane mu przez los, intrygę, autora. Powieść, dodajmy, miejscami nieznośnie przegadana: liczba otwartych i porzuconych wątków idzie w dziesiątki, podobnie jak detalicznych opisów menu w ukraińskim motelu i rysów lokalnych piękności. Bardziej uważny redaktor powinien był prześwietlić tę książkę jak prześwietla się zbyt gęsty młodnik, a przy okazji zauważyć, że opisy licznych miejscowości na trasie bohatera, ze szczególnym uwzględnieniem Braszowa, są niczym z przewodnika turystycznego, najbardziej traumatyczny fragment wspomnień Marka Deutscha stanowi wierną kopię autobiograficznego fragmentu



Hubert Klimko-Dobrzaniecki, „Złodzieje bzu", Noir sur Blanc, 2019
Maciej Hen, „Deutsch dla średnio zaawansowanych", Wydawnictwo Literackie, 2019

pióra Macieja Hena, opublikowanego w czerwcu 2016 r. w „Magazynie Gazety Wyborczej", w krótkiej bibliografii, umieszczonej pod koniec książki przez autora, boleśnie brakuje zaś świetnej biografii Jakuba Szeli pióra Tomasza Szuberta (Wydawnictwo DiG, 2014), z której, jak się wydaje, niejedno zaczerpnięto.

Trzeba jednak przyznać, że bukowińska anabaza Marka Deutscha, nawet jeśli zdarzy nam się przerzucać kartki z opisem nadziewanej papryki czy enerdowskiego akordeonu, wciąga – a bardziej jeszcze zapasy bohatera z jego tożsamością: polsko-żydowską, wyrastającą gdzieś z XIX-wiecznych asymilacji i latających uniwersytetów, konsekwentnie sceptyczną i liberalną. Deutsch nie omieszka raz czy drugi wsadzić szpileczki dobrej zmianie, ale z łagodną ironią traktuje również spotykanych na swoim szlaku żydowskich ortodoksów, a kiedy prowadzone przezeń dochodzenie genealogiczne zaprowadzi go do kancelarii parafialnej, zacznie od „Pochwalony...."; ot, czytelnik i wychowanek „Wiadomości Literackich", którego wehikuł czasu przeniósł z roku 1928 w 90 lat później.

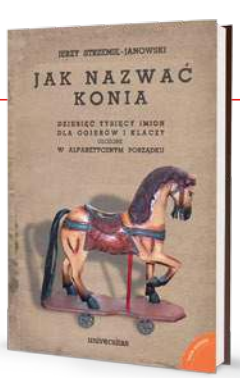
Być może mamy po prostu do czynienia z dwiema niezłymi powieściami: obaj autorzy są u szczytu sił, u Klimko-Dobrzanieckiego od 2015 co rok, to tytuł, Hen zawalczy pewnie „Deutschem..." o środkowoeuropejską Nagrodę Angelusa, do jakiej była już przed czterema laty nominowana jego poprzednia książka, „Solfatara". Mam jednak wrażenie, że oba te tytuły wyrażają też potrzebę rozmowy o polskim inteligencie, który nawet jako wzorcowy kredytobiorca i obywatel zachował gdzieś pamięć swoich dawnych powołań – i poczucie winy, że z nich zrezygnował.

Popręg i erudycja

Ceramok, Cekutan, Cyklander, Czelomir, Czupurka, Cebronia... jest w czym wybierać. Ale też potrzeba społeczna w roku 1937 była ogromna: wydawca broszurki „Jak nazwać konia..." Jan Broszkiewicz grzmiał na listy koni wyścigowych, na których „mnożą się jak szczury Darling I, II, III, IV", ubolewał nad brakiem erudycji i fantazji hodowców i jeźdźców i zamierzał dać im swym dziełem wzór i ostrogę.

To urocze curiosum wydawnicze (co, stawiając chyba niepotrzebną kropkę nad i, podkreśla nazwa serii wydawniczej), które na pierwszy rzut oka wygląda, jakby wyszło spod pióra pękających ze śmiechu Tuwima i Słonimskiego, a nie zawołanego myśliwego, jest świadectwem nie tylko obyczajów ziemiańskiej Polski w jej ostatnich latach przed potopem, lecz także jej mentalności i ambicji, szerokich horyzontów i ignorancji. Wystarczy zerknąć na kilka proponowanych imion dla ogiera i wałacha – wraz z objaśnieniami: „Scarlatti – muzyk włoski; Scarron – poeta francuski; Scipio – patrycjusz rzymski; Soliman – sułtan turecki". Ale już „Spinoza – filozof", bez niepotrzebnych szczegółów; do tego zaś Sirokko, Skafander, Sombrero i Szmeks (miasto na Spiszu).

Dziesięć tysięcy! – ciekawe, ile z nich zdążono nadać koniom. Ale że listy staroświeckich i eleganckich imion mogą mieć



Jerzy Strzemię-Janowski, „Jak nazwać konia. Dziesięć tysięcy imion dla ogierów i klaczy...", Wydawnictwo Universitas, 2019

sens widać i dziś, w czasach – jak donosi prasa i jak słychać na wywiadówkach – kolejnych Patryków, Dżesik i Karyn.

eprasa.pl f85080dd20

Adamski





Kult za kulisami

Kino

Kazik Staszewski nie jest celebrytą. Dla każdego, kto zna trochę polski show-biznes, jest to truizm. Trzeba to jednak podkreślić w kontekście tego filmu. Nie udziela banalnych wywiadów, nie zabiega o poklask tabloidów i kolorowych magazynów. Ma niepoprawnie politycznie poglądy drażniące zarówno liberalno-lewicowe kulturalne elity, jak i polską prawicę. Kazik idzie prosto. Nie należy „ani do mafii, ani do sekty", jak śpiewał na jednej z ostatnich płyt Kultu. Nie jest to film wyłącznie o nim, a jednak to jego wątek jest tutaj najbardziej wzruszający. „Kult. Film" Olgi Bieniek powstawał sześć lat (2013–2019). Producentka „Kamerdynera" i „Układu zamkniętego" nie tylko wyprodukowała, lecz również napisała i wyreżyserowała ten dokument.

Bieniek nie nakręciła dokumentu, który chronologicznie opowiada historię założonego w 1982 r. zespołu. Nie ma tutaj gadających głów: krytyków muzycznych, znawców popkultury ani historyków opowiadających, jak ważna to kapela dla polskiej kultury. Są za to oni, członkowie zespołu. Na scenie, na próbach, w busach wiozących ich w trasę oraz prywatnie podczas wspólnych kolacji i spotkań rodzinnych, choć nie na potrzebie voyeryzmu jest ten film oparty.

Nie jest tajemnicą, że Kult ma wyjątkową więź z fanami. Trzygodzinne koncerty, specyficzna „kultowska" interakcja z publicznością i oddanie zespołu fanom (pokłony Kazika po każdym występie) – to wszystko zobaczycie w filmie Bieniek od kulis i z bliska. Jest to dokument znakomicie udźwiękowiony (oglądajcie w dobrym kinie!) i pomysłowo pokazujący koncerty (kamera przypięta do mikrofonu Staszewskiego), ale jego siła tkwi w czymś innym. Bieniek nakręciła film o zwykłych ludziach, którzy stworzyli niezwykłą kapelę, stając się niemożliwą do zastąpienia częścią pejzażu Polski ostatnich 37 lat. Nie tylko śledziła zespół w trasie i w kulisach, lecz wykorzystała nigdzie niepublikowane materiały kręcone domowymi kamerami członków zespołu. Czy tylko po to, by zaspokoić ciekawość fanów? Nie. Ten film lustruje przyjaźń (nieraz trudną i wyboistą) dziewięciu facetów w różnym wieku i z różnym bagażem osobistym, ideowym i religijnym, którzy tworzą muzyczny kolektyw.

W wielu scenach film kradnie Didi, czyli fan zespołu i przyjaciel Kazika, któremu Staszewski pomógł na życiowym zakręcie. Bieniek prowadzi równolegle dwie narracje. Jedna to pokazanie zespołu, druga to opis niezwykłej przyjaźni Kazika z facetem, który wiele lat temu upadł. Kazik go podniósł. To najbardziej poruszająca część filmu. Didi inspiruje na ekranie wiele dialogów i sytuacji. Ma w sobie uliczny naturalizm Himilsbacha. Jego relacja z zespołem i Kazikiem bawi, lecz przede wszystkim wzrusza. W jednej scenie w oczach Kazika pojawiają się łzy. Właśnie dzięki Didiemu, który jest notabene współautorem hitu Kultu „Madryt" i pewnie jest bohaterem piosenki „DD" sprzed dekady. Wywołać łzy u Kazika Staszewskiego? To potrafi tylko świetny dokumentalista. Choćby za to Bieniek należą się wielkie brawa.

„KULT. FILM", REŻ. OLGA BIENIEK, DYSTR. NEXT FILM

Kino

Powrót zza światów

Skoro jesteśmy przy muzycznych dokumentach, to warto spojrzeć na tę zdumiewającą premierę. Do kin trafia „Amazing Grace: Aretha Franklin" w reżyserii Sidneya Pollacka. Autora takich klasyków, jak „Czyż nie dobija się koni?", „Tootsi", „Pożegnanie z Afryką" czy „Trzy dni Kondora". Pollack nie żyje od 11 lat, a nakręcił „Amazing Grace..." w 1972 r. Dokument jest zapisem historycznego koncertu Arethy Franklin z tego samego roku, jaki dała w Missionary Baptist Church w Los Angeles. Zro-



dzony podczas dwóch wieczorów album gospel „Amazing Grace" jest najlepiej sprzedającym się krążkiem gospel w historii. Film przez 46 lat leżał na półkach dlatego, że nie można było zadowalająco zsynchronizować dźwięku z obrazem. Teraz dokument wraca do kin i pokazuje, dlaczego głos Franklin jest uważany za boski. „Gdyby tak wyglądały msze, każdy byłby wierzący!" – powiedział Mick Jagger po tym właśnie występie Arethy Franklin. To wystarczy za rekomendacje zagubionego i zapomnianego dzieła Pollacka, które we wręcz transcendentny sposób do nas powraca.

„AMAZING GRACE: ARETHA FRANKLIN", REŻ. SIDNEY POLLACK, DYSTR. MUSICINE

Skala ocen: rewelacja | dobry | pozytywne zaskoczenie

eprasa.pl f85080dd20

Łukasz Adamski
publicysta, krytyk filmowy

poleca

Koniec świata

„Supernova" to jedno z największych zaskoczeń w polskim kinie w tym roku. Nagrodzony za najlepszy debiut reżyserski na festiwalu filmowym w Gdyni Bartosz Kruhlik pokazał, że powstają u nas pomysłowe i oryginalne scenariusze, pozwalające świeżo opowiadać o wyeksploatowanych tematach. Wiejska droga. Pędząca rządowa limuzyna potrąca matkę z dwójką dzieci. Polityk wychodzi z samochodu. Nie udziela pomocy konającym na jezdni, lecz ucieka pieszo do lasu. Na miejsce przyjeżdża policja. Funkcjonariusze dobrze znają ofiary. Tutaj każdy się zna. Zabił zaś intruz z zewnątrz. Intruz mający wielkie wpływy i możliwość nacisku na miejscowego naczelnika policji. Powoli zbiera się tłum żądny zemsty.

W czasie 78 minut życie kilku osób zostaje totalnie wywrócone. Na to samo zdarzenie patrzymy oczami kilku osób, co jest motywem wielbionym przez reżyserów od czasu „Rashomona" Kurosawy. Kruhlik nie wyważa jednak otwartych drzwi i odbija od zabawy formą, by opowiedzieć nam o istocie przypadku w życiu każdego człowieka i karze za grzechy, jaka musi nas dopaść. Atmosfera z każdą minutą gęstnieje, a wątpliwości co do moralnych wyborów bohaterów się mnożą. Mimo że nie wychodzimy poza miejsce akcji, to szybko zdajemy sobie sprawę, że wypadek jest konsekwencją życiowych wyborów głównych postaci. Czy gdyby jedna decyzja została podjęta inaczej, to by do wypadku nie doszło? Czy może był to jakiś odgórny plan, mający swoją logikę?

Największą siłą „Supernovej" są młodzi aktorzy. Marek Braun jako chcący się wyrwać z prowincji policjant tworzy pełnokrwistą, przejmującą rolę. Ten sam aktor gra w tegorocznym „Procederze" Węgrzynów jakże inny epizod zdegenerowanego i grypsującego więźnia z wytatuowaną twarzą. Warto śledzić rozwój artystyczny tego chłopaka. Równie przekonywujący są Anna Mrozowska, wcielająca się w żółtodzioba w mundurze, oraz Marcin Hycnar jako butny polityk, powoli tracący ochronną skorupę.


Kino

Kruhlik to bardzo utalentowany młody reżyser. Sprawnie i pewnie kontroluje akcję biegnącą do kontrowersyjnego, ale moim zdaniem bardzo mocnego i sugestywnego finału. Niezbyt głębokiego, ale chwytającego za serce. „Supernova" balansuje na granicy intymnego dramatu, społecznego kina i katastroficznej przypowieści. Dramat bohaterów jest zderzony z końcem świata. To wpisuje się w starą żydowską maksymę, że śmierć jednego człowieka to właśnie koniec całego świata. Kruhlik prostymi środkami i konsekwentnie rysuje nam historię śmierci i odkupienia oraz pokazuje klasowe i społeczne podziały. Bez klisz piętnującej polską prowincję reżyserów z „warszawki", co dodaje filmowi jeszcze jednego waloru. Moce kino i zostające długo w pamięci.

„SUPERNOWA", REŻ. BARTOSZ KRUHLIK, DYSTR. FORUM FILM POLAND



Geeki rządzące światem

VOD

Jaki będzie koniec Pied Piper? Czy internet stanie się bardziej zdecentralizowany i marzenie życia Richarda Hendrixa się spełni? Nie przez przypadek musiał on w poprzednim sezonie zeznawać przed Kongresem, wyglądając i jąkając się jak Mark Zuckerberg. Na HBO pojawił się szósty i podobno ostatni sezon „Doliny Krzemowej". Serialu, którego bohaterami są geeki, czyli dziwaki od komputerów, którzy mieszkają w mitycznej Krzemowej Dolinie i knują w wynajętych domkach z białym płotem (zwanych inkubatorami), jak zostać następcami Jobsa, Gatesa i Zuckerberga. Ten serial to rasowa, piekielnie inteligentna komedia, stworzona przez Mike'a Judge'a, który zrewolucjonizował popkulturę, wymyślając „Beavisa i Buttheada".

Opowieść o piątce kumpli, którzy od dłubania przy start-upach w garażu przeszli do biznesów wartych miliardy dolarów, to też przenikliwy obraz dzisiejszego kapitalizmu i przerażająca wizja coraz bardziej wszechmocnych korporacji. Siłą „Doliny Krzemowej" jest również spojrzenie na wyalienowanych, nieumiejących poradzić sobie z prawdziwymi emocjami geniuszy komputerowych, których wynalazki wpływają na życie miliardów ludzi. W sumie przerażające!

„DOLINA KRZEMOWA" DOSTĘPNA NA HBO GO

Skala ocen: dno | koszmar | rozczarowanie | można obejrzeć, ale niekoniecznie

eprasa.pl f85080dd20

Zaginiona piosenka Cohena

Samotność, o której obsesyjnie pisał Cohen, jest największą trucizną naszych czasów. Miliony ludzi nie potrafi jej ujarzmić



KRZYSZTOF LOGAN TOMASZEWSKI

Minęła trzecia rocznica śmierci Leonarda Cohena. Wszyscy wielbiciele jego poezji uczcili datę 7 listopada. W skupieniu słuchaliśmy tych niesamowicie ekspresyjnych ballad, spośród których wymienię tylko kilka. Ulubione: „Travelling Light", „Dance Me to the End of Love", „Hallelujah", „In My Secret Life", „A Thousands Kisses Deep". Któż ich nie nucił, choć raz nie zatańczył? Nie trzeba być specjalnym wrażliwcem czy romantykiem. Ballady Cohena trafiają w samo serce. Powtarzam od lat: jeśli jesteś samotny, nie masz nikogo, z kim mógłbyś wieczorem pogawędzić, wypić wiśnióweczkę, a przede wszystkim zatańczyć, oddając się mimowolnej czułości, ujmij w dłonie choćby swój mop, stań przed lustrem przedwojennej szafy z owalnym lustrem i ruszaj, ruszaj w tan... Ujrzysz w nim swe odbicie: pochyloną sylwetkę w ciemnym garniturze w paski, na siwej głowie zadynda czarny kapelusz z rondem przepasanym taką samą stosowną wstążką. Tuż obok zacznie pląsać stareńki – podobnie jak ty sam – twój pies. Tak bywało, tak bywa i tak będzie. To już twój rytuał.



Wrażliwcy. Jest ich niemało na tej planecie. Każdy mocno tuli swą samotność. Pod marynarką lub dziurawym – i dlatego ulubionym – swetrem zapinanym na guziki albo przeciwdeszczowym płaszczem. Czym jest samotność, owa smutna dama, o której śpiewają bardowie, niemodni pieśniarze, która niby cień współczesnego człowieka nie chce nas opuścić. Choćbyś przyspieszył kroku, choćbyś biegł – ona zawsze czai się za twymi plecami. Samotność, o której obsesyjnie pisał Cohen, jest największą trucizną naszych czasów. Miliony ludzi nie potrafi jej się wymknąć. Okaleczeni psychicznie, martwi za życia, przeraźliwie wyalienowani, suną chevroletami po ulicach swoich miast, jakby na operację, która nie może się udać.

Jej sekret tkwi w braku miłości. Miłości, której łakniemy. Której poszukujemy i za którą jesteśmy w stanie zapłacić każdą kwotę. Nie tylko pieniędzmi, lecz własnym życiem. Miłości, jakiej nie zaznaliśmy we własnym domu, w naszym dzieciństwie ani później w latach dorosłych. Ludzie przypominają spadające gwiazdy w galaktyce. Płyną, płyną wysoko, gdzieś hen, hen, od milionów lat, fruną koszącym lotem, spadają w dół, rozświetlając horyzont przepięknym, fosforyzującym blaskiem. Tylko czasami, niezmiernie rzadko, gdy popatrzymy w nieboskłon, prawdziwym szczęśliwcom dane jest ujrzeć złocisty warkocz jednej z nich. Gdy po kilkunastu sekundach znika, pozostaje po niej gasnący kurz.

Cohen przepisywał swoje wiersze po kilkadziesiąt razy. Słynne „Hallelujah" ponad 30. Przed laty wyznał w przypływie szczerości: „Pisałem ten wiersz w Chelsee Hotel. W pewnej chwili nie wytrzymałem i nie mogąc się opanować, zacząłem walić głową w ścianę, skomląc, a następnie wrzeszcząc: »Zabierzcie tę kartkę i moje pióro. Wywalę mojego remingtona przez okno! Ja nigdy tego nie ukończę! Nie chcę, nie chcę już więcej tworzyć! To ponad moje siły! Nie chcę być poetą ani kompozytorem! To mnie wykańcza! Błagam! Pomocy!«".

Swoje melancholijne perełki Cohen spisywał na biletach samolotowych i na kawiarnianych serwetkach. Podobnie jak Agnieszka Osiecka. Identycznie – gdy piszę – robię tak i ja. Jeśli nie obudzisz się, pisząc we śnie, lub nie zanotujesz pomysłu od razu, zdanie, wyraz, metafora, przenośnia, kolejny wers umkną ci bezpowrotnie. W tym momencie Cohen wykrzyknął: „Niech zjawi się ona!". Interesujące – ktoś powie. Fakt. Żaden poeta ani kompozytor, pisarz czy malarz nie stworzyłby swego dzieła bez niej – bez kobiety swego życia! Kobiety były, są i będą największą inspiracją twórców. Nie powstałby bez nich żaden ambitny scenariusz filmowy,

eprasa.pl f85080dd20

obraz malarski, powieść czy opowiadanie. Wystarczy jeden przykład: Iwan Bunin napisał swą sześciostronicową perełkę „Kaukaz" o dwóch mężczyznach i tej jednej, jedynej istocie, która doprowadza ich do obłędu – o niewieście.

Kim byłby Leonard Cohen bez swoich muz!? Było ich wiele. Należały do nich nietuzinkowe aktorki, uduchowione poetki, utalentowane pieśniarki, z których wymienię tylko kilka: Judy Collins, Joan Baez, Joni Mitchell, Janis Joplin, Patti Smith, Jennifer Warnes, Sharon Robinson, Anjani Thomas i jego największa platoniczna (wyjątek!) miłość, dla której napisał swoje arcydzieło w 1967 r. – „Suzanne" – Suzanne Verdal – małżonka jego przyjaciela Armanda Vaillancourta.

Jego największą, spełnioną miłością pozostanie Norweżka Marianne Jensen. „To była najpiękniejsza kobieta, jaką kiedykolwiek spotkałem" – wyznał kiedyś Cohen. Poznali się na greckiej wyspie Hydra, która stała się kolonią artystów lat 60. Ona miała zaledwie 23 lata, syna z pisarzem Axelem Jensenem, mąż ją zdradzał, zatem nasi bohaterowie zostali parą na wyspie, na której mieszkali trzy lata. Suzanne stworzyła mu ciepły dom. Siadali na werandzie, on nucił swoją kolejną balladę, akompaniując sobie na gitarze. Wśród blasku świec, przy księżycu. Oczyma wyobraźni widzę, jak popijają szampana, ubrani w wełny, szale, luźno zawiązany w gruby supeł krawat. On w swoim zmiętym, czarnym kapeluszu, ona zasłuchana bez pamięci. U stóp dwa psy. Czy może być coś bardziej pięknego, szlachetnego i staromodnego na tym świecie? Wątpię.

Jednak największe miłości przemieniają się w popiół. Także i ta. Czy powodem jest zanik seksu – tej największej ludzkiej siły, miary i motywacji związku kobiety i mężczyzny? Ich namiętność!? Kto wie. A może miłość wysycha jak źródło, które zatruwają takie ludzkie brzydkie cechy jak: zwątpienie, lenistwo, zazdrość, pycha?

Leonard i Marianne rozstali się w 2005 r. Po latach Marianne (wówczas już Ihlen) odnaleziona przez dziennikarza przyznała, że Cohen jej się ciągle śni. Zapewne i Leonard Cohen śnił o swojej muzie, bo po latach, już w rodzinnym Montrealu, napisał kolejne arcydzieło: „So Long, Marianne".

Oto fragment tego utworu w tłumaczeniu mego śp. przyjaciela Macieja Zembatego:

Do okna podejdź, moja maleńka.
Chcę zacząć czytać z dłoni twej.
Zawsze myślałem, że w sobie mam
cygańską krew,
Zanim do domu wzięłaś mnie.
Żegnaj, Marianne,
Bo oto nadszedł czas
Na śmiech i płacz, i śmiech, i płacz,
A potem jeszcze raz.
Jak wiesz, uwielbiam mieszkać z tobą,
Lecz przez ciebie zapominam, że
Powinienem modlić się do aniołów,
Którzy zapominają za nas modlić się.
Żegnaj, Marianne.
Spotykaliśmy się prawie młodzi,
W zielonym parku kwitły bzy,
Przywarłaś do mnie jak do krucyfiksu,
Gdyśmy na klęczkach w ciemność szli.

Tuż przed trzecią rocznicą śmierci mego mistrza i ja wszedłem do studia nagraniowego w warszawskim Teatrze Kamienica. Wraz z przyjaciółmi, fantastycznymi muzykami i artystami sztuki wokalnej: Natalią Lubrano, Anetą Szymczyk, Krzesimirem Dębskim, Maćkiem Czemplikiem, Eddym, Markiem Stefankiewiczem, Tomaszem Wendtem, Patrykiem Walczakiem i Romanem Chraniukiem, nagrałem swój jubileuszowy dziesiąty album „Mama Jesień", który zadedykowałem mojej zmarłej 27 listopada 2014 r. Mamie. Grała mi Chopina, Mozarta, Rachmaninowa, Schumanna, Debussego i Ravela, a także ukochanego Szymanowskiego. Sama była wnuczką największej polskiej, przedwojennej pianistki – Zofii Rabcewiczowej.

Ostatnią swą balladę pt. „Zaginiona piosenka Cohena" napisałem dla mojego mistrza...



Fot. Route66/Shutterstock.com

„ZAGINIONA PIOSENKA COHENA"

Leonard Cohen ukończył wreszcie
ostatni wers.
Ktoś w pustym barze przy
Crescent street
Próbuje śpiewać zgubiony wiersz.
Montreal w deszczu,
Warszawa w słońcu
Bywałem tutaj, bywałem tam…
Oh! Leonardzie, któż Cię doceni?
Wśród naśladowców z pewnością – ja!
Zaginiona piosenka Cohena,
Utracone strofy poety,
Czym są: miłość, samotność, nadzieja?
Nie zaśpiewasz już o tym – niestety!

eprasa.pl f85080dd20

Rewolucja bergogliońska

Komentatorzy religijni piszą, że Kościół katolicki przeżywa dziś coś na kształt przewrotu kopernikańskiego. Co kryje się za pojęciami decentralizacji, synodalizacji czy rozeznawania?

Z filozofem i teologiem ks. prof. Andrzejem Kobylińskim rozmawia Grzegorz Górny



Fot. Archiwum ks. Kobylińskiego

Kiedy w 2013 r. Jorge Mario Bergoglio został papieżem, był ksiądz jednym z pierwszych w naszym kraju, którzy mówili, że ten pontyfikat bardzo głęboko zmieni oblicze Kościoła. Na czym opierał ksiądz swe przewidywania?

Andrzej Kobyliński: Wynikało to z analizy ostatnich lat pontyfikatu Benedykta XVI. Punktem zwrotnym był zwłaszcza rok 2010, zwany przez niektórych „annus horribilis", czyli rokiem strasznym, kiedy nastąpił nieprawdopodobnie silny atak na papieża Ratzingera. To była zmasowana krytyka zarówno zewnętrzna, jak i wewnętrzna. Od tamtego czasu miałem przeczucie, że będzie to pontyfikat skrócony. W pewnym sensie Benedykt XVI nie mógł dalej rządzić Kościołem, mając przeciwko sobie prawie wszystkich, nawet osobistego kamerdynera, który przez kilka lat wykradał mu dokumenty. Dlatego, gdy nadszedł 11 lutego 2013 r., nie byłem niczym zaskoczony. Przyjąłem abdykację ze zrozumieniem.

Co to za krytyka wewnątrzkościelna, o której ksiądz mówi?

Od kilkudziesięciu lat w Kościele trwa gorący spór o przyszłość katolicyzmu między dwoma obozami, które można nazwać umownie – odwołując się do terminologii politycznej – konserwatywnym i liberalnym. To dwa płuca, którymi oddycha Kościół. Metaforycznie sens działalności skrzydła liberalnego najlepiej wyraził jeden z najważniejszych przedstawicieli tego środowiska, zmarły w 2012 r. kard. Carlo Maria Martini. Jego zdaniem Kościół katolicki jest opóźniony w rozwoju o 200 lat, ponieważ nie przyswoił sobie dziedzictwa oświecenia. Martini twierdził, że najpilniejszym zadaniem powinno być teraz zlikwidowanie tego cywilizacyjnego zapóźnienia i dogonienie świata. Strona konserwatywna jest temu przeciwna, podkreślając przywiązanie do tradycji. Reprezentantami obozu konserwatywnego byli m.in. Jan Paweł II i Benedykt XVI. Konflikt przybrał na sile zwłaszcza za pontyfikatu tego drugiego. W pewnym momencie papież Ratzinger był krytykowany niemal za wszystko: za uwagi pod adresem islamu, za metody walki z pedofilią, za dowartościowanie tradycyjnego rytu liturgii, za wprowadzenie zakazu przyjmowania do seminariów i wyświęcania na księży homoseksualistów, za

eprasa.pl f85080dd20

zdjęcie ekskomuniki z biskupów lefebrystycznych itd. Od pewnego momentu widać było, że ten pontyfikat gaśnie.

W 2013 r. rozpoczął się więc nowy pontyfikat. Czy słowo „rewolucja" jest dobrym terminem na jego opisanie?

To jak najbardziej właściwe słowo. Kluczowe dla zrozumienia tego procesu jest pojęcie użyte przez papieża Franciszka w programowym dokumencie jego pontyfikatu, adhortacji „Evangelii gaudium" z 2013 r., a mianowicie „decentralizacja". Na tym przykładzie widać różnice między pontyfikatami Ratzingera i Bergoglio. Pierwszy dążył do obrony jednej uniwersalnej doktryny dla całego katolicyzmu. Drugi z kolei uznał niemożność obrony takiego modelu i postawił na decentralizację dotyczącą także kwestii doktrynalnych. Przykład tego, jak będzie ona wcielana w życie, dała adhortacja „Amoris laetitia".

W Polsce wciąż trwa dyskusja, czy „Amoris laetitia" zmieniła nauczanie Kościoła w sprawie osób rozwiedzionych i utrzymujących relacje seksualne w ponownych związkach, dopuszczając ich do Eucharystii, czy też wszystko pozostało po staremu, tak jak było przez wieki.

Na świecie takiej dyskusji zasadniczo już nie ma. Dla wielu katolików jest oczywiste, że decentralizacja, której wyrazem pozostaje „Amoris laetitia", dopuszcza wielość rozwiązań w tej kwestii. W jednych krajach czy diecezjach takie osoby są dopuszczane do komunii, a w innych nie.

Widać to najlepiej na przykładzie Polski i Niemiec. To, co po jednej stronie Odry jest ciężkim grzechem, po drugiej jest uznawane za przebywanie w łasce uświęcającej. Jak pogodzić to jednak z powszechnością i uniwersalnością doktryny katolickiej?

Dobre pytanie. Problem polega na tym, że nie toczy się na ten temat żadna dyskusja teologiczna, tak jakby nikogo to nie obchodziło. Weźmy wspomnianą już Polskę i Niemcy. W obu tych krajach Kościół reprezentuje odmienne rozumienie doktryny katolickiej, np. w sprawach etyki seksualnej, grzechu czy sakramentów. Ale to się nie pojawiło wraz z „Amoris laetitia". Przecież w Niemczech od pół wieku nie istnieje już niemal w ogóle praktyka spowiedzi sakramentalnej. Zniknęły konfesjonały. W Polsce nikomu to nie przeszkadza. Przez lata przymykano na to oczy, a więc milcząco akceptowano. Dlaczego teraz ma być inaczej?

Kolejny etap tego procesu to zakończony niedawno synod ds. Amazonii.

Synod otwiera drogę do kapłaństwa dla żonatych mężczyzn. Za takim rozwiązaniem opowiedzieli się uczestniczący w synodzie biskupi i wszystko wskazuje na to, że Franciszek przychyli się do ich postulatu w adhortacji, która ma być ogłoszona przed końcem roku. Warto wspomnieć, że kilka dni po zakończeniu synodu jeden z najbliższych współpracowników Franciszka kard. Claudio Hummes w wywiadzie dla portalu Vatican Insider powiedział nawet dokładnie, jak będzie wyglądać procedura przygotowywania osób żonatych do święceń kapłańskich w regionie Amazonii, a więc w dziewięciu krajach Ameryki Południowej.

A co z dyskutowanym podczas synodu pomysłem święceń kapłańskich dla kobiet?

W tej sprawie synod zatrzymał się w pół drogi. Jest zgoda, by kobiety pełniły zarezerwowane do tej pory dla mężczyzn posługi lektora i akolity, które nie są jednak związane z kapłaństwem. Kwestia diakonatu żeńskiego została natomiast skierowana do dalszego badania w komisji. Gdyby doszło do wyświęcania kobiet na diakonisy, to następnym etapem byłoby zapewne ich kapłaństwo.

Synod ds. Amazonii nie był wydarzeniem lokalnym. Biskupi niemieccy powtarzają, że to ważny punkt odniesienia także dla Kościoła w ich kraju. Dlaczego?

Synod ds. Amazonii ma stanowić pewien wzór do naśladowania dla Kościołów w różnych częściach świata. Chodzi o to, że w ramach decentralizacji niektóre Kościoły będą wprowadzać własne reformy odzwierciedlające ich sposób rozumienia wiary i moralności. Tak stało się już w 2016 r. po adhortacji „Amoris laetitia", gdy część episkopatów uznała dopuszczenie do Eucharystii osób rozwiedzionych i żyjących w nowych związkach. Już wkrótce, 1 grudnia, rozpocznie się nowy etap tego procesu. W Niemczech zostanie bowiem zainicjowana „droga synodalna".

REKLAMA



88/1019/F

eprasa.pl f85080dd20

Czym się różni synod biskupów od „drogi synodalnej”?

Różne rodzaje synodów mają swoje ściśle określone miejsce w prawie kanonicznym. Niemiecki episkopat, chcąc dowartościować laikat i uwzględnić własną specyfikę, musiał wyjść poza istniejącą formułę synodu. Wymyślono więc niemiecką konstrukcję zwaną „drogą synodalną”, która nie ma odpowiednika w żadnym innym kraju. To rozwiązanie uwzględnia swego rodzaju dwuwładzę niemieckiego Kościoła katolickiego: z jednej strony jest Konferencja Episkopatu Niemiec, z drugiej – Centralny Komitet Niemieckich Katolików, czyli organizacja świeckich, której władze są wybierane przez tamtejszy laikat. Ustalono już parytet między tymi grupami. Organ decyzyjny „drogi synodalnej” składał się będzie z 230 członków, w tym 89 biskupów i 89 delegatów wspomnianego komitetu. Resztę stanowić będą przedstawiciele zakonów, ruchów katolickich, młodzieży itd.

Czym będzie się zajmować „droga synodalna”?

Przygotowano cztery grupy tematyczne. Pierwsza z nich dotyczy konieczności podziału władzy w Kościele, czyli ograniczenia władzy biskupów i zwiększenia kompetencji świeckich. Drugi obszar tematyczny poświęcony jest konieczności zmiany etyki seksualnej Kościoła, zwłaszcza w odniesieniu do homoseksualizmu. Takie kwestie jak antykoncepcja czy stosunki przedmałżeńskie raczej nie będą dyskutowane, ponieważ w tych sprawach zwyciężyła już dawno opcja liberalna. Natomiast przedmiotem sporu pozostaje homoseksualizm. Zwolennicy zmian chcą, aby Kościół przestał uznawać stosunki jednopłciowe za grzeszne. Domagają się też błogosławienia takich par w świątyniach katolickich.

Czy jest szansa, że te postulaty przejdą?

Istnieje duże prawdopodobieństwo, że tak się stanie, tym bardziej że wielu biskupów oraz prawie wszyscy delegaci Centralnego Komitetu Niemieckich Katolików są bardzo radykalni w swoich żądaniach.

Trzeci temat to...

... nowe formy życia kapłańskiego, czyli wyświęcanie żonatych mężczyzn na księży. W tej chwili w Niemczech jest ponad 2 tys. żonatych diakonów stałych i wszystko wskazuje na to, że po zakończeniu „drogi synodalnej” większość z nich zostanie kapłanami. Ostatnim tematem jest kwestia nowych urzędów w Kościele dla kobiet. Tu sprawa nie jest przesądzona, choć wielu niemieckich katolików i część biskupów otwarcie opowiada się za kapłaństwem kobiet.

Czy te zmiany przechodzą bez protestów?

Jest w Kościele niemieckim pewna grupa, która się temu przeciwstawia, ale stanowi ona mniejszość. Straszy wręcz możliwością schizmy, gdyby najbardziej radykalne postulaty zostały wprowadzone.

Jak miałaby ta schizma wyglądać?

Powiedzmy sobie otwarcie: niewidzialna schizma w Kościele katolickim jest faktem od lat 60. XX w. Symboliczną datą jest rok 1968, czyli publiczne odrzucenie encykliki „Humanae vitae” Pawła VI przez wiele episkopatów na Zachodzie. Od tamtego czasu negowanie wielu podstawowych prawd wiary i moralności stało się powszechne nawet wśród duchowieństwa. Schizma niewidzialna na poziomie doktrynalnym więc istnieje, natomiast dziś grozi nam niebezpieczeństwo schizmy oficjalnej.

Uważam, że ryzyko schizmy formalnej jest mało prawdopodobne, ponieważ katolicy na świecie oswoili się już z tą różnorodnością w Kościele. Zanik spowiedzi w krajach zachodnich mało kogo już oburza lub dziwi

Franciszek, wracając niedawno samolotem z Madagaskaru, powiedział, że nie boi się schizmy. Jak to rozumieć?

Zgadzam się z papieżem Franciszkiem. Uważam, że ryzyko schizmy formalnej jest mało prawdopodobne, ponieważ katolicy na świecie oswoili się już z tą różnorodnością w Kościele. Zanik spowiedzi w krajach zachodnich mało kogo już oburza lub dziwi. Podobnie będzie z kolejnymi zmianami.

Czy to będzie jednak jeszcze katolicyzm, jeśli poszczególne Kościoły lokalne będą się różnić w sprawach doktrynalnych dotyczących podstawowych prawd wiary i moralności?

Na pewno będzie to odejście od modelu Kościoła, tak jak rozumiał go chociażby sobór trydencki.

Ale także od tego, jak rozumieli go Jan Paweł II i Benedykt XVI.

Niewidzialna schizma dokonywała się również za ich pontyfikatów. Nie można całej rewolucji przypisywać jedynie Franciszkowi. To niesprawiedliwe. Wydaje się, że papież Franciszek po prostu uznaje nieodwracalność tych procesów.

Gdzie jednak jest kres decentralizacji w wymiarze doktrynalnym? W przypadku Eucharystii dla osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach decydujący w niektórych krajach okazał się głos miejscowego episkopatu. Ale już w przypadku komunii dla protestanckich współmałżonków w Niemczech ostateczne kompetencje zostały przyznane biskupom na poziomie konkretnych diecezji.

eprasa.pl f85080dd20

Żeby zrozumieć ten proces, powinniśmy się cofnąć do filozofii Immanuela Kanta, który wprowadził kategorię autonomii moralnej jednostki. W tej wizji, która zwyciężyła już w Kościele niemieckim i rozszerza się na cały świat, o wszystkim rozstrzyga indywidualne sumienie, a nie ogólne normy moralne, tradycja czy prawo naturalne. Finalnie ostateczną instancją ma być więc nie stanowisko papieża, episkopatu czy biskupów, ale osąd moralny jednostki i jej sumienia. Przecież na Malcie tamtejsi hierarchowie właśnie indywidualnemu osądowi sumienia osób rozwiedzionych i pozostających w ponownych związkach pozostawili wybór, czy mogą przystępować do komunii, czy też nie.

Czyli człowiek nie tyle odkrywa prawo moralne ustanowione przez Boga, ile sam decyduje, co jest dobre, a co złe. Do tego przecież sprowadza się słynna maksyma Kanta: „Niebo gwiaździste nade mną, a prawo moralne we mnie”.

To jest zwycięstwo koncepcji tzw. sumienia twórczego. Obecna rewolucja doktrynalna nie oznacza oczywiście przekreślenia całej tradycji Kościoła, ale jedynie zmianę paradygmatu.

To znaczy?

Pierwszeństwo sądów jednostkowych sumienia nad normami ogólnymi zastępuje wcześniejszy prymat zasad ogólnych nad konkretnymi sądami wartościującymi.

Ale to jest czysty subiektywizm.

Owszem, to może prowadzić do subiektywizmu etycznego, ale nie musi. Dlatego tak ważne staje się formowanie sumień wiernych. To poważne wyzwanie dla dzisiejszego duszpasterstwa, by pomagało katolikom się odnaleźć w tej nowej sytuacji Kościoła.

A prawda obiektywna? Jaka jest np. prawda w odniesieniu do aktów homoseksualnych?

W trakcie tego procesu decentralizacji i synodalizacji katolicy w coraz większym stopniu będą samodzielnie dążyć do odnalezienia prawdy. Oczywiście rezultaty mogą być różne. Jedni uznają więc homoseksualizm za dar Boży, a inni za „obiektywne nieuporządkowanie”. Tak zresztą dzieje się już dziś. Podążamy w kierunku różnorodności i ten proces fragmentaryzacji Kościoła będzie się jeszcze bardziej pogłębiał.

Czy Kościół katolicki nie podąża więc drogą protestantyzmu?

Powiedziałbym, że raczej anglikanizmu. Podstawowe pytanie, jakie powinniśmy dziś sobie zadać, brzmi: czy katolicyzm przetrwa w ogóle jako odrębna forma religijna?

To jest pytanie otwarte?

Stawiam je od kilku lat w wielu moich wypowiedziach. Z jednej strony mamy bowiem wewnętrzne pęknięcie i fragmentaryzację doktrynalną Kościoła, a z drugiej strony pentekostalizację, czyli napór z zewnątrz wspólnot zielonoświątkowych, które wypierają katolicyzm w wielu rejonach świata. Globalne zmiany zmierzają dziś w kierunku dekonfesjonalizacji, czyli powstania chrześcijaństwa synkretycznego, ponaddenominacyjnego. Mamy nową reformację.

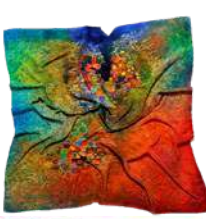
Co w tej sytuacji, gdy każdy wierzy, w co chce, powinien zrobić Kościół w Polsce?

W ramach trwającej decentralizacji powinniśmy podkreślać naszą polską specyfikę przeżywania katolicyzmu, bronić naszego rozumienia wiary i moralności, np. ocalić spowiedź, powagę liturgii czy wiarę w obecność Jezusa Chrystusa w Najświętszym Sakramencie. Oczywiście także u nas trzeba wprowadzać konieczne reformy i zwalczać różne patologie, ale przede wszystkim chodzi o pokazanie naszego modelu decentralizacji, który nazywam katolicyzmem słowiańskim lub środkowoeuropejskim, ponieważ łączy on specyficzną religijność kilku krajów, m.in. Polski, Słowacji, Litwy, Ukrainy, Węgier czy Chorwacji. Musimy być w tej kwestii bardziej aktywni. Uważam, że dobrym pomysłem byłoby zwołanie synodu ds. Europy Środkowo-Wschodniej. Jeśli będziemy bierni, to oddamy inicjatywę Niemcom, Belgom, Austriakom czy Szwajcarom. Już teraz wiceprzewodniczący niemieckiego episkopatu bp Franz-Josef Bode postuluje, by zwołać synod ds. Europy, który swoje rozwiązania mógłby narzucić całemu kontynentowi. Czas więc się obudzić.

REKLAMA

Świąteczne Upominki
Jedwabie Ręcznie Malowane
z Milanówka







Ręcznie Malowane Jedwabie:
Apaszki, Gawroszki, Szale Damskie
Krawaty, Poszetki, Szale Męskie
www.luma-milanowek.pl

Luma Milanówek

5/1119/F

eprasa.pl f85080dd20

Była sobie raz elita

Sukcesy poszczególnych partii osiągnięte podczas ostatnich wyborów parlamentarnych nie są jedynie wynikiem przedwyborczej propagandy. Stanowią także świadectwo głębszych przekształceń świadomości w poszczególnych grupach elektoratu, zwłaszcza wśród inteligencji. Postawy niechętne wobec PiS w miastach wynikają przede wszystkim ze stosunku inteligencji do państwa polskiego



JAN PARYS

Problem ten widać najlepiej na przykładzie postawy środowiska sędziowskiego. Jak wiadomo, pensje sędziów pochodzą z budżetu państwa, wyroki są wydawane w imieniu Rzeczypospolitej. Lecz jak obserwowaliśmy w ostatnich czterech latach, sędziowie widzą swoją pozycję zupełnie inaczej. Nie zamierzają służyć obywatelom poprzez rzetelne wykonywanie swych obowiązków. Widzą siebie jako władzę nadrzędną nad społeczeństwem, uzurpują sobie kompetencje do stanowienia prawa oraz do kontrolowania władzy ustawodawczej i wykonawczej. To nie ma nic wspólnego z trójpodziałem władzy, będącym podstawą ustroju demokratycznego. Sędziowie nie rozumieją, że warunkiem ich pozycji, w tym nieusuwalności, jest ich niezależność. Tymczasem obecnie wielu z nich uważa, że ich zadaniem jest podważyć władzę Prawa i Sprawiedliwości przez zakwestionowanie ustaw przyjętych przez Sejm oraz zakwestionowanie w sądzie decyzji podjętych przez organa administracji.

POPISY ZAROZUMIALSTWA

Publicznie okazywana pogarda wobec władz państwowych nie jest żadnym bohaterstwem, lecz przejawem pogardy dla demokracji. Bo obecna władza ma demokratyczną legitymację. Oczywiście można krytykować rząd, ale odbieranie mu prawa do rządzenia jest niczym innym jak podważaniem ustroju konstytucyjnego. Jaki stan aberracji umysłowej osiąga nasza elita, najlepiej pokazują przykłady: kiedy znany aktor utożsamia PiS z potomkami chłopów folwarcznych, a znana aktorka stwierdza po wyborach, że ich wynik jest inny, niż oczekiwała i wobec tego „czuje się obesrana". Takie to mamy autorytety w Polsce w 2019 r., które na dodatek aspirują do rządu dusz i do wpływania na państwo. Proszę nie mówić, że są to ludzie na poziomie lub że są to osoby poważne. Dla takich osób ani demokracja, ani państwo polskie nie są wartością. Liczy się to, że kumple stracili władzę. Tymczasem jeśli ktoś chce decydować o państwie, musi wygrać wybory, sama nawet wysoka pozycja zawodowa nie daje w demokracji mandatu. Dzisiejsi twórcy chcieliby pełnić funkcję wieszczów, jak Mickiewicz czy Słowacki. Ale żaden na tym poziomie co Mickiewicz nie jest i pozycji wieszcza nie ma. Jeżeli zachowuje się jak wieszcz, to jest śmieszny.

Szczególny popis zarozumialstwa dali jesienią 2019 r. rektorzy szkół publicznych, którzy zamiast dbać o poziom nauczania, zaczęli się wypowiadać na temat tego, co wolno ich pracownikom mówić odnośnie do LGBT. Widać, że dla rektorów punktem odniesienia nie jest ustawa o szkolnictwie, lecz artykuły w zagranicznej prasie. Dlatego rektorzy postanowili wystąpić w funkcji uczelnianej policji politycznej, która określa, jak pracownicy nauki mają myśleć. Nie wiem, czy dając w nowej ustawie o szkolnictwie wielką władzę rektorom, minister nauki zdawał sobie sprawę, że uruchamia mechanizm cenzury i poprawności politycznej. Tymczasem w czasie ostatnich dziesięciu lat nakłady na szkolnictwo wyższe wzrosły poważnie, liczba studentów z powodów demograficznych się wyraźnie obniżyła, a poziom absolwentów jest cały czas niski. To jednak do rektorów nie dociera. Nadal domagają się większych środków finansowych, chociaż oferują społeczeństwu dobra coraz gorszej jakości za coraz większe pieniądze. Wolą swoją pozycję budować poprzez publikowanie stanowisk ideologicznych. Tymczasem to ich należy rozliczyć z pobieranych środków i wykonywanych zadań. Na pewno nie należy do tych zadań prześladowanie pracowników nauki za poglądy w imię ideologii.

Czas się zastanowić, dlaczego punktem odniesienia dla sędziów, rektorów i wielu innych grup inteligencji nie jest polskie społeczeństwo. Dla sędziów

eprasa.pl f85080dd20

coraz częściej ważne są zagraniczne normy i opinie tamtejszych stowarzyszeń prawników. Opinia polskiego społeczeństwa nic ich nie obchodzi, podobnie pogardliwy stosunek mają do decyzji polskiego parlamentu. To na polski rząd i na polski parlament składają skargi, jakby Polska była niesuwerenna, a zagranica stanowiła władzę nadrzędną nad naszym państwem. Polskie społeczeństwo zmierzają przymusić do podporządkowania się normom i ideałom ustalonym poza Polską. Podobnie rektorzy. Dla nich autorytetem jest to, co napisano w zagranicznej prasie. Polskie państwo i polski rząd mają być tylko od płacenia, a oni uzurpują sobie prawo, by przy pomocy zagranicy urządzać kraj według swoich pomysłów. Oczywiście rektorzy, literaci, reżyserzy uważają, że najlepiej wiedzą, jak ma być zorganizowane państwo i mają gdzieś władzę, która ma od społeczeństwa mandat, by podejmować decyzje.

EUROPEJCZYK, CZYLI KTO?

Jak wiemy, PiS ostatnio wygrał kilka kampanii wyborczych z rzędu. Powstaje pytanie, czy inteligencja rozumie sygnał od społeczeństwa, jakim są wyniki tych wyborów? Czy nadal inteligencja będzie obrażona na społeczeństwo i na demokratycznie wybraną władzę? Czy nadal wybory będą traktowane przez elitę jako pomyłka niedojrzałego elektoratu, czy nadal elita będzie głosić, że broni demokracji, a jednocześnie czeka, aż społeczeństwo się nawróci i zacznie znów głosować na to, co trzeba, czyli na modnych na Zachodzie liberałów? Pytanie jest więc proste i brutalne: kiedy inteligencja zrozumie, co oznacza demokracja i kiedy zacznie ją szanować?

W naszym społeczeństwie powszechne są postawy proeuropejskie. Jednak różni ludzie wyciągają z tego odmienne wnioski. Cały czas u niektórych pokutuje przekonanie, że aby być Europejczykiem, czyli człowiekiem bogatym i nowoczesnym, trzeba zrezygnować z polskości. Tymczasem nie ma czegoś takiego, jak czysta ponadnarodowa europejskość. Aby być Europejczykiem, trzeba najpierw należeć do jakiegoś państwa i narodu. Traktaty europejskie nie zastąpią kultury i historii. Kultura europejska to skrót myślowy, bo jest ona złożona z dorobku poszczególnych narodów. Jest truizmem twierdzenie, że od osób lepiej wykształconych można wymagać więcej. Możemy np. oczekiwać, że elita to ludzie, którzy rozumieją, iż obywatel ma nie tylko prawa, lecz również obowiązki, że państwo chroni wolność jednostki, ale realizuje wolę większości, że jest coś takiego jak wspólnota narodowa oraz że to jest wspólnota odpowiedzialności. Powstaje pytanie, dlaczego trzeba przypominać sprawy, które mogą się wydawać oczywiste, skąd u wielu grup inteligencji problem ze zrozumieniem prostych spraw? Negowanie znaczenia narodu i państwa w imię przynależności do Unii Europejskiej nie ma sensu. Leonardo da Vinci należy do kultury europejskiej i światowej, bo jego dorobek został uznany za powszechnie ważny. Ale urodził się i tworzył w konkretnym państwie. Jego dorobek jako Włocha został z czasem przyswojony przez mieszkańców Europy i zyskał rangę międzynarodową.



eprasa.pl f85080dd20

Wzorowanie się na Zachodzie jest możliwe, ale nie zawsze słuszne i nie zawsze dobre dla Polski. Modny na Zachodzie liberalizm od lat przeżywa kryzys. Zresztą bardzo on różni się od tego, który propagował John Locke i inni klasycy. Minęło już kilkadziesiąt lat, od kiedy Carl Schmitt przeprowadził gruntowną krytykę idei liberalnej, a u nas podchodzimy do rozwiązań liberalnych jak do dogmatu. W Polsce nadal światopogląd liberalny jest uważany za synonim postępu, nowoczesności i wzór do naśladowania. Tymczasem praktyka polityczna wskazuje na co innego. Obserwujemy bunt „żółtych kamizelek" we Francji, użycie wojska wobec rolników w Holandii i wobec demonstrujących w Katalonii. To dowód, że praktykowany tam model liberalnej demokracji nie jest ideałem godnym naśladowania, bo jest niefunkcjonalny, a nawet często jest zaprzeczeniem demokracji.

Na szczęście Zachód nie jest obszarem jednolitym politycznie. W Unii Europejskiej nie ma jednego obowiązującego ustroju politycznego. Możemy w Polsce sami decydować o tym, jaki ustrój budujemy. Liberalizm polityczny ma nadal potężne wsparcie, bo odpowiada interesom wielkich korporacji. To one są największym beneficjentem skrajnie pojmowanego wolnego rynku. Liberalizm polityczny, a więc ograniczenie roli państwa i wyeksponowanie wolności indywidualnej, pozwala korporacjom działać prawie bez ograniczeń. Popularny liberalny mit mówi, że interes ogółu można zbudować z sumy egoizmów poszczególnych obywateli. A człowiek jest wolny, kiedy nie ma zobowiązań wobec nikogo. Jednak w XXI w. siła wielkich korporacji jest tak duża, że nawet struktury państwowe mają problem, by hamować ich wpływy. Pojedyncze regiony czy obywatele bez wsparcia państwa są wobec wielkich korporacji i procesów globalnych bezradni.

O problemach, do których dziś prowadzi liberalizm na Zachodzie, warto pamiętać. To jest o tyle trudne, że przez ostatnie lata lansowano pogląd, iż tylko ustrój liberalny jest dobry, tylko on gwarantuje demokrację i prawa człowieka, tylko on stanowi jedyną słuszną drogę rozwoju państwa, którą wszystkie muszą iść. Kto tą drogą nie idzie, jak pisał Fareed Zakaria, nie jest demokratą, jest zacofany i stacza się na pozycje dyktatorskie. Tylko liberałowie wiedzą, jak ma się rozwijać ludzkość i co jest dla niej dobre. Wola ludu nie ma znaczenia. Mechanizmy demokratyczne są po to, by zorganizować poparcie dla liberałów. Jeżeli społeczeństwo nie wybiera liberałów, to wolę ludu można zakwestionować. Takie narody mają być poddane praniu mózgów, aż do momentu kiedy pogodzą się z tym, że tylko liberalna elita wie, czym jest dobro i kto je reprezentuje.

> Pytanie jest proste i brutalne: kiedy polska inteligencja zrozumie, co oznacza demokracja i kiedy zacznie ją szanować?

Ostatnio liberałowie z UE bez skrupułów przeznaczyli 2 mld euro z unijnego budżetu na destabilizowanie państw, które ich nie słuchają. Wola takich społeczeństw nie jest w Brukseli honorowana, będą poddane propagandowej obróbce. O tym, jak mają się rozwijać poszczególne państwa, nie będą decydować ich obywatele ani ich rządy, lecz międzynarodowe gremia liberałów z kilku państw. Ten sposób rozumowania współczesnych liberałów pokazuje, jak bardzo odeszli od ideałów, które były podstawą liberalizmu z czasów Johna Locke'a. Na pewno dzisiejsi liberałowie nie są zwolennikami wolności dla wszystkich.

WYZNAWCY PSEUDOLIBERALIZMU

Praktyka polityczna ostatnich dziesięcioleci pokazuje, czym jest liberalizm dzisiaj. Widać, że niczego nie gwarantuje, a często jest zaprzeczeniem demokracji i ogranicza wolność. Tymczasem istnieją ustroje nieliberalne, które są demokratyczne, z rządami, które przestrzegają konstytucji i chronią prawa człowieka. Wydaje się, że Polakom bliższa jest wizja człowieka i ustroju społecznego znana z książek Znanieckiego niż to, co proponują współcześni liberałowie. Znaniecki wskazywał, że ludzie żyją w grupach i że człowiek realizuje się poprzez życie we wspólnotach. Model społeczny polegający na tym, że żyjemy tylko dla siebie, bez związku ze wspólnotami, takimi jak rodzina, miejsce pracy, parafia, naród, jest możliwy, ale nie odpowiada większości Polaków. Na dodatek ten liberalny model wcale nie prowadzi na Zachodzie do zadowolenia społeczeństwa, lecz do wielu zjawisk patologicznych. Dziś można zaryzykować stwierdzenie, że im więcej władzy liberałów, tym mniej demokracji i mniej wolności i jednocześnie silne procesy kryzysowe.

Od wielu lat John Rawls funkcjonuje jako główny ideolog liberalizmu, można powiedzieć, że jest papieżem dla wyznawców tej ideologii. Dlatego naszym krajowym liberałom pragnę przypomnieć, że Rawls odrzucał idee rządu światowego jako utopię („Prawo ludów", Warszawa 2001). Jasno stwierdzał, że świat jest zróżnicowany, więc jedność religijna, filozoficzna i polityczna świata nie jest możliwa. Co więcej, Rawls stworzył pojęcie społeczeństw przyzwoitych i rozsądnych, dla których ważna jest przynależność do wspólnot, a nawet ustrój hierarchiczny. Uważał, że do takich należą kraje, w których rząd reprezentuje społeczeństwo, służy obywatelom, każda grupa ma prawo do reprezentacji swych interesów, jest praktykowana demokracja, są przestrzegane prawa człowieka i inne wolności.

Zatem Rawls, chociaż propaguje ustrój liberalny, to nie neguje sensu pewnego typu nieliberalnego ustroju. Wręcz przestrzega przed brakiem tolerancji wobec państw nieliberalnych. Jak wiadomo, Rawls bardzo się interesował utrzymaniem pokoju między państwami. Pisał, że warunkiem pokoju jest poczucie bezpieczeństwa każdego państwa. A częścią tego bezpieczeństwa

eprasa.pl f85080dd20

jest domaganie się od innych państw odpowiedniego szacunku, uznanie równości państw i akceptacja ich odmienności, w tym wypadku nieliberalnego ustroju. Pisał także, że samostanowienie jest istotnym dobrem i prawem każdego narodu. Państwa nieliberalne są według Rawlsa równoprawnymi członkami społeczności międzynarodowej i wykluczone jest stosowanie wobec nich przymusu, by weszły na drogę liberalną. Kogo nie stać na szacunek wobec państw o odmiennym ustroju, nie zasługuje na miano liberała, a nawet może doprowadzić do konfliktu i wojny.

Całe społeczeństwo, w tym polska inteligencja, długo czekało, by nasz kraj zbliżył się do zachodniej Europy. W ramach pośpiesznej westernizacji myślenia przyjęła ona bardzo uproszczoną wersję liberalizmu. Ten funkcjonujący w Polsce schemat liberalnego myślenia można, w świetle pism Carla Schmitta i Johna Rawlsa, nazwać karykaturą liberalizmu. Tak wypaczona ideologia liberalna została chętnie przyjęta przez wielu przedstawicieli polskiej inteligencji, bo daje tej grupie poczucie nadrzędności wobec reszty społeczeństwa. Jest ona także uzasadnieniem dla oczekiwania przywilejów w państwie. Oczywiście nadrzędna pozycja jakiejkolwiek grupy nie jest możliwa do utrzymania w ustroju demokratycznym. W demokracji mandat do sprawowania władzy i przywileje nie biorą się z samodesygnacji, lecz z wyborów, a na pozycję materialną trzeba zapracować.

Jak pisze Rawls – poczucie wyższości wobec każdego, kto nie jest liberałem, nie ma uzasadnienia i przypomina walkę o utrzymanie przywilejów w schyłkowym okresie feudalizmu. Zwolennicy ustrojów innych niż liberalne, np. republikańskich czy konserwatywnych, mają prawo do istnienia: nie są ani gorszymi ludźmi, ani gorszymi obywatelami. Nikt nie może budować swojej pozycji na pogardzie dla inaczej myślących, zwłaszcza liberałowie! Pogarda wobec odmiennie myślących nie jest żadnym mandatem do sprawowania władzy.

W Polsce przekonanie o ponadczasowej wyjątkowości jednej grupy i tylko jednym dopuszczalnym ustroju liberalnym upowszechniło środowisko z Czerskiej. Dopóki inteligencja nie przezwycięży schematów myślenia pseudoliberalnego, jakie lansuje to środowisko, będzie ona dryfować jak rozbitek na morzu. Jej pozycja będzie się upodabniać do spadającego czytelnictwa „Gazety Wyborczej". Znajdzie się na marginesie społeczeństwa. Bo to społeczeństwo podejmuje decyzje podczas wyborów, komu powierza władzę i kogo chce słuchać. Inteligencja nie ma wyjścia, musi się pogodzić z tym, iż czasami lud powierza władzę konserwatystom lub republikanom. Wówczas liberałowie nie mogą się obrażać na państwo, bo ono w dzisiejszym świecie, zależnym od procesów globalnych, jest wszystkim potrzebne.

REKLAMA



49/0819/F

eprasa.pl f85080dd20



N jak Niepodległość

Dr Hanna Karp, medioznawca

Za nami Narodowe Święto Niepodległości. Wydobycie się po 123 latach z niebytu na mapie spod drapieżnych łap trzech zaborców na skutek przedziwnych historycznych splotów okoliczności nie każdemu się zdarza. Nam się przytrafiło. To tak jakby wrócić do życia po śmierci. Upłynęło od pamiętnego 1918 r. sto jeden lat. Lat przerywanych wyniszczeniem i eksterminacją narodu, straszną wojną i okupacją niemiecką, a tuż potem 44 latami stalinowsko-sowieckiego totalitaryzmu i terroru. Warszawy, miasta, które także umarło, i to dwukrotnie, też miało już nigdy nie być. Okupanci niemieccy, opuszczając stolicę, postanowili zniszczyć ją bezpowrotnie, wysadzając jeszcze na odchodne jej... gruzy. Miało nie być Warszawy, miało nie być Rzeczypospolitej. Miało nie być nas. Jesteśmy. Wbrew wszystkiemu.

Święto Niepodległości ustanowione zostało ustawą z 23 kwietnia 1937 r., a zniesione przez komunistów ustawą Krajowej Rady Narodowej 22 lipca 1945 r. Przywrócono je ustawą z 15 lutego 1989 r. w okresie tzw. ustrojowej transformacji.

ŚWIĘTO, KTÓRE PRZESZKADZA

Nie może chyba nikogo dziwić, że to jedno z bardziej „niebezpiecznych" i niepożądanych świąt. Wciąż komuś przeszkadza. Właściwie to nie powinniśmy się cieszyć ani świętować. A już na pewno nie należałoby maszerować pod „agresywnymi" hasłami w rodzaju: „Bóg, Honor, Ojczyzna". Jak to oceniła reporterka komercyjnej telewizji, relacjonując jeden z marszów. Czy pod innym równie „kontrowersyjnym", jakie choćby obrano w tym roku: „Miej w opiece naród cały". Bo to przecież fragment pieśni maryjnej (sic!) „Z dawna Polski, Tyś Królową".

A już jeśli marsz rozpoczyna się modlitwą różańcową (sic!), to znaczy, że przekroczono wszelkie granice politycznej poprawności. Jeszcze jeden taki marsz i Unia Europejska wyrzuci nas za drzwi. Na bruk. Nie po to w 2004 r. łaskawie przyjęto nas tam, żebyśmy dziś na europejskie podwoje wnosili miazmaty skażone modlitwą, krzyżem i świętymi obrazami. Święte, świeckie brukselskie korytarze nie po to wznoszono, by Polacy wnosili tam swój katolicyzm. Bo – jak świetnie udowodnił w jednym ze swoich filmów Stanisław Bareja – każdy pijak to złodziej, a każdy złodziej to pijak. Ergo, katolicyzm to faszyzm, a każdy katolik to faszysta. Więc owszem, można czcić Niepodległą biegami, piknikami, ewentualnie na scenach tanecznych i muzycznych. Ale różańcem i z krzyżem na piersi? Wzorcowo to, co dopuszczalne, wyraził w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej" następnego dnia po marszu (12 listopada) Władysław Kosiniak-Kamysz, składając swoje świadectwo wiary: „Jestem politykiem centrowym o konserwatywnym światopoglądzie, katolikiem praktykującym, ale nienarzucającym innym swojego widzenia świata". A zatem podobnie jak Bill Clinton można palić, ale się nie zaciągać.

Ostatecznym ostrzeżeniem dla Polaków miały być słowa belgijskiego polityka Guya Verhofstadta, gdy przed dwoma laty opisywał w Parlamencie Europejskim polski Marsz Niepodległości, mówiąc: „Mieliśmy 60 tys. faszystów, nazistów na ulicach Warszawy. Mniej więcej 350 km od obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau". Ale Polacy się nie dali się zastraszyć unij-

eprasa.pl f85080dd20

nemu biurokracie. I w tym roku znów stawili się na rondzie gen. Charles'a de Gaulle'a. Modlili się podczas mszy św., odmówili różaniec, odśpiewali hymn i ruszyli przez Warszawę. Miasto wyklęte, które miało być widmem wymazanym z mapy świata.

PROWOKACJE Z PRZESZŁOŚCI

Idąc, mogliby skandować: „Nie jesteśmy faszystami, nie jesteśmy nazistami, jesteśmy u siebie i świętujemy!". Przez stolicę płynęła rzeka biało-czerwonych flag i zabrakło skutecznych prowokatorów z minionych lat. To chyba niektórych rozczarowało najbardziej. Bo było o czym mówić i co pokazywać, gdy w przeszłości z ulicy wyrywano kostkę brukową, atakując tłum, gdy spalono jeden z transmisyjnych wozów telewizyjnych, spalono budkę strażniczą przy ambasadzie rosyjskiej lub ściągnięto niemieckie bojówki Antify, dążąc ostatecznie do delegalizacji całego marszu. Wtedy komercyjne stacje ukazywały marsz, powtarzając zapętlone, granatowo-czerwone kadry gryzącego dymu, rzucanych rac i scen sugerujących niebezpieczeństwo oraz zagrożenie dla uczestników marszu.

W tym roku stacje komercyjne, można rzec, odpuściły sobie, wręcz ignorując wydarzenie. Zabrakło wielogodzinnej relacji na żywo. Nawet komentatorzy nie dopisali. Tylko „Gazeta Wyborcza" smętnie następnego dnia donosiła, że w Święto Niepodległości odbył się „Marsz bez rządu, ale z krzyżem". Bo politycy PiS mieli swoje uroczystości, a w Marszu Niepodległości poszli narodowcy i mieszkańcy Warszawy. Ale co by pisano, gdyby politycy PiS poszli razem z narodowcami? Jaki rozległby się krzyk zgorszenia! Tymczasem „Wyborcza" skleciła tylko swoją czołówkę z leadem o groźnej treści: „Faszyści nie chodzą już tylko w dresach. Coraz częściej są w sutannach, mundurach i garniturach". Nie wiem, co może znaczyć ta redakcyjna obserwacja, ale na wszelki wypadek chodzący w sutannach, mundurach i garniturach może lepiej niech omijają ul. Czerską.

OSTRZEŻENIA

Niepokój mogło wzbudzić zachowanie warszawskiego ratusza. Krótko przed marszem szefowa stołecznego biura zarządzania kryzysowego Ewa Gawor na antenie Radia Tok FM ostrzegała, że najmniejsze hasło, które nie spodoba się ratuszowi, może spowodować zablokowanie marszu. Gawor to urzędniczka z bogatą przeszłością w takich organizacjach jak ZMS, ZSMP, PZPR oraz doświadczeniem pracy w MSW kierowanym przez Czesława Kiszczaka, więc wiedziała, co mówi. Jednak nic się nie zdarzyło. Tylko przedstawiciel Akcji Demokracji na koniec wołał zrozpaczony: „Polko! Polaku! Wiemy, że chcesz dobrze, ale nie maszeruj z faszystami!". Ale Polacy także tego pana nie posłuchali. Marsz Niepodległości zgromadził ok. 150 tys. osób. Niemieccy dziennikarze później w swoich relacjach pisali: „Machali polskimi flagami, prawicowy ekstremizm".

Niepokój mogło wzbudzić zachowanie warszawskiego ratusza. Krótko przed marszem szefowa stołecznego biura zarządzania kryzysowego Ewa Gawor na antenie Radia Tok FM ostrzegała, że najmniejsze hasło, które nie spodoba się ratuszowi, może spowodować zablokowanie marszu

Nie obyło się jednak bez prowokacji. Na ostatnich piętrach wysokich kamienic znajdujących się na trasie wywieszone zostały prowokacyjne transparenty z hasłami i symbolami. Wokół palmy na rondzie de Gaulle'a nielegalnie zgromadzili się zwolennicy KOD. Od 2015 r. Marsz Niepodległości odbywa się w atmosferze godnej, a tegoroczny – jak zapewniał rzecznik Komendy Stołecznej Policji – był najbezpieczniejszy od dziesięciu lat, czyli od początku swojego istnienia. Co nie znaczy, że nie mogło być niebezpiecznie. Jeszcze przed rozpoczęciem zgromadzenia policja zatrzymała grupę kilkunastu osób, przy których znaleziono pałki teleskopowe, maczety, noże, toporki. Nielegalny „Tygodnik Mazowsze" w 1986 r. informował, że w Rzeszowie powstał Klub Ludzi Odważnych pragnących bezinteresownie pomagać MO i SB. Może zatrzymani to niedobitki po tamtym klubie?

Tak czy inaczej – do zobaczenia za rok, a prowokatorom już naprawdę dziękujemy!

POST SCRIPTUM

- W 2018 r. prof. Marek Chmaj, prawnik konstytucjonalista, udowodnił w swojej ekspertyzie, że system 1944–1989 nie był totalitaryzmem. A to znaczy, że zbliżamy się do kolejnego wirażu walki tzw. elit o prawdę o Polsce i Polakach.
- Na łamach dziennika „Polska" (wyd. z dn. 8–11.11.2019 r.) redaktor Piotr Zaremba w obszernym komentarzu „Zgłaszanie takich kandydatur jak Pawłowicz i Piotrowicz to psucie państwa" napisał m.in.: „Chodzi o to, że Krystyna Pawłowicz, kiedyś być może sprawna profesor prawa, w życiu publicznym ostatnich lat zaznaczyła się wyłącznie jako hejterka, systematycznie szczująca na przeciwników obecnego rządu. To nie jest dobra rekomendacja do funkcji wymagającej minimum rozwagi, a czasem umiejętności stanięcia ponad podziałami. Osoba ta ma najwyraźniej kłopoty z panowaniem nad sobą. Trybunał nie powinien być karczmą".

Jak to dobrze, moim zdaniem, że redaktor Zaremba, kiedyś być może sprawny redaktor, nie dzieli się już swoimi myślami z wydawnictwem Fratria. Teraz jego teksty podziwiają czytelnicy grupy wydawniczej Polska Press Grupa, wydawnictwa założonego w dalekiej Bawarii nad rzeką Pasawą. I nich tak zostanie!

eprasa.pl f85080dd20

Nie bądźmy buńczuczni wobec Rosji

Jako Konfederacja nie jesteśmy prorosyjscy, ale jaka jest korzyść Polski w pozycjonowaniu się jako najbardziej antyrosyjski kraj w Unii w każdej sprawie? – mówi Krzysztof Bosak, poseł Konfederacji, w rozmowie z Marcinem Fijołkiem

Pomysł na Konfederację w Sejmie to obejście PiS z prawej strony?

Krzysztof Bosak: Ludzie zgromadzeni w Konfederacji nie działają dlatego, że mają jakiś stosunek do PiS, ale dlatego, że wierzą w swoje przekonania. Jesteśmy ideowcami z nurtów konserwatywno-liberalnego, narodowego i tradycjonalistycznego.

Można dyskutować, ale mam na myśli poziom strategii, taktyki parlamentarnej. Ile tej przestrzeni na prawo od PiS istnieje?

Jest spore miejsce dla prawicy ideowej. Przez ostatnie 12 lat sił niepoprawnych politycznie nie było pod własnym szyldem w parlamencie, ostatnio zaś byli wybrani z list Kukiz'15. A przecież polskie społeczeństwo jest niepoprawne politycznie. Za to w Sejmie mieliśmy tylko spektrum różnych odcieni politycznej poprawności.



Co to znaczy?

Chodzi nam o zdecydowane odrzucenie całej politycznej agendy lewicy kulturowej, tzw. marksizmu kulturowego, czyli przekształcania kultury, obyczajów i prawa zgodnie z życzeniami lewicy.

To akademicki spór, który moglibyśmy prowadzić godzinami. Z całym szacunkiem, ale trochę za mało jak na wspólny mianownik w jednej partii.

To nie jest za mało. I to nie są czysto intelektualne koncepcje, ale kwestie postawy. Tacy politycy jak Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki czy Jarosław Gowin mają temperament, który uniemożliwia im sprzeciw wobec politycznej poprawności. W ich rozumieniu trzeba podkreślać tolerancję i dbać o opinię w inteligenckich kręgach.

Zarzuca pan Jarosławowi Kaczyńskiemu jakąś formę uległości?

Tak.

Gdzie?

W braku reakcji PiS na wiele spraw i w szkodliwych działaniach, jak np. zakaz polowań ojców z nastoletnimi synami. Brak wyśmiania absurdów politycznej poprawności, gdy jest na to szansa. Takiej reakcji nie było, a nasi posłowie w Parlamencie Europejskim kwestionowali tę poprawność.

Jednym się to podoba, innym nie, ale przecież tych wypowiedzi w europarlamencie było wiele – od ostatnich wystąpień Jakiego czy Kempy, przez wcześniejsze Legutki czy Krasnodębskiego. Także na poziomie imponderabiliów.

Widzę to inaczej – Ryszard Legutko jest chyba jedynym politykiem z eurodelegacji PiS, który miał lepsze wypowiedzi. Większość polityków PiS milczała.

A postawa rządu w sprawie obowiązkowych kwot relokacji imigrantów?

Rząd PiS początkowo zamierzał dotrzymać zobowiązań rządu PO. Zmiana została wymuszona przez Ruch Narodowy i manifestacje społeczne z 2014 i 2015 r.

Przecenia pan swoje środowisko. Ale nawet niezależnie od oceny, to PiS potrafiło się postawić establishmentowi z Brukseli.

Tak, ale równolegle do tamtej dyskusji przyjęto setki tysięcy imigrantów, w tym także z krajów muzułmańskich, już bez narzuconych pomysłów z Brukseli. Idźmy dalej – bierność PiS to także brak wsparcia dla inicjatyw wzmacniających prawnie rodzinę czy brak wypowiedzenia konwencji stambulskiej, brak sprzeciwu wobec międzynarodowych paktów migracyjnych, zanim tego nie nagłośniliśmy.

eprasa.pl f85080dd20



I nie widzi pan przestawienia wajchy po roku 2015?

PiS przestawiło wajchę na swoje zaplecze – to fakt. I fakt, że część tego zaplecza to kulturowi konserwatyści. Ale kultury nie zmienia się za pomocą zmiany kierunku strumienia pieniędzy publicznych. A przynajmniej nie tylko – vide ostatnia wypowiedź wicepremiera Gowina, który chce się kłaść Rejtanem w obronie zwolenników ideologii gender na uczelniach.

Powiedział to w wywiadzie dla „Sieci", tłumacząc, że chodzi mu o wolność prowadzenia badań na uniwersytetach.

Ale takie słowa nigdy nie padły w obronie środowisk tradycyjnych, bo pan Gowin jest liberałem. Chodzi o temperament i determinację do walki z lewicą. Tego brak.

To czego oczekiwałby pan od rządu PiS?

Na przykład zablokowania finansowania z zagranicy fundacji, które działają w Polsce. Mamy duży napływ pieniędzy z Zachodu i Wschodu – całkowicie legalny, a rząd tylko monitoruje te przepływy i nic z tego nie wynika.

Zakazałby pan takiego finansowania?

Tak. Sytuacja, w której ruch feministyczny czy środowiska LGBT są wspierane z zagranicy, wypacza sens demokracji i tworzy teatr w jej miejsce. De facto fundacje, o których mówimy, są czasem po prostu politycznymi organizacjami. A jakoś przy partiach zakazujemy finansowania z zagranicy, co – nawiasem mówiąc – utrudnia wsparcie, także dla nas, od Polaków za granicą. Większość polityków PiS nie potrafi się temu przeciwstawić, bo jest mentalnymi globalistami.

Tu wraca inny zarzut wobec Konfederacji: że traktujecie układanki międzynarodowe jak grę na komputerze: jeden, drugi sojusz, zwroty o 180 stopni, wszystko proste i łatwe. A praktyka jest o wiele bardziej skomplikowana, wymusza ustępstwa, kompromisy.

Problem z debatą o polityce zagranicznej jest taki, że ona się nie toczy – przez cztery lata w Sejmie nie odbyły się żadne dyskusje.

A coroczne exposé ministra spraw zagranicznych?

Nie towarzyszy temu niestety żadna realna debata – to raczej zbiór ogólników, po którym następuje wymiana krótkich przemówień.

A komisje do spraw zagranicznych, do spraw europejskich?

Komisja do spraw zagranicznych zajmuje się głównie zatwierdzaniem ambasadorów, a komisja do spraw europejskich zatwierdzaniem prawa UE.

Nie tylko, proszę zajrzeć, tam naprawdę wybrzmiewają postulaty, o których pan mówi.

Uważam, że ta dyskusja powinna się toczyć intensywniej. I zgadzam się, że dyplomacja to obszar wielopiętrowej gry – to jasne, ale polski rząd unika tej gry. Rząd PO obstawiał kartę Berlina, względnie osi francusko-niemiecko-rosyjskiej. A rząd PiS obstawia Waszyngton w pakiecie z Izraelem. My postulujemy politykę wielowektorową, tak jak Węgry, które gdy coś jest dla nich niekorzystne u jednego sojusznika, próbują zagrać z innymi partnerami. Węgry nie chciały się stać kolonią. A my stajemy się kolonią Waszyngtonu.

Kolonią? Nie za mocne słowa?

Nikt z nas nie jest przeciwnikiem współpracy z USA, ale trzeba nam

Fot. Andrzej Wiktor

eprasa.pl f85080dd20

pragmatyzmu, bo inaczej zaczyna się podległość. A tu mamy tylko zmianę wektora: Waszyngton zamiast Berlina i tyle.

A Trójmorze, Wyszehrad, współpraca w UE choćby z Niemcami?

Od Niemiec to jesteśmy uzależnieni gospodarczo. Tak czy inaczej wobec silnych jesteśmy przesadnie ustępliwi, lizusowscy, a wobec innych buńczuczni: jak wobec Francji czy Rosji.

Z Francją ma pan na myśli zerwany kontrakt na caracale?

Kontrakt można zerwać, mam na myśli wypowiedź ministra Kownackiego, która była polityczną prowokacją wobec Paryża.

To faktycznie był głupi żart, ale ciekawi mnie bardziej ta postawa wobec Rosji.

Jako Konfederacja nie jesteśmy prorosyjscy, ale jaka jest korzyść Polski w pozycjonowaniu się jako najbardziej antyrosyjski kraj w Unii Europejskiej w każdej sprawie?

Bo to nasze główne zagrożenie, jeśli chodzi o bezpieczeństwo? Bo musimy zarażać tym przeświadczeniem naszych partnerów z Unii?

Nie ma przesłanek, by sądzić, że publiczne głoszenie buńczucznych wobec Rosji tez zwiększa nasze bezpieczeństwo.

Niech się pan tylko później nie dziwi, że mówią o was „rusofile". Tym bardziej że raz po raz pojawiają się wypowiedzi Janusza Korwin-Mikkego.

Z prorosyjskimi wypowiedziami się nie zgadzam. Nasza współpraca trwa od około roku i pracujemy nad tym, by w tych sprawach prezentować odpowiedzialny i spójny przekaz, zgodny z polską racją stanu.

Pięknie brzmi. Ale potem wychodzi Korwin cały na biało...

Budując szeroką, wielonurtową formację, trzeba trafiać do różnych grup wyborców. W mojej ocenie mniejszość wyborców w Polsce oczekuje umiarkowanego języka. Przypadek PiS pokazuje, że można wygrać wybory, mając jednocześnie na pokładzie mówiących i ostro, i łagodnie.

Wróćmy do polityki zagranicznej. Tezy o podległości nie są przesadą?

My traktujemy niepodległość na serio: a dziś jesteśmy podlegli trybunałom międzynarodowym, więc to nie jest niepodległość. To częściowa podległość polityczna. Z każdym kolejnym wyrokiem zakres tej suwerenności jest pomniejszany. Sądownictwo czy migracje jeszcze niedawno wydawały się obszarami, w których kraje mają wolną rękę. Dziś widzimy, że tak nie jest.

Tacy politycy jak Kaczyński, Morawiecki czy Gowin mają temperament, który uniemożliwia im sprzeciw wobec politycznej poprawności

Wraca pan do Sejmu po 12 latach, trochę na stare śmieci.

Wracam do służby publicznej na forum parlamentarnym. To chyba bardziej adekwatne określenie [śmiech].

I też się to skończy udziałem w „Tańcu z gwiazdami"?

Nie, taka okazja i eksperyment z rozrywkowym formatem w telewizji to sprawa, którą robi się raz. To pasuje do młodego wieku. Dziś myślę o innych sprawach niż próba udowodnienia, że odnajdę się w luźniejszej formule.

Przywołuję tamten przykład, bo pojawiają się tezy, że macie jako Konfederacja deal z ludźmi III RP.

Żaden deal nie był mi proponowany. TVN, zapraszając mnie do programu, dał mi wtedy prezent, ale nikt nigdy nie żądał ode mnie czegokolwiek w zamian.

Może po prostu jesteście rozgrywani.

Nas się tak prosto nie da rozegrać.

W kampanii wyborczej, gdy trzeba było uderzyć w PiS, to nawet wy staliście się akceptowalni dla ludzi III RP.

Mylna diagnoza. Nie gościliśmy ani razu w najbardziej oglądanych programach TVN do samego końca kampanii.

A laurka w „Faktach"?

Mówię o programach publicystycznych.

Trudno tak nie odbierać „Faktów".

Byliśmy w „Faktach" raz. Wcześniej w pierwszej instancji wygraliśmy proces z „Faktami" o pomijanie nas. A szersze dane pokazują, że w kampanii byliśmy pomijani zupełnie. Statystyki jasno wskazują, że i w TVP, i w TVN byliśmy zupełnie nieobecni w najpopularniejszych programach, niezapraszani. W Polsacie w zasadzie też.

Rozumiem. Ale skądś się wzięły te zapowiedzi ludzi PO o koalicji z Konfederacją.

To bzdury, które były natychmiast dementowane.

Wiadomo, bo była chryja. Ale to jest pewien kurs ludzi III RP: nawet z Braunem i Bosakiem w koalicji, byle obalić PiS.

U wielu ludzi establishmentu jest niezwykle silny resentyment antypisowski. Oni potrafią przyjmować wobec nas dwie postawy. Pierwsza to: nie jesteście tacy źli, bo rozsądnie krytykujecie PiS, ale jest i drugia: duża agresja, przewyższająca tę wobec PiS, z obawą, że będziemy gorsi niż obóz Kaczyńskiego. Prosiłbym, by nie upraszczać tego podejścia elit III RP do nas. Nasza sytuacja nie jest prosta: nie mamy żadnego miejsca w naszym państwie, gdzie jesteśmy poklepywani po plecach. Mamy wiele trudności. Nie żyjemy w kraju w pełni wolnym, a na pewno nie faworyzującym takie ruchy jak nasz.

Kraj nie jest wolny, niepodległości nie ma, to jak pan śpiewa znane słowa w „Boże coś, Polskę"? Ojczyznę wolną „pobłogosław" czy „racz nam zwrócić"?

To zależy od dnia, miesiąca i mojego nastroju [śmiech].

eprasa.pl f85080dd20

Iza Galicka – Polka pełna ufności

W listopadzie pożegnaliśmy na Powązkach Wojskowych śp. dr Izę Galicką, historyka sztuki, odkrywczynię (wraz ze śp. Hanną Sygietyńską) obrazu El Greca „Ekstaza św. Franciszka", jedynego w polskich zbiorach, wystawianego od lat w Muzeum Diecezjalnym w Siedlcach. Poznaliśmy Izę tuż po tragedii smoleńskiej i bardzo szybko włączyliśmy ją do grona najbliższych nam osób, z którymi w następnym roku rozpoczęliśmy wydawanie naszego pierwszego pisma dla miłośników Polski, jej historii i kultury „Na Poważnie" (tytuł poprzedzający „wSieci Historii"). Iza zamieściła tam swoje artykuły przypominające o historii odkrycia obrazu El Greca. Opisała, jak w latach 60. XX w. dwie młode i odważne badaczki, wbrew wielkim tamtego świata historycznego, postawiły właściwą diagnozę odkrytemu obrazowi. Pisała także o swoim wybitnym ojcu, dr. Karolu Mikulskim, ordynatorze szpitala psychiatrycznego w Gostyninie, który podjął dramatyczną decyzję o targnięciu się na swoje życie, gdy Niemcy w marcu 1940 r. zażądali, by przekazał listę niepełnosprawnych pacjentów niemających prawa dalej żyć. Odmówił. Osierocił kilkuletnią córkę!

Od dzieciństwa Izę spotykało wiele niesprawiedliwości i dramatów. Miała ona jednak niezwykły dar czy przypadłość – ufała napotkanym ludziom. Tę Jej cechę odkryłem w ciągu kilku kolejnych lat naszej wspólnej drogi. Najpierw w ramach Stowarzyszenia Polska Jest Najważniejsza, którego jestem prezesem, a Iza była członkiem zarządu. Brała czynny udział w comiesięcznych spotkaniach SPJN w zaprzyjaźnionym mieszkaniu państwa Szymborskich. To tam powstawały wypracowane także przez nią nasze główne projekty, jak choćby coroczna warta honorowa 15 sierpnia przed Pałacem Prezydenckim, organizacja konkursów historycznych dla młodzieży, comiesięczne spotkania-wykłady w dolnym kościele Wszystkich Świętych, efektem których stała się publikacja „My i Państwo". I oczywiście nasza największa inicjatywa – coroczne spotkanie 1 marca przy Grobie Nieznanego Żołnierza poświęcone żołnierzom wyklętym, któremu towarzyszyło kilkadziesiąt innych spotkań przy pomnikach i tablicach honorujących tę niezwykłą formację naszych bohaterów. Iza była z nami obecna i czynna, a przecież to nie była jej jedyna aktywność. A miała wówczas ponad 80 lat! W ramach działań zaprzyjaźnionej z SPJN Fundacji im. Jacka Maziarskiego była jedną z głównych organizatorek spotkań skolimowskich, z której to kuźni młodych talentów wyrasta na naszych oczach kolejne pokolenie niepodległościowców mających już dziś wpływ na budowanie Polski Jej marzeń.

Ufna wobec ludzi, uśmiechnięta i wspierająca każdego, kogo chciała tym zaufaniem obdarzyć. Niby stojąca w drugim rzędzie, a de facto w pierwszym szeregu. Uśmiech i wiara w ludzi na pewno zaprowadziły ją do Zbawiciela, któremu dawno temu zaufała, dlatego ufała także nam. ■

Jan Żaryn



Autopromocja

wSIECI HISTORII Nowe wydanie w kioskach!

www.wSieciHistorii.pl >>





LUDZIE CIEKAWSI OD ZABYTKÓW

Wspomnienie o Izie Galickiej



KATARZYNA J. KOWALSKA

KIEDY 1 LISTOPADA DOWIEDZIELIŚMY SIĘ, ŻE ODESZŁA NASZA UKOCHANA IZA GALICKA, WIELU Z NAS W PIERWSZYM ODRUCHU ZAPEWNE POMYŚLAŁO „TO NIE JEST PRZYPADEK”...

Zmarła w Dniu Wszystkich Świętych, może trafiła do grona tych, których twarze tak często oglądała na obrazach, których wizerunki tak często ratowała przed zniszczeniem. Ona sama powtarzała jak mantrę „Nie ma przypadków, wszystko jest znakiem”. Miała 88 lat.

Po pierwsze, przyjaźń

– Co ci sprawiło największą satysfakcję w życiu? – zapytałam Izę Galicką podczas, jak się okazało, ostatniego wywiadu, jakiego udzieliła.

Nasze spotkania były nieustającymi rozmowami – wywiadami, ponieważ od ponad roku pracowałyśmy nad biografią Izy oraz filmem dokumentalnym ukazującym historię odkrycia obrazu El Greca. Zgadzała się wszystko rejestrować, przede wszystkim dyktafonem, wiedząc, że to najlepszy notes – nie trzeba odrywać wzroku od rozmówcy. Spisać to, co istotne, można już po spotkaniu, resztę wyrzucając do kosza. Ta rozmowa miała dotyczyć „Ekstazy św. Franciszka”, szybko jednak zmienił się jej temat.

– Ale mi zadajesz trudne pytania... – odpowiedziała po zastanowieniu. – Życie... i ludzie, których bardzo, bardzo lubię i oni mnie ciekawią więcej nawet niż zabytki.

Ludzie, przyjaciele otaczali Izę do samego końca. Im była słabsza, tym byli bliżej i bardziej oddani. Ona sama nie dopuszczała do siebie myśli, że ciało przez lata działające bez szwanku teraz zaczyna ją ograniczać. Umysł wciąż był głodny nowych wrażeń. Chodziła do kina, na wystawy, bywała na koncertach, bankietach. Powtarzała: „Ja się świetnie czuję, mnie nic nie boli”. Jeździła w Polskę – do Kalisza, Krakowa, Sierakówka, Gostynina... Była ciągle w ruchu. Ale przyjaciele już

FOT. WACŁAW KLEMP

eprasa.pl f85080dd20

widzieli to, co starała się ukryć za promiennym ciepłym uśmiechem.

Kiedy 11 października br. na wniosek wicepremiera i ministra kultury prof. Piotra Glińskiego Iza Galicka została uhonorowana Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis, uroczystość przyznania odznaczenia odbyła się u niej w domu, żeby nie nadwerężać jej zdrowia. Iza tego dnia spodziewała się gościa, dlatego kiedy rozległo się pukanie do drzwi, nie była zaskoczona. Oniemiała jednak, kiedy zobaczyła, kto za nimi stoi: grupa może 20 przyjaciół na czele z wiceminister kultury prof. Magdaleną Gawin trzymającą w rękach ciemnozielone pudełko.

– To jest najszczęśliwszy moment mojego życia, wśród przyjaciół, najbliższych... – mówiła tuż po dekoracji medalem wzruszona Iza Galicka. – To wszystko mi się śni. To niemożliwe, że to jest prawda.

Niespełna dwa tygodnie później została odznaczona przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę Medalem Stulecia Odzyskanej Niepodległości. Tym razem przyjaciele czekali na nią na sali w Pałacu Prezydenckim.

– Ja na to wszystko nie zasłużyłam – powtarzała w zaciszu domowym. Zawsze była zbyt skromna, by głośno mówić o swoich sukcesach, a było ich naprawdę sporo.



Iza Galicka i odnaleziony przez nią obraz El Greca „Ekstaza św. Franciszka"

FOT. KATARZYNA J. KOWALSKA

PRZEZ PRAWIE 30 LAT IZA GALICKA Z HANNĄ SYGIETYŃSKĄ-KWOCZYŃSKĄ OPRACOWYWAŁY ZASOBY DWORKÓW, PAŁACYKÓW, KOŚCIOŁÓW, KAPLICZEK, ŻEBY OPISAĆ W „KATALOGU" WSZYSTKO TO, CO JEST SKARBEM POLSKIM

Indiana Jones w spódnicy

Kiedy pierwszy raz przekroczyłam próg jej małego mieszkania na Sadach Żoliborskich w Warszawie, nie wiedziałam, że oto przenoszę się do magicznego świata. Taki bowiem tworzyły jej opowieści o przemierzaniu powojennej Polski na rowerze, poszukiwaniu cennych zabytków w małych wiejskich kościołach, wyciąganiu cennych obrazów, jasełkowych lalek, gotyckich rzeźb z wilgotnych strychów lub niedostępnych dla księdza czy kościelnego dzwonnic. Dla Izy wspinanie się po belkach na wysoką wieżę lub wchodzenie po chybotliwej spróchniałej drabinie na poddasze nie stanowiło większego problemu, przez lata trenowała bowiem w polskich Tatrach wspinaczkę górską i chętnie wykorzystywała swoje umiejętności w pracy zawodowej.

Stałą pracę w redakcji „Katalogu Zabytków Sztuki w Polsce" w Instytucie Sztuki Polskiej Akademii Nauk podjęła w 1962 r. Jej kompanką podczas objazdów inwentaryzatorskich po dawnym województwie warszawskim była Hanna Sygietyńska-Kwoczyńska. Razem dokonały wielu odkryć, w tym tego najsłynniejszego – obrazu El Greca na plebanii w Kosowie Lackim na Podlasiu.

– Uwielbiałyśmy ten zawód – mówiła wielokrotnie. – Zawsze sobie powtarzałyśmy, że gdybyśmy miały żyć jeszcze raz, to znowu wybrałybyśmy takie zajęcie, bo to była nieustanna przygoda.

Przez prawie 30 lat opracowywały zasoby dworków, pałacyków, kościołów, zaglądały do przydrożnych kapliczek, żeby opisać w „Katalogu" wszystko to, co nie należy do żadnego muzeum ani też nie stanowi własności prywatnej, ale jest skarbem polskim, polskim dobrem. Trafiły i na obraz Francesco Bassano, i na płaskorzeźbę Baccia Bandinellego. Dzięki ich uporowi ocalał obraz Matki Boskiej z Błędowa. W badanych przez nie obiektach odbijała się polska historia.

Rodzinne dziedzictwo

Iza Galicka badała nie tylko historię polskich zabytków, ale też chciała ze wszystkimi szczegółami poznać dzieje własnej rodziny. Być może tę potrzebę zaszczepiła w niej Maria Mikulska, ukochana babcia od strony taty Karola Mikulskiego. Busia, jak mówiła do niej Iza, pochodziła z Kresów Wschodnich, wychowała się w położonym nieopodal Kijowa majątku Misajłówka. W swoich pamiętnikach opisywała polski Kijów z przełomu XIX i XX w. Kiedy w czasie II wojny światowej mieszkała w Warszawie, fragmenty pamiętników przepisywała w listach do Izy, obawiając się, że jej oryginalne zapiski mogą nie przetrwać wojny. Spłonęły w powstaniu warszawskim. Listy do Izy się zachowały. Iza często do nich wracała, czytając na głos, uśmiechała się do wspomnień. Jako mała dziewczynka lubiła słuchać opowieści mamy, Idalii Jadwigi »

eprasa.pl f85080dd20



Kiedy pierwszy raz przekroczyłam próg jej małego mieszkania na Sadach Żoliborskich w Warszawie, nie wiedziałam, że oto przenoszę się do magicznego świata. Na zdjęciu Iza Galicka z autorką

FOT. WACŁAW KLEMP

» z rodu Gieysztorów, o jej działalności w Polskiej Organizacji Wojskowej.

– Mama była gorącą zwolenniczką Józefa Piłsudskiego, bardzo przeżyła jego śmierć – wspominała Iza Galicka.

Czteroletnia Iza razem z rodzicami uczestniczyła w pogrzebie Marszałka. W tym czasie nauczyła się czytać. Książką, którą najlepiej zapamiętała z tego okresu, był „Świt wielkiego dnia" Zofii Zawiszanki, opowiadającą o dzieciństwie Ziuka, czyli marszałka Piłsudskiego.

Wojna zabrała jej ojca, Karola Mikulskiego, który jako psychiatra, wicedyrektor i ordynator w Szpitalu dla Psychicznie i Nerwowo Chorych w Gostyninie odmówił gestapowcom sporządzenia listy pacjentów nierokujących wyzdrowienia. To byłby dla nich wyrok, a on nie potrafił się na to zgodzić. Popełnił samobójstwo. Wojna też zabrała Leona Gieysztora, jej ojca chrzestnego, który zginął w Auschwitz. Jej ciotki i wujowie walczyli i odnosili rany w powstaniu warszawskim. Komuniści też nie oszczędzili jej bliskich – Mieczysław Oborski, mąż ukochanej cioci Janeczki, siostry mamy Izy, został stracony w więzieniu na Rakowieckiej. Ciała do dziś nie odnaleziono.

Dzienniki życia

Historia Polski odbijała się w dziejach rodziny Izy Galickiej i losach jej samej. A Iza w zakamarkach swojego mieszkania przechowywała wszystko, co mogło mieć wartość dokumentalną i sentymentalną. Listy rodzinne, zdjęcia z początku XX w., zapiski ojca Karola Mikulskiego, który pieczołowicie odnotowywał pierwszy uśmiech córki, pierwszy krok, pierwsze wypowiedziane słowa. W sekretarzyku, odziedziczonym po dziadku Antonim Feliksie Mikulskim, w małych szufladkach ukryte są i ordery otrzymane z rąk najwyższych władz państwowych, i kartki pocztowe sprzed wojny, i półmetrowy warkocz obcięty starszej córce – Kasi, kiedy ta miała 10 lat. W innej komodzie grube koperty z fotografiami, na nich pradziadkowie, rodzice, przyjaciele, córeczki. Jest zdjęcie Karola Wojtyły z lat 40., z czasów kiedy się poznali. Jest i zdjęcie prymasa Stefana Wyszyńskiego, do którego Iza razem z Hanią Sygietyńską chodziła przynajmniej raz do roku, żeby opowiedzieć o terenowych odkryciach. Iza na nartach, w kasku rajdowca, podczas wspinaczki, w pracy...

W skrzyniach, pudełkach, torbach Iza chowała notesy. Dziesiątki gęsto zapisanych zeszytów. Notowała niemal codziennie od 1944 r. Chciała zostawić ślad, nie zapomnieć żadnej napotkanej osoby.

Miała nieprawdopodobną pamięć. Nie myliła dat, nazwisk. Potrafiła w opowieści przeskakiwać między wydarzeniami odległymi od siebie pół wieku, znajdując jakiś łącznik między nimi. W ostatnim czasie coraz częściej powtarzała: – Musimy się spieszyć, bo czuję, że mamy coraz mniej czasu. Przyjedź, mam ci jeszcze tyle do opowiedzenia...

Katarzyna J. Kowalska *– autorka książki „Polski El Greco", wieloletnia reporterka TVP, autorka blisko 20 reportaży. Obecnie przygotowuje biografię Izabelli Galickiej oraz film dokumentalny o odkryciu obrazu El Greca. Oba projekty powstają na zlecenie Instytutu Pileckiego*

eprasa.pl f85080dd20

Oskarżona ARMIA KRAJOWA

TRUDNO DZIŚ WALCZYĆ O PRAWDĘ HISTORYCZNĄ, GDY WYZNACZNIKAMI PROWADZONYCH DYSKUSJI NIE SĄ RZETELNE PRACE ANI INSTYTUCJE NAUKOWE, ALE PRZEDE WSZYSTKIM WYDAWNICTWA, PORTALE INTERNETOWE I MEDIA SPOŁECZNOŚCIOWE

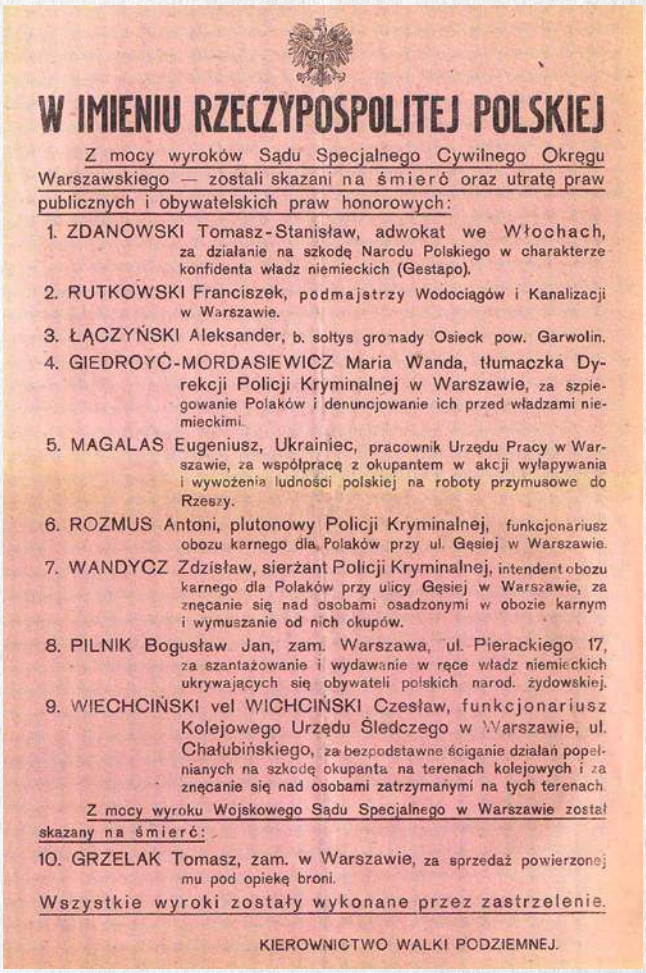


MARIUSZ OLCZAK

Ostatnio powstaje wiele książek rewizjonistycznie nastawionych do Armii Krajowej autorów, którzy na różne sposoby, różnymi metodami i za wszelką cenę chcą wykazać, że Polskie Państwo Podziemne i sama Armia Krajowa działały źle, niepoprawnie, niewystarczająco, a jej dowódcy podejmowali nieprzemyślane decyzje. Oczywiście głoszą to ex cathedra, znając zarówno przyczyny, jak i skutki opisywanych wydarzeń oraz mając dostęp do bogatej literatury przedmiotu. Najczęściej również czynią to na łamach różnych periodyków oraz w książkach o popularnonaukowym charakterze. Co ciekawe, autorzy ci chwytają się ogólnie znanych kalek, często eksploatowanych już w PRL lub też wręcz wymyślanych tematów, które szeroko omawiają na nowo w nowej rzeczywistości, wobec nowych odbiorców wsparci medialnie jak chyba nigdy przedtem. I w wielu przypadkach właśnie chodzi o zrobienie jak największego szumu, dotarcie do „targetu", przypodobanie się środowisku i zapotrzebowaniom itd. Nie chodzi więc tutaj o to, jak było naprawdę, ale o lepsze wyniki marketingowe, wyniki sprzedaży itd.

Likwidatorzy. Kreacja faktografii czy uniwersalizacja szczegółu

To oczywiste, że w wolnym świecie i demokracjach istnieją spory, ale w tym przypadku sztucznie wywoływane dyskusje oskarżycielskie o Armii Krajowej nie zostały poparte rzetelnymi badaniami rzetelnych autorów w rzetelnych publikacjach. Nie dzieje się więc tak, że po ukazaniu się naukowej pracy na dany temat pojawiają się publicystyczne i popularnonaukowe publikacje. Ten pierwszy poziom okazuje się zupełnie niepotrzebny. »



W IMIENIU RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ

Z mocy wyroków Sądu Specjalnego Cywilnego Okręgu Warszawskiego — zostali skazani na śmierć oraz utratę praw publicznych i obywatelskich praw honorowych:

1. ZDANOWSKI Tomasz-Stanisław, adwokat we Włochach, za działanie na szkodę Narodu Polskiego w charakterze konfidenta władz niemieckich (Gestapo).
2. RUTKOWSKI Franciszek, podmajstrzy Wodociągów i Kanalizacji w Warszawie.
3. ŁĄCZYŃSKI Aleksander, b. sołtys gromady Osieck pow. Garwolin.
4. GIEDROYĆ-MORDASIEWICZ Maria Wanda, tłumaczka Dyrekcji Policji Kryminalnej w Warszawie, za szpiegowanie Polaków i denuncjowanie ich przed władzami niemieckimi.
5. MAGALAS Eugeniusz, Ukrainiec, pracownik Urzędu Pracy w Warszawie, za współpracę z okupantem w akcji wyłapywania i wywożenia ludności polskiej na roboty przymusowe do Rzeszy.
6. ROZMUS Antoni, plutonowy Policji Kryminalnej, funkcjonariusz obozu karnego dla Polaków przy ul. Gęsiej w Warszawie.
7. WANDYCZ Zdzisław, sierżant Policji Kryminalnej, intendent obozu karnego dla Polaków przy ulicy Gęsiej w Warszawie, za znęcanie się nad osobami osadzonymi w obozie karnym i wymuszanie od nich okupów.
8. PILNIK Bogusław Jan, zam. Warszawa, ul. Pierackiego 17, za szantażowanie i wydawanie w ręce władz niemieckich ukrywających się obywateli polskich narod. żydowskiej.
9. WIECHCIŃSKI vel WICHCIŃSKI Czesław, funkcjonariusz Kolejowego Urzędu Śledczego w Warszawie, ul. Chałubińskiego, za bezpodstawne ściganie działań popełnianych na szkodę okupanta na terenach kolejowych i za znęcanie się nad osobami zatrzymanymi na tych terenach.

Z mocy wyroku Wojskowego Sądu Specjalnego w Warszawie został skazany na śmierć:

10. GRZELAK Tomasz, zam. w Warszawie, za sprzedaż powierzonej mu pod opiekę broni.

Wszystkie wyroki zostały wykonane przez zastrzelenie.

KIEROWNICTWO WALKI PODZIEMNEJ.

Zwalczanie szmalcownictwa wpisane było w szerszą walkę struktur AK ze zdrajcami, konfidentami oraz funkcjonariuszami niemieckiej służby bezpieczeństwa

eprasa.pl f85080dd20



Autorzy książek atakujących AK wzajemnie się na siebie powołują, twierdząc, że wcześniej ustalili już „fakty", o których piszą. Często też wykorzystują modną ostatnio „historię mówioną"

I co ciekawe, autorzy książek atakujących AK często wzajemnie się na siebie powołują, twierdząc, że wcześniej ustalili już „fakty", o których piszą. Wykorzystują też modną ostatnio „historię mówioną". Widać to było na przykładzie choćby książek Emila Marata i Michała Wójcika. Wydane w 2016 r. przez Znak Nowa Litera „Ptaki drapieżne" to historia likwidatora z kontrwywiadu AK Lucjana „Sępa" Wiśniewskiego, z którym przeprowadzili wywiad i którego wykorzystali do swojej rozprawy z AK. Autorzy pytają szeregowego żołnierza 993/W i „Pięści" o skomplikowane wydarzenia na poziomie Komendy Głównej i kreują w przedstawionych w trybie oznajmującym pytaniach obciążające AK wydarzenia. Jednym z motywów, który się pojawiał w tej publikacji, jak i w późniejszych związanych z nią artykułach prasowych byli nieletni likwidatorzy oraz bandytyzm żołnierzy AK. Obaj autorzy przywołali „fakty" z kontrowersyjnej i podważanej pod względem wiarygodności książki „Egzekutor" Stefana Dąmbskiego z 2010 r., w której młodociany żołnierz AK wspomina, jak to z lubością zabijał swoje ofiary. Zdanie to zresztą pojawia się w większości ostatnio powstałych artykułów o likwidatorach. Na tym przykładzie widzimy dokładnie, jak łatwo wyrwane z kontekstu zdanie kontrowersyjnej postaci staje się reprezentatywne dla działalności konspiracyjnej wielu setek dorosłych, a wykonujących z obowiązku wyroki żołnierzy AK. Autorzy nie poinformowali Wiśniewskiego wcześniej o swoich prawdziwych zamiarach, o których szerzej opowiedzieli w jednym z wywiadów radiowych. W nim z rozbrajającą szczerością przyznali, że: „narracja o AK jest spętana pewnymi paradygmatami; najważniejsze dla nas jest wychodzić poza paradygmaty, które są ex cathedra narzucane; my chcemy zdążyć jeszcze, póki ci ludzie żyją, porozmawiać z nimi, ale również wyrwać ich z tych paradygmatów". I w tym samym wywiadzie: „wpisywało się też to w tę ideę, która chyba jednak gdzieś nam tam obu towarzyszy, a czasami być może przybiera postać, ociera się gdzieś o obsesje, aby tak naprawdę tych ludzi trochę ściągać, no nie ściągać z pomnika, ale wyciągać ze słoja z formaliną mitu, póki jeszcze można". Nic dodać. Nieco

eprasa.pl f85080dd20

wcześniej w 2014 r. Marat i Wójcik w okrągłą rocznicę powstania warszawskiego opublikowali wywiad rzekę ze Stanisławem Likiernikiem ps. Machabeusz pod tytułem „Made in Poland", która otrzymała nawet nagrodę tygodnika „Polityka". Tutaj celem było powstanie warszawskie, o którym z ust Likiernika autorzy usłyszeli wiele krytycznych wypowiedzi szczególnie pod adresem dowództwa. Później były wywiady rzeki z ostatnim cichociemnym Aleksandrem Tarnawskim „Upłazem" i Stanisławem Aronsonem „Ryśkiem" z Kedywu. Wydawca – Znak Horyzonty – opublikował w 2018 r. książkę Wojciecha Lady pod jakże przyciągającym tytułem „Bandyci z Armii Krajowej", przywołującą i wykorzystującą poprzednio wymienione publikacje, ale powtarzającą też już przedstawiane w PRL i później oskarżenia wobec AK, które mało zorientowany autor dziennikarz rozkolportował dalej. Czasami wydawcom lub autorom łatwo przychodzi nadawanie za poetami tytułów jak ten z książki z 2016 r. o życiu codziennym w powstańczej Warszawie „Sten pod pachą, bimber w szklance, dziewczyna i Warszawa". Nie sądzę, żeby autorka Agnieszka Cubała, pamiętała gorącą dyskusję po książce wspomnieniowej „Od okopów do barykad" Zygmunta Ziółka z 1973 r., w której zapisano: „Nic więc dziwnego, że wśród tej »złotej młodzieży« akowskiego podziemia zdobyła prawo obywatelstwa dewiza: bimber, dziewczyna i sten". Żołnierze „Zoski" potraktowali wówczas to jako obrazę i zażądali usunięcia z publikacji.

Obłędy Zychowicza

Podobnie prowokacyjnie potraktował tytuł swojej książki o powstaniu warszawskim „Obłęd 44" Piotr Zychowicz. Obraźliwy psychologizujący tytuł miał wywołać ferment i zwrócić uwagę na dzieło na rynku księgarskim. Nie chodziło przecież o to, jak było naprawdę. Do tego były potrzebne wieloletnie badania i zapoznanie się z olbrzymią literaturą oraz źródłami w kraju i za granicą. Łatwiej było zrobić skandal na koszt Armii Krajowej i powstańczych dowódców. Piotr Zychowicz jest zbyt inteligentnym autorem, żeby tego nie rozumieć. Niejako potwierdzeniem moich słów niech będzie kolejny temat, do którego Zychowicz zabrał się w podobny sposób, wydając w 2018 r. książkę „Skazy na pancerzach" poświęconą żołnierzom wyklętym. Liczba rażących błędów i intelektualne zmasakrowanie autora na spotkaniu autorskim przez bądź co bądź guru w tym temacie Leszka Żebrowskiego nie zraziło Piotra Zychowicza. W ostatniej książce, wydanej kilkanaście miesięcy po poprzedniej, oskarża tym razem dowództwo Armii Krajowej, czyniąc je odpowiedzialnym za rzeź na Wołyniu. Podtytuł „Wołyń zdradzony, czyli jak dowództwo AK porzuciło Polaków na pastwę UPA" jednoznacznie wskazuje intencje autora. Piotr Zychowicz zarzuca Armii Krajowej m.in. to, że będąc „wielką wojskową organizacją dowodzoną przez zawodowych oficerów, generałów, pułkowników i majorów, pompowaną przez brytyjskiego sojusznika dolarami, sprzętem i bronią, w lipcu 1943 roku nie podjęła żadnych poważniejszych działań wymierzonych w morderców z UPA". Podobnie jak w przypadku powstania warszawskiego, nie wykonując większych prac badawczych stawia mocne tezy, robiąc przy tym objazdowy show po Polsce i spędzając chyba więcej czasu na tłumaczeniu swoich tez niż na badaniach w bibliotekach i archiwach. I nie chodzi mi w tym miejscu o to, żeby przed działaniami, planami i akcjami AK autorzy mieli bezkrytycznie padać na kolana, ale o odpowiedzialność i uczciwość wobec podejmowanych tematów, jak i czytelników, nie mówiąc o opisywanych bohaterach. Książki Lady, Marata, Wójcika, Zychowicza i padające w nich wnioski, syntezy, pytania oraz odpowiedzi dotyczą realnych tragedii ludzkich z okresu wojny, dotyczą śmierci prawdziwych ludzi, dramatów prawdziwych żołnierzy. W tym kontekście nie do zaakceptowania dla mnie jest dziecięca wręcz lekkość w żonglowaniu faktami. Na dodatek nie współgra to z filozoficznym, mentorskim tonem chcących wyznaczać standardy autorów. I nie chodzi tu o unikanie tematów kontrowersyjnych czy też niewygodnych dla AK, ale o bycie precyzyjnym w istotnych dla polskiej historii sprawach, w których przez wiele lat PRL zakłamywano podstawowe fakty, krzywdząc konkretne osoby, całe oddziały i formacje. W wielu punktach dyskusja o Armii Krajowej i Polskim Państwie Podziemnym wróciła niestety do poziomu merytorycznego z lat 70. i 80., kiedy swoje książki wydawali tacy autorzy jak tow. Ryszard Nazarewicz. Wtedy punktem odniesienia była komunistyczna partia, teraz komercyjny sukces. Ofiara jednak jest cały czas ta sama – Armia Krajowa i jej żołnierze, a fakty traktuje się podobnie. I żeby nie było wątpliwości. Pozostało jeszcze wiele mniejszych i większych historycznych wstydliwych „zakrętów" AK do opisania i wyjaśnienia. Tylko lepiej je dogłębnie wyjaśniać w wąskim „zakonie" specjalistów, niż wrzucać bez głębszej refleksji niezorientowanym czytelnikom, wmawiając im jeszcze, że odkrywa się przed nimi białe plamy lub podaje, „jak to było naprawdę". Bardzo wygodna jest zimnokrwistość zza biurka, kiedy zna się skutki opisywanych wydarzeń, i znajdowanie lub nie lepszych rozwiązań po kilkudziesięciu latach.

POZOSTAŁO JESZCZE DO OPISANIA I WYJAŚNIENIA WIELE „ZAKRĘTÓW" ARMII KRAJOWEJ. TYLKO LEPIEJ JE NAJPIERW RZETELNIE PRZEANALIZOWAĆ W WĄSKIM „ZAKONIE" SPECJALISTÓW, NIŻ WRZUCAĆ BEZ GŁĘBSZEJ REFLEKSJI NIEZORIENTOWANYM CZYTELNIKOM

Mało to znaczy dużo

W podobnym, wymagającym od AK, tonie co Zychowicz pisze Jan Grabowski, który ostatnio przywołał na przykład małą liczbę wyroków wykonanych na szmalcownikach przez Armię Krajową, twierdząc, że były one „nieliczne". Mniejsza już o to, że nie jest on badaczem znanym z dogłębnej analizy źródeł i dokumentów z różnych archiwów, ale rzecz w tym, że stawia jednoznaczne, skrajne diagnozy bez dogłębnej próby ustalenia rzeczywistego stanu rzeczy. A nie jest zagubionym dziennikarzem, lecz zawodowym badaczem. »

eprasa.pl f85080dd20



BIULETYN INFORMACYJNY

Rok V Warszawa, 2 września 1943 Nr. 35 (190)

Kraj

OBWIESZCZENIE. Na mocy wyroku Sądu Specjalnego Okręgu krakowskiego zostali **skazani na śmierć:**

1) **Jan Grabiec,** właściciel zakładu krawieckiego w Krakowie, przy ul. Św. Jana 3, za to że: 1) w r. 1943 celowo i rozmyślnie spowodował niebezpieczeństwo aresztowania wielu członków organizacji niepodległościowej, 2) groził doniesieniem do Gestapo, 3) szantażował mieszkańców wsi groźbą doniesienia o ukrywaniu żydów.

Wyrok wykonany został przez zastrzelenie d. 17 lipca 1943.

2) **Wojciech Krzeszowski,** starszy posterunkowy P.P., zam. w Grzybowie, powiat Nowy Sącz, za to że: oskarżył dwie osoby o posiadanie broni, skutkiem czego zostały one rozstrzelane.

Wyrok został wykonany przez zastrzelenie d. 2 sierpnia 1943.

3) **Józef Kotas,** woźny gminny, zam. w Podegrodziu, pow. Nowy Sącz, konfi-

» Armia Krajowa wykonała generalnie mało wyroków, jeśli spojrzeć na skalę negatywnych zachowań ludzi pod terrorem niemieckim, denuncjacji, zdrad, sprzeniewierzeń mienia AK, odmów wykonania rozkazów i wszelkich podobnych spraw. Samych przejętych przez AK na pocztach donosów dotyczących różnego rodzaju spraw były tysiące. Szmalcownictwo to był wówczas jeden z wielu obszarów, z którym starano się w AK w miarę możliwości walczyć. Warto też zwrócić uwagę, że najczęściej szmalcownicy zajmowali się również donoszeniem na Polaków, szantażami i innymi zajęciami, w których chodziło im głównie o zysk. Pamiętajmy, że w tamtych czasach zarówno w Warszawie, jak i na prowincji kontakt z podziemną organizacją nie był rzeczą prostą. Nie było przecież adresu, pod który można się było udać ze z prośbą o reakcję lub napisać list. Nie było ogólnie dostępnego telefonu do AK, pod który można było zadzwonić i poprosić o interwencję lub „zrobienie porządku" z donosicielem. Inna sprawa, że sama likwidacja mieszkającego w kamienicy donosiciela również była obarczona ryzykiem i trudnymi do przewidzenia dla mieszkających w niej lokatorów skutkami. Obawa zemsty był powszechna, a możliwość ochrony ze strony podziemnej struktury uzależniona od szansy na kontakt z nią. Nie jest tak, że cała AK miała możliwość i była zadaniowana na rozpoznawanie, śledzenie, wreszcie likwidowanie szmalcowników. Struktura AK, jak i innych organizacji podziemnych z nią scalonych lub też nie, była strukturą typowo wojskową z jasno określonymi celami działania. Funkcyjni i żołnierze na przykład Oddziału V Łączności mieli swoje konkretne zadania, Oddziału VI BIP również. I nie były to zadania pozwalające na śledzenie, a tym bardziej likwidowanie szmalcowników. Takimi zadaniami obarczone były inne struktury i im tutaj krótko warto poświęcić uwagę. Najpełniej ich liczbę odda sama Warszawa i Obszar Warszawski. Jeżeli więc mówimy o oddziałach, które miały za zadania i realizowały bezpośrednio walkę ze zdrajcami i szmalcownikami, to możemy wymienić na pewno oddziały Kedywu na poziomie oddziałów dyspozycyjnych KG AK, Kedywu Obszaru i Okręgu Warszawskiego, oddziały PKB, Kontrwywiadu KG AK i jeszcze kilku innych struktur. Nie było ich jednak w sumie zbyt dużo, miały poza tym wiele innych bieżących zadań. Nie posiadały referatów, oddzielnych grup do walki ze szmalcownictwem. To negatywne zjawisko wpisane było w szerszą walkę ze zdrajcami, konfidentami oraz funkcjonariuszami niemieckiej służby bezpieczeństwa.

W WIELU PUNKTACH DYSKUSJA O ARMII KRAJOWEJ I POLSKIM PAŃSTWIE PODZIEMNYM WRÓCIŁA NIESTETY DO POZIOMU MERYTORYCZNEGO Z LAT 70. I 80.

Ostatnie wydarzenia związane ze zmianą ulicy Emila Fieldorfa „Nila" i Zygmunta Szendzielarza „Łupaszki" można wiązać również z tym wszystkim, co się dzieje w wymiarze świadomości historycznej. Bo skoro dowódcy AK podejmowali decyzje w obłędzie, pozwalali mordować bezbronną ludność, to przecież nie zasługują na pamięć...

eprasa.pl f85080dd20

NAJ
NIE
BIERZE SIĘ
ZNIKĄD

DUMNI Z RAJDOWEGO

WICEMISTRZA ŚWIATA

KAJETANA KAJETANOWICZA

NAJ



Od 10 lat wspieramy załogę LOTOS Rally Team,
która stanęła na podium Rajdowych
Mistrzostw Świata 2019 w kategorii WRC 2.
Dziękujemy za emocje na najwyższym poziomie!

LOTOS

eprasa.pl f85080dd20

Macron i Orbán: dwa wymiary tej samej polityki

W polityce nic nie dzieje się przypadkiem. Czy aby na pewno? Wydawałoby się, że postępowanie dwóch tak różnych polityków, jak prezydent Francji Emmanuel Macron i premier Węgier Victor Orbán, może podważyć tę zasadę. A jednak tak nie jest. Wystarczy bliżej przyjrzeć się ich wypowiedziom i działaniom



MAREK BUDZISZ

Ostatnie deklaracje Macrona i decyzje Paryża, takie jak zablokowanie akcesu do Unii Europejskiej Macedonii i Albanii, traktować należy jako zaplanowaną akcję o wyraźnie określonym politycznym wymiarze związaną z pozycjonowaniem się Francji w nowym postamerykańskim układzie sił. Paradoksalnie, mimo dzielących ich politycznych różnic i ostrej wzajemnej retoryki, podobną politykę uprawia Orbán. Tak jak Macron dla Francji, tak on dla Węgier chce zająć najlepszą pozycję wobec nowych rozgrywek o wpływy w Europie.







Fot. Frederic Legrand-COMEO/Shutterstock.com

Fot. Golden Brown/Shutterstock.com

eprasa.pl f85080dd20

OD LIZBONY PO WŁADYWOSTOK

Przypomnijmy. Makron w wywiadzie dla brytyjskiego „The Economist" obwieścił „śmierć mózgu" czy raczej „śmierć mózgową" NATO i wezwał Europę do odwrotu znad geopolitycznej przepaści, przed którą stoi. W opinii francuskiego prezydenta mamy do czynienia z „odwracaniem się Stanów Zjednoczonych od Europy", co powoduje, że w jego oczach gwarancje związane z art. 5 karty NATO stają się złudne. W związku z tym Europa powinna wybić się na geopolityczną samodzielność i zacząć uprawiać swoją politykę obliczoną na realizację europejskich interesów, bo dotychczas musiała się liczyć ze zdaniem Waszyngtonu. Jej istotą miałoby być porozumienie, nawet wbrew zastrzeżeniom Polski, jak otwarcie mówi, z Rosją. Byłoby to zresztą we wspólnym europejsko-rosyjskim interesie, bo Moskwa – zdaniem francuskiego prezydenta – ma przed sobą trzy scenariusze: dwa będące w gruncie rzeczy w dłuższej perspektywie dla niej pułapką i jeden o pozytywnym wymiarze.

Te ślepe uliczki w opinii Macrona rysujące się przed Federacją Rosyjską to z jednej strony próba budowania samodzielnie geostrategicznej niezależności, na co Moskwa nie ma wystarczających zasobów, oraz zacieśnianie związków z Pekinem, co prędzej czy później właśnie w związku z różnicą potencjałów doprowadzi do przekształcenia Rosji w młodszego brata czy wręcz wasala Chin. I wreszcie scenariusz najbardziej światły, który powinien stać się długofalowym celem politycznym – budowa aliansu z Europą, czyli przestrzeni gospodarczej od Lizbony do Władywostoku oraz politycznego sojuszu równoważącego przewagi Stanów Zjednoczonych oraz Chin.

Warto zwrócić w tym kontekście uwagę na moment, kiedy Macron zdecydował się wyartykułować swoje polityczne przesłanie – było to w przededniu niemieckich uroczystości związanych z 30-leciem upadku muru berlińskiego. W światowym środowisku eksperckim przyjmuje się, że wraz ze złamaniem potęgi Związku Sowieckiego przez Stany Zjednoczone rozpoczął się okres amerykańskiej dominacji w polityce międzynarodowej. Innymi słowy, diagnozy wypowiedziane przez prezydenta Francji 30 lat później sprowadzają się do wieszczenia kresu tej dominacji i wzywają do rozpoczęcia nowego rozdania w grze sił, interesów i aliansów.

Ale to niejedyne wypowiedzi Macrona z ostatnich dni, na które warto zwrócić uwagę. W wywiadzie dla prawicowego tygodnika „Valeurs Actuelles" powiedział, że Francja woli mieć do czynienia z pracującymi emigrantami z Afryki niż sieciami przestępczymi stworzonymi przez Bułgarów i Ukraińców. Te słowa wywołały zdziwienie w obu przywołanych stolicach, tym bardziej że – jak informowała miejscowa prasa, powołując się przy tym na europejskie i francuskie statystyki – problemy związane z przebywaniem obywateli Bułgarii i Ukrainy na terytorium Francji są znacznie mniejsze niż w przypadku emigrantów z byłych francuskojęzycznych kolonii afrykańskich.

Zadawano sobie pytanie, dlaczego prezydent Francji, właściwie bez powodu i na podstawie niezmiernie wątłych argumentów zdecydował się napiętnować oba kraje? W przypadku Bułgarii może chodzić o niezadowolenie Paryża, bo realizowana przez Sofię polityka modernizacji wyposażenia własnych sił zbrojnych sprowadza się do zakupu amerykańskiego uzbrojenia (np. samolotów F-15), nie zaś produktów europejskiego, głównie francuskiego, przemysłu zbrojeniowego.

JĘZYKOWE SOJUSZE

Przykład Ukrainy jest tutaj znacznie ciekawszy, zwłaszcza że w grudniu Unia dokona okresowego przeglądu efektów ruchu bezwizowego z tym państwem i słowa francuskiego prezydenta mogą zapowiadać kontrowersje w tym obszarze. Tym bardziej że w podobnym duchu wypowiedział się we wrześniu estoński minister spraw wewnętrznych Mart Helme, który zaproponował zawieszenie ruchu bezwizowego dla obywateli Ukrainy będących w jego opinii homo sovieticus szybko integrującymi się z rosyjskojęzyczną mniejszością zamieszkującą jego kraj, co stanowi w ten sposób zagrożenie dla stabilności państwa. Co ciekawe, część estońskich elit, w tym prezydent Kersti Kaljulaid, która odwiedziła w tym roku Moskwę, gdzie spotkała się z prezydentem Putinem, opowiada się od pewnego czasu za szukaniem możliwości nowego resetu z Federacją Rosyjską. Portal Politico.eu, który wysłał do Tallina swojego specjalnego korespondenta, wieszczy nie tylko zbliżenie Estonii i Rosji, lecz z entuzjazmem opisuje, do jakiego stopnia rodowici Estończycy są zadowoleni z możliwości używania na co dzień języka rosyjskiego i oglądania rosyjskojęzycznej telewizji.

Kwestia językowa jest w krajach bałtyckich niezmiernie ważna, a przez Moskwę wykorzystywana celem delegitymizacji polityki tych państw, wchodzących niegdyś w skład ZSRR. Warto zauważyć, że warianty tej polityki realizowane pod hasłami obrony pluralizmu językowego są aplikowane również przez Federację Rosyjską w podobnych celach na Ukrainie.

Wróćmy jednak do Łotwy, bo jej przykład jest ciekawy. Otóż Ryga wznowiła w 2018 r. zawieszony lata temu program unifikacji nauczania językowego w swoim szkolnictwie. W praktyce oznacza to zniesienie albo bardzo poważne ograniczenie nauczania w języku rosyjskim. Trzeba też choć kilka słów poświęcić kontekstowi. Otóż Łotwa jest niewielkim, pod względem ludnościowym, państwem (2 mln mieszkańców) z silną liczebnie i dobrze zorganizowaną, a przy tym kontrolowaną przez Moskwę mniejszością rosyjską. Szacuje się, że przynajmniej ¼ tamtejszej populacji to Rosjanie, których lojalność wobec państwa łotewskiego nie dla wszystkich jest oczywista. I co gorsze, sytuacja demograficzna się pogarsza, głównie na skutek ujemnego przyrostu demograficznego i wyjazdów Łotyszy do pracy w innych państwach Unii. Eksperci obliczyli, że po wejściu do wspólnoty liczba mieszkańców Łotwy zmniejszyła się już o ponad 700 tys. osób, czyli więcej niż wynosiły straty w czasie I wojny światowej. Sytuacja powoli staje się dramatyczna, bo każdego dnia liczba ludności maleje tam o 74 osoby. W takim kontekście trzeba postrzegać decyzję tamtejszych władz o narzuceniu nauczania w języku łotewskim. Wzbudziła ona liczne, głośne i dobrze zorganizowane protesty rosyjskojęzycznej mniejszości. Dwóch deputowanych z Łotwy do Parlamentu Europejskiego,

eprasa.pl f85080dd20

jeden zasiadający w klubie socjalistów (przedstawiciel Związku Rosjan Łotwy) oraz drugi z frakcji zielonych promowało nawet specjalną rezolucję potępiającą politykę Rygi. I warto odnotować, że poparło ją 115 eurodeputowanych ze wszystkich, jak promotorzy protestu z dumą ogłosili, krajów Unii, a zatem również z Polski.

Ten sam mechanizm działa w przypadku Ukrainy. Moskwa w ramach tzw. porozumień mińskich domaga się faktycznego wprowadzenia na poziomie konstytucyjnym dwujęzyczności na Ukrainie, a polityka Kijowa, którego celem jest wzmocnienie języka ukraińskiego, spotka się z żywiołową krytyką zarówno w Rosji, jak i na Węgrzech. Co warte podkreślenia, porozumienie w sprawie systemu nauczania dla polskiej i słowackiej mniejszości na Ukrainie udało się osiągnąć dość szybko i bez większych kontrowersji.

Polityka Budapesztu jest w tym wypadku szczególnie istotna, zwłaszcza że w ostatnich dniach w związku z wizytą Putina mogliśmy się przekonać, jak te cele w praktyce realizuje węgierski establishment. W związku z kontrowersjami między Budapesztem a Kijowem na tle polityki językowej na ukraińskim Zakarpaciu Węgry zablokowały – co prawda na krótko, ale sygnał polityczny został wysłany – wspólną deklarację Ukraina-NATO. Było to tym bardziej istotne, że stało się w przededniu wizyty szefa sojuszu w towarzystwie wszystkich przedstawicieli państw członkowskich w Kijowie oraz po deklaracjach prezydenta Zełenskiego, że celem jego polityki jest możliwie szybkie przyjęcie Ukrainy do paktu. Pretekstem do podjęcia przez Budapeszt takiego kroku było wypełnienie przez Kijów jedynie czterech zamiast pięciu zaleceń Komisji Weneckiej w kwestii polityki wobec mniejszości oraz oceny węgierskiej dyplomacji o dyskryminacyjnej polityce Ukrainy wobec mniejszości węgierskiej.

Warto w tym kontekście zwrócić uwagę na postulaty węgierskie, które zostały ostatnio otwarcie sformułowane. Otóż przedstawiciele samorządów zamieszkałych przez Węgrów zakarpackich regionów wystąpili z żądaniem zorganizowania w ramach zapowiedzianej reformy administracji lokalnej jednego węgierskiego rejonu administracyjnego. Wcześniej mieliśmy do czynienia z wydawaniem przez konsulaty węgierskie na masową skalę paszportów mieszkańcom Zakarpacia, przemianowaniem nazw miejscowych miast i wsi czy kolportowaniem map z okresu przed pokojem z Trianon, którego decyzją Węgry straciły ten region po I wojnie światowej.

> Orbán już pozycjonuje Węgry w nowym układzie sił, w którym będą się liczyły relacje z Moskwą, Pekinem i rosnącymi regionalnymi potęgami. Nie trzeba zaznaczać, że są to realia Europy opuszczonej przez Waszyngton

OTWARCIE NA ROSJĘ

Może to wszystko obawy na wyrost, ale trudno się dziwić, że w Kijowie tego rodzaju politykę, i to realizowaną równolegle ze zbliżeniem Moskwy i Budapesztu, uznaje się za groźną. Inne deklaracje, które padły w trakcie spotkania Orbána i Putina również skłaniają do refleksji. Chodzi o wypowiedź węgierskiego premiera, który powiedział, że jego kraj chciałby szybkiego przyłączenia do Tureckiego Potoku, budowanego przez Gazprom, bo dostawy za pośrednictwem ukraińskiego tranzytu są zagrożone. Trudno opinię taką odebrać jako wsparcie stanowiska Kijowa toczącego trudne rozmowy z Moskwą w sprawie kończącej się umowy tranzytowej. Być może Orbán jest w oczach europejskiej lewicy i liberałów, którym chce przewodzić francuski prezydent, wrogiem nr 1, ale jeśli idzie o gospodarcze otwarcie na Rosję i wspólne interesy, to co proponuje Macron, Orbán już robi. Chodzi w tym wypadku nie tylko o rosyjski gaz, lecz również rozbudowę przez Rosjan węgierskiej elektrowni atomowej, przenoszenie do Budapesztu rosyjskich instytucji finansowych (Międzynarodowy Bank Inwestycyjny), oskarżanych zresztą o to, że stanowi przykrywkę dla działalności wywiadowczej czy gigantyczny węgiersko-rosyjski kontrakt na dostawę wagonów kolejowych do Egiptu, w co zaangażowani są przedsiębiorcy z otoczenia węgierskiego premiera. Towarzyszy temu zastanawiająca retoryka.

W wielu wypowiedziach premier Węgier mówi o historycznym funkcjonowaniu jego kraju w trójkącie, którego wierzchołki wyznaczają oprócz Budapesztu, Moskwa i Ankara. Jest też orędownikiem przyjęcia do Unii Europejskiej Serbii, kraju najbardziej prorosyjskiego na naszym kontynencie, który wszedł niedawno do zbudowanej i kontrolowanej przez Moskwę Unii Euroazjatyckiej. Orbán przebywał niedawno również w Baku, gdzie uczestniczył w spotkaniu organizacji państw języka tureckiego, w trakcie którego zapowiedziano bliższą, w tym gospodarczą, współpracę krajów od Uzbekistanu w Azji Środkowej po Węgry. Dodajmy do tego próbę uczynienia z Węgier „chińskiej bramy" do Europy, zapowiedź wdrożenia przez Budapeszt chińskich rozwiązań w zakresie technologii 5G i to, że wydatki rządu Orbána na obronność nie przekraczają 1,2 proc. PKB i daleko im do pułapu przyjętego przez państwa członkowskie NATO, a otrzymamy obraz polityki, która może się stać udziałem proponowanej przez Macrona „postatlantyckiej" Europy opuszczonej przez Stany Zjednoczone.

Orbán już pozycjonuje Węgry w nowym układzie sił, w którym będą się liczyły relacje z Moskwą, Pekinem i rosnącymi regionalnymi potęgami, takimi jak Turcja, a w którym partykularny interes stanowił będzie główny i jedyny cel polityczny. Nie trzeba zaznaczać, że są to realia Europy opuszczonej przez Waszyngton, w której każdy radzi sobie na własną rękę. Niczym nie różni się w tych pomysłach i działaniach od prezydenta Francji.

eprasa.pl f85080dd20

Nowy „proletariusz” lewicy

Po przeludnieniu i dziurze ozonowej ocieplenie klimatu to najnowsza obsesja lewicy

Ponad 11 tys. naukowców z całego świata połączyło siły. 5 listopada br. wydali ostrzeżenie o „niebywałych cierpieniach”, które wywołają zmiany klimatu, jeśli ludzkość nie zmieni swoich nawyków. List naukowców został opublikowany w piśmie „BioScience” i wpisuje się w „alarmistyczny” i wysoce emocjonalny ton debaty o ochronie środowiska oraz emisji gazów cieplarnianych. Naukowcy domagają się – w skrócie – by ludzkość jadła mniej mięsa i przestała się rozmnażać. Szczególnie ta bogata część ludzkości niszcząca swoim stylem życia planetę. W liście czytamy więc o „moralnym obowiązku” kontroli populacji i redukcji emisji CO_2, bo „jest już niemal za późno”. Tego naukowcy są pewni, bo odpowiedzialność człowieka za zmiany klimatyczne jest „bezdyskusyjna”. To zdumiewające stwierdzenie, biorąc pod uwagę, że naturą tez naukowych jest to, że podlegają falsyfikacji, czyli obowiązują tak długo,



ALEKSANDRA RYBIŃSKA

Fot. Shutterstock/KDN759

dopóki nie zostaną obalone, co zdarza się dość często. Nie są więc w żadnym razie równoznaczne z prawdą. Rzadko zresztą w takich przypadkach panuje „zgoda", także tu tak nie jest. Naukowców, którzy podważają tezę o odpowiedzialności człowieka za ocieplenie klimatu, nie brakuje, część z nich zgromadziła się chociażby w Europejskim Instytucie ds. Klimatu i Energii (EIKE) w niemieckiej Jenie. Wyznawcy religii klimatycznej jednak uważają, że posiedli całą prawdę i jak wie każdy dobry fanatyk religijny, „prawda" nie cierpi krytyki ani sprzeciwu.

NAKRĘCANIE SPIRALI EMOCJI

Emocjonalny ton listu pasuje idealnie do młodych pokoleń milenialsów i zetów, przyklejonych do iPadów i zinfantylizowanych, które bardziej „czują", niż „myślą". Widać to na przykładzie protestów kolektywu Extinction Rebellion, które przetoczyły się w ostatnich tygodniach przez miasta Europy. W Londynie młodzi w większości ludzie przebrani za warzywa odprawili rytualny taniec nad brokułem.

Nieprzypadkowo symbolem i zarazem prorokiem nowej humanistycznej religii klimatycznej jest 16-letnia Szwedka Greta Thunberg, która głosi ekologiczną doktrynę i pilnuje jej czystości. A kto na tym korzysta? Politycy, bo żyją z kanalizacji społecznych emocji. Tak minister edukacji Włoch Lorenzo Fioramonti we wrześniu br. zachęcał uczniów do udziału w strajku klimatycznym Fridays for Future, a w ub. tygodniu ogłosił, że wprowadzi zmiany klimatyczne jako nowy przedmiot do szkół. Naukowcy i ekolodzy ciągną granty na badania klimatyczne, a im bardziej alarmistyczne ich wyniki, tym większe granty, atmosfera zagłady udziela się społeczeństwu, szczególnie młodemu, presja na polityczne elity rośnie, ale także stwarza szansę na zdobycie wiernej klienteli, z czego wielu chętnie korzysta, a to wszystko jest podawane w lewicowym, ideologicznym sosie.

Spirala histerii się nakręca. Uczestniczy w tym Carola Rackete, była kapitan statku Sea Watch 3, wyławiającego imigrantów z Morza Śródziemnego. Rackete wsławiła się tym, że mimo zakazu włoskiego rządu wpłynęła swoim statkiem do portu na Lampedusie z 53 migrantami na pokładzie. Teraz bohaterka lewicowych elit za Odrą („ratowanie ludzi nigdy nie jest przestępstwem" – szef MSZ Heiko Maas) opublikowała książkę o dramatycznym tytule „Działanie zamiast nadziei. Apel do ostatniego pokolenia".

„Najbardziej znana przemytniczka" – jak złośliwie nazywają ją krytycy – przekonuje nas, że ocieplenie klimatu jest bezpośrednio związane z globalnymi nierównościami i jeśli nie będziemy walczyć z jednym i drugim, ludzkość zginie. A globalne nierówności wynikają z pogoni za wzrostem gospodarczym i bezgranicznej konsumpcji (czyli z gospodarki rynkowej). To prowadzi do ocieplenia klimatu i wywołuje fale uchodźców, którzy są tak naprawdę uchodźcami klimatycznymi, choć nikt nie chce ich za takich uznać, nawet ONZ.

Spirala histerii się nakręca. Uczestniczy w tym Carola Rackete, była kapitan statku Sea Watch 3, wyławiającego imigrantów z Morza Śródziemnego

EKOBÓJSTWO

Dlatego Rackete popiera pomysł brytyjskiej prawniczki Polly Higgins, by stworzyć zbrodnię „ekobójstwa" i uznać ją za zbrodnię przeciwko ludzkości. „Musimy się zdecydować, co wolimy: zmianę czy zapaść? Czego potrzebujemy do życia? Coraz więcej? Czy jest moment, kiedy wystarczy?" – pytała Rackete, która spędziła sporą część swojego życia na misjach badawczych w Arktyce, podczas prezentacji swojej książki w Berlinie. Zadedykowała ją zresztą „wszystkim ofiarom obywatelskiego posłuszeństwa". Tym wszystkim, które nie chcą lub boją się wziąć udział w nowej klimatycznej rewolucji. Bo o to Rackete, która niedawno dołączyła do Extinction Rebellion, właśnie chodzi. O rewolucję. Otwarcie odżegnuje się od demokracji. Zbyt zależna od lobby ma ona być zbyt niesprawiedliwa. Zamiast demokracji Rackete widzi większe nadzieje w czymś, co nazywa gremiami obywatelskimi wyłonionymi metodą losową. To już wszystko było, w ateńskim polis, nie działało wtedy, i jest więc bardziej niż wątpliwe, by mogło działać choćby w dzisiejszych 80-mln Niemczech, ale takimi detalami Rackete głowy sobie nie zaprząta. Zamiast tego skarży się na „interesownych" polityków i apeluje o to, by wtrącać do więzień opornych przedsiębiorców grzeszących przeciwko klimatowi. Reszta to dobrze znana śpiewka antyglobalistycznej lewicy: bogata Północ kolonizuje biedne Południe, panują wyzysk, rasizm i niesprawiedliwość. Wszystko przedstawione w sposób bardzo subiektywny, emocjonalny.

Poglądy Rackete na gospodarkę przyprawiają wręcz o ból głowy – ma to być ekologiczna gospodarka planowa, z zakazem wzrostu gospodarczego, pensjami minimalnymi i maksymalnymi oraz 20-godzinnym tygodniem pracy. Do tego podatek dla przedsiębiorstw i najbogatszych, by „maluczcy" nie musieli ponosić kosztów walki ze zmianami klimatycznymi. Wykonalnością tych idei (choćby groźbą zapaści gospodarczej, która odbiłaby się właśnie na najuboższych) autorka także nie zaprząta sobie głowy, tylko stwierdza lapidarnie, że „to jest najlepsze rozwiązanie dla zwyczajnych ludzi na ulicy". By to osiągnąć, należy zakłócać maksymalnie porządek publiczny. Wymusić zmiany.

Rackete jest przy tym i tak mniej radykalna niż inni klimatyczni fanatycy, jak brytyjski ekolog James Lovelock, który domaga się „zawieszenia demokracji" do chwili, aż na świecie nastąpi wyraźne ochłodzenie, a pierwsze śnieżyce pojawią się w lipcu, czy założyciel Extinction Rebellion Roger Hallam, który uważa, że rządy, które nie chcą chronić klimatu,

eprasa.pl f85080dd20



Fot. DutchMen/Shutterstock

powinny zostać obalone, nawet „jeśli parę osób przy tej okazji zginie".

LEWICOWE UTOPIE

Można rzec: to wszystko już było. Kiedyś (za czasów zimnej wojny) były marsze wielkanocne, wiece na rzecz pokoju i protesty atomowe, w koszulkach z podobizną Che Guevary. Rozdawanie ulotek w fabrykach Mercedesa w Stuttgarcie, by zwiększyć świadomość klasową robotników. A także Frakcja Czerwonej Armii (RAF) porywająca bankierów, apologia komunizmu i walka z amerykańskim imperializmem. Należało wyzwolić gnębiony proletariat spod jarzma kapitalizmu. W toku rewolucji seksualnej pokolenia '68 do robotników dołączyły osoby LGBT, cierpiące z powodu ucisku norm prawnych, moralnych i społecznych. I to rychło w czas, umocnienie się bowiem państw opiekuńczych w krajach Zachodu szybko pozbawiło lewicy głównej klienteli. Robotnicy się na nią wypięli.

Potrzebny był więc nowy proletariusz, ofiara przemocy symbolicznej, nad którą można odprawiać kolektywne ryty ekspiacji. No i się znalazła. W postaci migranta, ofiary zarówno kolonializmu, jak i rasizmu oraz imperializmu. Żywy dowód na zbędność granic, narodów, kultur i tożsamości. Fajny, bo inny. Im bardziej inny zresztą, tym fajniejszy. Bo pozwala zademonstrować moralną wyższość. Patrzcie: oni się od nas różnią radykalnie, a my im i tak pomagamy. Ale jesteśmy dobrzy! Niestety kult migranta odbił się od twardej rzeczywistości. Państwa narodowe wciąż bowiem istnieją otoczone granicami, a ich rządy i obywatele niekoniecznie podzielają lewicowe utopie o wzbogaceniu kulturowym.

NOWA KLIMATYCZNA AWANGARDA

Ale na szczęście jest jeszcze klimat. A raczej jego ocieplenie. Po przeludnieniu i dziurze ozonowej to najnowsza obsesja lewicy. Schemat jest ten sam. Globalne ocieplenie jest dziełem człowieka, rezultatem pogoni za zyskiem podłych kapitalistów. Jak pisał śp. Maciej Rybiński w jednym ze swoich felietonów: „Kiedyś kapitalistyczny krwiopijca uprawiał wyzysk człowieka przez człowieka, gnębiąc ludzi pracy. Teraz kapitalista wypuszcza z siebie gazy cieplarniane i rozpuszcza lodowce". Przestał być wrogiem ludu. Jest wrogiem ludzkości. Aby okiełznać kapitalistę, nie wystarczy już zrobić rewolucję, zabrać kapitaliście środki produkcji i oddać je ludziom pracy reprezentowanym przez awangardę klasy robotniczej. Teraz trzeba wszystkim odebrać wszystko, utworzyć rząd wszechświatowy, zarządzić centralne planowanie wypuszczania gazów, kontrolować i karać wykroczenia.

Niemiecki ekolog Michael Kopatz tłumaczy na łamach „Frankfurter Rundschau", że nie należy ufać zwykłym ludziom, ich rewolucyjnemu zapałowi i moralnej postawie. Ludzie są bowiem ułomni, zapał może osłabnąć. To któryś zapomni posegregować śmieci, inny wsiądzie do samochodu wbrew obietnicom. Nie, lepsze są nakazy i zakazy. Odgórne. Tylko tak da się uratować klimat. Choćby przez zamrożenie liczby startów i lądowań samolotów na obecnym poziomie i uniemożliwienie ludziom budowy coraz większych domów oraz poprzez zakaz budowy kolejnych dróg. Potrzebna jest nowa, klimatyczna awangarda, która zastąpi tę robotniczą i zrobi z tym wszystkim porządek.

Brzmi znajomo? Słusznie. Bo to to samo, tylko pod inną nazwą. Dyktatura klimatu zamiast dyktatury proletariatu. Czym wprowadzenie tego ostatniego się skończyło – wszyscy dobrze wiemy. Osobiście nie mam ochoty na powtórkę.

eprasa.pl f85080dd20

Hit tygodnia

Elva – najlżejszy z McLarenów



W środę 13 listopada zadebiutował dwuosobowy McLaren Elva. Nie ma dachu ani szyb. Powstanie zaledwie w 399 egzemplarzach i ma kosztować... w każdym razie ceny zaczynają się od 2 064 115 euro (czyli ok. 9 mln zł), bo przecież można sobie pojazd nieco spersonalizować i pododawać różne gadżety, co odpowiednio kosztuje.

Elva ma silnik V8 o pojemności 4 l (815 KM i 800 Nm momentu obrotowego), do setki potrzebuje niecałych 3 s, zaś do 200 km/h – 6,7 s. Elva jest też – podobno – najlżejszym modelem McLarena (dlaczego podobno? Bo oficjalnie producent nie podał tych danych) i ma ważyć mniej niż najlżejszy do tej pory model Senna, czyli nie więcej niż 1198 kg

Fot. McLaren

AUTOFOCUS, czyli co warto wiedzieć

Niemcy chcą się stać potęgą pod względem liczby samochodów elektrycznych jeżdżących po drogach? Nasza zachodni sąsiad planuje, że do 2030 r. powstanie milion stacji ładowania dla pojazdów na prąd. To, oprócz dopłat do pojazdów elektrycznych, ma być kolejną zachętą do kupna tego typu samochodu.

Choć nieustannie się słyszy, że produkcja Tesli Elona Muska wcale nie jest dochodowa, to nowe fabryki tych elektrycznych aut pojawiają się – może nie jak grzyby po deszczu – ale całkiem często. I całkiem blisko nas. Pierwsza europejska fabryka montująca elektryki Muska powstanie w Berlinie – Gigafactory 4 zacznie działalność od produkcji modelu Y, nowego crossovera Tesli. Jeżeli zaś chodzi o Gigafactory 3, która ma powstać w Chinach, podobno wszystko jest na dobrej drodze i potrzebna jest już tylko zgoda władz lokalnych. Podobno jeszcze w tym roku może ruszyć produkcja, której możliwości ocenia się na – docelowo – 500 tys. egzemplarzy rocznie.

Pozostańmy jeszcze przy autach elektrycznych. Już niedługo swój pierwszy w pełni na prąd model pokaże Lexus. Będzie to SUV stworzony z myślą o kierowcach europejskich i chińskich. Auto ma mieć premierę 22 listopada na targach Guangzhou International Automobile Exhibition w Chinach, ale chyba żeby podgrzać atmosferę, producent nie ujawnił żadnych informacji o nowym modelu. Nawet nazwy.

A co na naszym podwórku się dzieje, jeśli chodzi auta elektryczne? Minister energii Krzysztof Tchórzewski i minister finansów, inwestycji i rozwoju Jerzy Kwieciński 5 listopada 2019 r. podpisali rozporządzenie w sprawie szczegółowych warunków udzielania wsparcia zakupu nowych pojazdów ze środków Funduszu Niskoemisyjnego Transportu osobom fizycznym niewykonującym działalności gospodarczej i warunków rozliczania tego wsparcia. Dokument został skierowany do publikacji w Dzienniku Ustaw. Głównym celem rozporządzenia jest określenie zasad i warunków udzielania wsparcia na zakupu nowych pojazdów elektrycznych i pojazdów napędzanych wodorem przez osoby fizyczne oraz warunków rozliczania tego wsparcia w ramach Funduszu Niskoemisyjnego Transportu. Osoby fizyczne będą mogły otrzymać dofinansowanie w wysokości 30 proc. ceny zakupu pojazdu elektrycznego lub pojazdu napędzanego wodorem. Przy czym kwota wsparcia dla pojazdu elektrycznego nie będzie mogła być wyższa niż 37,5 tys. zł, a dla pojazdu napędzanego wodorem 90 tys. zł. Dofinansowaniem będzie mógł być objęty zakup pojazdu elektrycznego, którego cena nie przekracza 125 tys. zł, a w przypadku pojazdu wodorowego 300 tys. zł.

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

eprasa.pl f85080dd20

Komfort przede wszystkim, czyli Polacy w podróży

Polacy podróżują coraz częściej – służbowo, turystycznie, by odpocząć lub odwiedzić rodzinę. Rosną przy tym ich oczekiwania dotyczące m.in. komfortu podróży. Stara się na nie odpowiedzieć PKP Intercity, z którym w podróż tylko do września br. wyruszyło ponad 36,7 mln osób

Jak wynika z badania portalu Triverna.pl, największa grupa Polaków podróżuje po kraju do pięciu razy w roku, choć 8 proc. wskazuje, że odbywa ponad 20 krajowych podróży rocznie. Najczęściej zwiedzamy, szukamy odpoczynku, odwiedzamy rodzinę lub udajemy się w podróż służbową . Na podróże – zarówno te zagraniczne, jak i krajowe – tylko w 2018 r. wydaliśmy aż 72,5 mld zł. Oczekujemy przy tym coraz więcej w kwestii oferowanego standardu . Dotyczy to również transportu, co wpływa pozytywnie na zmiany doskonale widoczne np. na kolei.



fot. PKP | 11/0519/F

W PODRÓŻY STAWIAMY NA KOMFORT

Ponad 36,7 mln. Aż tyle osób skorzystało z usług PKP Intercity tylko w ciągu pierwszych dziewięciu miesięcy br. To niemal 2 mln więcej niż w analogicznym okresie ub.r. Pociągami największego polskiego przewoźnika jeżdżą zarówno rodziny, jak i osoby podróżujące biznesowo, seniorzy, a obok nich studenci. Jak wynika z danych PKP Intercity, wszystkie te grupy łączy zamiłowanie do komfortu podróży, który stawiają na pierwszym miejscu. By utrzymać wysoki poziom satysfakcji w tym zakresie, spółka konsekwentnie inwestuje w tabor, m.in. nowoczesne wagony i pozwalające osiągnąć wyższe prędkości lokomotywy, lecz również odpowiednio dopasowując ofertę do potrzeb pasażerów.

WYGODA PRZEDE WSZYSTKIM

Jak wynika z raportu Polskiej Izby Turystyki, odpowiednim komfortem i jakością usług można zdobyć zaufanie klientów. Dowodem na to jest m.in. coraz większe zainteresowanie podróżami pociągami Express InterCity Premium (czyli Pendolino), ale i przejazdy w tzw. strefie wygody. To ostatnie rozwiązanie, dostępne w pociągach klasy Express InterCity (EIC), pozwala podróżować w przedziale klimatyzowanym i wyposażonym w gniazdka elektryczne, stół i szafę z dodatkową przestrzenią na bagaż. Wystarczy podczas kupna biletu w kasie biletowej zgłosić chęć przejazdu w strefie, nabyć bilet pierwszej klasy i wnieść opłatę serwisową, by cieszyć się najwyższym komfortem przejazdu. Podróż biznesowa lub wyjazd w wąskim gronie znajomych zyskują nową jakość. To także rozwiązanie przyjazne rodzinom.

UTRZYMAĆ ROSNĄCE WYNIKI

Zapewnienie coraz wyższego komfortu przejazdu to jeden z celów, jakie postawiło sobie przed kilkoma laty PKP Intercity. Stąd kolejne inwestycje w nowoczesny tabor – wagony i elektryczne zespoły trakcyjne wyposażone w standardzie m.in. w gniazdka elektryczne, wygodne fotele, wzmacniacze sygnału telefonii komórkowej czy dostęp do usługi darmowego bezprzewodowego internetu. Z wi-fi mogą korzystać już m.in. pasażerowie 18 z 20 jednostek Pendolino, łącznie 40 pociągów typu Flirt oraz PesaDART, a także ponad 280 wagonów przewoźnika.

PASAŻER NA PIERWSZYM MIEJSCU

Inwestycje mają pomóc utrzymać pozytywną tendencję wzrostu liczby pasażerów. Podobnie jak kolejne wprowadzane przez spółkę udogodnienia propasażerskie. PKP Intercity pamięta, że podróż zaczyna się jeszcze przed odjazdem pociągu – stąd możliwość zakupu biletu zarówno w kasach tradycyjnych, jak i w kanałach zdalnych: przez aplikację mobilną czy serwis internetowy.

eprasa.pl f85080dd20

Hit tygodnia

Sony α6600 i α6100



Sony mocno zaatakowało z ofertą bezlusterkowców z mniejszą matrycą, czyli APS-C. Oba modele łączą niewielkie wymiary i wagę z zaawansowanymi rozwiązaniami technicznymi Sony: bardzo wydajnym systemem AF, wysokiej jakości przetwornikiem obrazu, najnowszymi technologiami wideo i innymi. Korpus α6600, zaprojektowany dla najbardziej wymagających fotografów i autorów filmów, będzie uniwersalnym narzędziem w różnych zastosowaniach. Model α6100 to propozycja dla osób, które poszukują aparatu z wymiennymi obiektywami do wykonywania zdjęć i nagrywania filmów o wysokiej jakości w różnych sytuacjach. Aparaty mają 24,2-megapikselową matrycę Exmor CMOS oraz najnowszy procesor obrazu BIONZ X. Aparaty wyposażono w bardzo szybki system AF, ustawiający ostrość w 0,02 s. 425 umieszczonych w płaszczyźnie ogniskowej pól AF wykrywających fazę pokrywa ok. 84 proc. obszaru obrazowania. Ich uzupełnieniem jest 425 pól AF wykrywających kontrast. Zakres czułości ISO: od 100 do 32 000 (rozszerzany do ISO 50–102 400), ponadto 6600 ma wbudowany w korpus 5-osiowy system stabilizacji obrazu, a także jest wyposażony w funkcję wewnętrznego nagrywania filmów 4K.

Premiera

Plusy i minusy

+ japońska firma zasadniczo wyznacza standardy, jeśli chodzi o możliwości bezlusterkowców
– jak wyżej, trudno im coś zarzucić

Podkładka Razer Firefly V2

Drobny gadżet dla graczy: firma Razer zaprezentowała podkładkę RGB pod myszkę Firefly V2, która wyposażona w diody LED, ma teraz 19 stref podświetlenia obejmujących wszystkie boki podkładki, cztery więcej niż w oryginalnej Razer Firefly. Dzięki temu Firefly jest najbardziej rozświetloną podkładką RGB wspieraną przez Razer Chroma – największy na świecie ekosystem oświetlenia, który obsługuje obecnie ponad 500 urządzeń i jest zintegrowany z ponad 130 najpopularniejszymi grami na komputery PC.

Cena: 59,99 euro



Wideorejestrator MiVue M760D



Mio Polska uzupełnia swoją ofertę wideorejestratorów o model MiVue M760D przeznaczony dla motocyklistów. W skład zestawu wchodzą dwie wodoodporne, odpinane kamery, urządzenie główne oraz pilot z funkcją nagłego zapisu zdarzenia. Sprzęt wyróżnia się na tle konkurencji wysokiej jakości matrycą Sony Premium z technologią Sony STARVIS CMOS przeznaczoną do nagrań nocnych. Kamery rejestrują obraz w rozdzielczości Full HD 1080p przy 30 klatkach na sekundę w technologii H.264. Gwarantuje to mniejszą ciężkość pliku, dzięki czemu użytkownik nie odczuje dyskomfortu związanego z brakiem pamięci na karcie. Zaletą sprzętu jest również rzeczywisty kąt widzenia równy 130°. Mocną stroną MiVue M760D jest także wbudowany moduł GPS. Funkcja łączności z siecią wi-fi pozwoli natomiast na szybsze synchronizowanie kamer z telefonem komórkowym za pomocą aplikacji MiVue Pro. Urządzenie zawiera kartę pamięci o wielkości 32GB. Obie kamery są w pełni wodoszczelne, a zakres temperatur pracy urządzeń to -10 do 60 stopni Celsjusza.

Cena: 1699 zł

Przygotował ***Paweł Gadaczek***

Autopromocja

eprasa.pl f85080dd20

PLEBISCYT DLA CZYTELNIKÓW

Człowiek Wolności tygodnika SIECI



VII EDYCJA PLEBISCYTU

Już po raz siódmy wybieramy **Człowieka Wolności**, czyli osobę, dla której wolność jest wartością najważniejszą, a jej obrona i szerzenie codzienną powinnością



2018

Minister Kultury i Dziedzictwa Narodowego **prof. Piotr Gliński**



2017

Prezes Trybunału Konstytucyjnego **Julia Przyłębska**



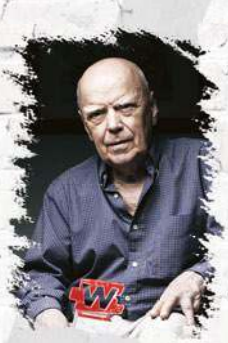
2016

Prezes PiS **Jarosław Kaczyński**



2015

Prezydent RP **Andrzej Duda**



2014

Poeta i pisarz **Jarosław Marek Rymkiewicz**



2013

Historyk z IPN **prof. Krzysztof Szwagrzyk**

Zapraszamy Czytelników, by razem z nami wybierali **Człowieka Wolności 2019**.
Prosimy wypełnić kupon i **przesłać go do 29 listopada 2019 r.** na adres: Fratria Sp. z o.o., ul. Finlandzka 10, 03-903 Warszawa, z dopiskiem „Plebiscyt".
Regulamin plebiscytu dostępny na www.wsieciprawdy.pl.

KUPON ZGŁOSZENIOWY – Plebiscyt Człowiek Wolności 2019 tygodnika SIECI

imię i nazwisko kandydata . . . . . .

uzasadnienie . . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

. . . . . .

imię i nazwisko czytelnika . . . . . .

e-mail . . . . . telefon . . . . . .

Akceptuję regulamin plebiscytu dostępny na stronie www.wsieciprawdy.pl oraz w siedzibie redakcji tygodnika Sieci w Warszawie przy ul. Finlandzkiej 10.

☐ *Wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych zawartych w kuponie zgłoszeniowym do przeprowadzenia Plebiscytu pod nazwą „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci" przez Administratora - Fratria sp. z o.o. z siedzibą w Gdyni w celu przeprowadzenia Plebiscytu.
Potwierdzam, że zgodnie z art. 13 ogólnego rozporządzenia o ochronie danych osobowych z dnia 27 kwietnia 2016 r. (Dz. Urz. UE L 119 z 04.05.2016) zapoznałam/em się z klauzulą informacyjną dot. przetwarzania danych osobowych zawartą w regulaminie Plebiscytu „Człowiek Wolności 2019 tygodnika Sieci".

* pole do akceptacji

data . . . . . podpis . . . . . .

Partnerzy plebiscytu

ARP · ORLEN · Bank Polski · 100 1919/2019 · GAZ system · LOTOS · Bank Pekao · PPL Porty Lotnicze · TAURON · TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl f85080dd20

Potrzebny nowy park narodowy

I co jeszcze?

Idea parku narodowego już w samej nazwie ma coś pociągającego, i to nie tylko przyrodniczo. Przypomina, że wszyscy razem jesteśmy narodem i mamy dziedzictwo, wspólną sprawę, o którą wspólnie się troszczymy. Najwyższy czas pomyśleć o nowym parku narodowym

Fot. Shutterstock

eprasa.pl/e5080dd20



PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Można to potraktować jako program na najbliższą kadencję, zadanie do zrealizowania. Przyroda to wielkie, wciąż niedoceniane pole do popisu dla tych, którzy chcą zdobywać poparcie społeczne i wygrywać. Przyroda może być sposobem na przekonanie do siebie tych, których – wydaje się – nie da się przekonać, jest często zapominanym a zaskakująco istotnym punktem wspólnym. Jak przekonałem się wielokrotnie, wrażliwością przyrodniczą wykazują się bowiem ludzie niezależnie od opcji politycznej. Sądzę też, że szczególnie doceniliby takie działania mieszkańcy dużych miast, mający wyjątkowe zapotrzebowanie na kontakt z przyrodą.

Niezależnie jednak od powyższego istnieją względy czysto przyrodnicze sprawiające, że musimy stale działać w zakresie ochrony naszej przyrody, dlatego że rzeczywiście tej troski potrzebuje: po pierwsze, polski system obszarów chronionych nie jest kompletny, po drugie, przyroda jest układem dynamicznym, zmieniającym się i dlatego wymagającym stałej uwagi i podejmowania działań.

W związku z tym jestem przekonany, że wszyscy – naród i przyroda – potrzebujemy nowego parku narodowego. Byłby to nie tylko symbol troski o wspomniane wspólne dziedzictwo, lecz także realne, jak najbardziej konieczne działanie dla zachowania tego dziedzictwa, odpowiedź na wzrost presji turystycznej, rekreacyjnej, inwestycyjnej i w ogóle różnych form coraz silniejszej obecności ludzkiej w świecie przyrody. Natura tymczasem, by przetrwać – nie tylko w całej różnorodności, lecz po prostu by przetrwać – potrzebuje enklaw, mateczników, gdzie jest pozostawiona sama sobie, gdzie nikt z ludzi jej nie przeszkadza.

Dokładnie czegoś takiego, co oferuje park narodowy: w parkach narodowych nie wolno się bowiem poruszać poza wyznaczonymi szlakami, przebywać pomiędzy zachodem a wschodem słońca, zrywać roślin, łowić ryb itp. Chociaż obserwowanie rzadkich gatunków jest jednym z moich ulubionych sposobów spędzania czasu i często pojawiam się w miejscach ciekawych przyrodniczo, jednocześnie odczuwam radość z tego, że są miejsca, w które nawet w dobrej wierze nikt nie będzie wchodził. Świadomość, że po prostu są, jest znacznie większą satysfakcją niż wyprawa w takie miejsce. I to właśnie oferuje park narodowy.

> Ze wszystkich kandydatów najpilniejszym wyborem wydaje się Mazurski Park Narodowy. Aż dziw, że dotąd nie powstał

Zaletą parków narodowych jest również duży obszar, który obejmuje się ochroną, na tyle duży, by zagwarantować, że to, co chcemy chronić, będzie miało swoją autonomiczną krainę, wystarczającą, by funkcjonowały mechanizmy przyrodnicze, by obejmowała terytoria różnych gatunków zwierząt, rozległe siedliska itp.

Ważna informacja: od niemal 20 lat nie został ustanowiony żaden nowy park narodowy.

JURA, MAZURY I…

Od lat mówi się o kilku planowanych parkach narodowych, brakuje jednak konkretnych działań. Chodzi np. o park narodowy, roboczo nazywany „turnickim", który miałby objąć tereny w rejonie Birczy (powiat przemyski) i Ustrzyk Dolnych (powiat bieszczadzki), miejsca ciekawe ze względu chociażby na przypuszczalne ostatnie stanowiska żbika. Wielokrotnie wspominano o projekcie parku narodowego Puszczy Bukowej pod Szczecinem chroniącym siedlisko pięknej buczyny pomorskiej, o parku jurajskim, który miałby objąć Jurę Krakowsko-Częstochowską z jej wapiennymi skałami, dolinkami i pełnymi unikatowej fauny jaskiniami, a także o parku narodowym w mazurskiej Krainie Wielkich Jezior.

Ze wszystkich tych kandydatów najpilniejszym wyborem wydaje się Mazurski Park Narodowy. Aż dziw, że dotąd nie powstał. Mazury z ich jeziorami o brzegach okolonych trzcinowiskami, ptasimi wyspami, torfowiskami, śródleśnymi jeziorkami – sucharkami, rzeczułkami, wzdłuż których ciągną się wilgotne olsy i brzeziny, absolutnie na park narodowy zasługują. Drugiego takiego miejsca w Polsce nie mamy.

Oczywiście ustanowienie jednego nowego parku narodowego nie zamknie sprawy, bo – jak pisałem – przyroda wymaga ciągłej uwagi i troski, a przy tym jest dynamiczna. Nie można więc niczego załatwić na stałe, trzeba działać. Wspomniana dynamika wskazuje na bardzo ważne zagadnienie, które nie tyle się zarysowuje, ile jest faktem. Konieczność ochrony rzek. Wśród proponowanych parków narodowych, o których dotychczas tylko się mówi, jest park narodowy Doliny Dolnej Odry w rejonie Cedyni. Po stronie niemieckiej taki park, chroniący wspaniałe rozlewiska i dolinę rzeczną, miejsce zimowania nurogęsi, łabędzi krzykliwych i bielików, istnieje. Po stronie polskiej, chociaż dokumentacja projektowa powstała w latach 90. XX wieku, niestety parku narodowego nie ma.

Tak jak Mazury są pierwsze w kolejce, tak doliny wielkich rzek to następny kierunek ustanawiania nowych parków narodowych. Oprócz Doliny Dolnej Odry należy zwrócić uwagę na dolinę Wisły – ostatniej wielkiej dzikiej rzeki Europy – oraz dolinę Sanu.

Najbliższym celem powinno być więc ustanowienie Mazurskiego Parku



Puszcza Bukowa pod Szczecinem i Jura Krakowsko-Częstochowska

Fot. Shutterstock

Narodowego i, bez zbędnej zwłoki, parku związanego z doliną którejś z wielkich rzek.

Zgodnie z art. 8 ustawy o ochronie przyrody:

1. Park narodowy obejmuje obszar wyróżniający się szczególnymi wartościami przyrodniczymi, naukowymi, społecznymi, kulturowymi i edukacyjnymi, o powierzchni nie mniejszej niż 1000 ha, na którym ochronie podlega cała przyroda oraz walory krajobrazowe.
2. Park narodowy tworzy się w celu zachowania różnorodności biologicznej, zasobów, tworów i składników przyrody nieożywionej i walorów krajobrazowych, przywrócenia właściwego stanu zasobów i składników przyrody oraz odtworzenia zniekształconych siedlisk przyrodniczych, siedlisk roślin, siedlisk zwierząt lub siedlisk grzybów.

I szczególnie ważny przepis zamieszczony w artykule 7 ustawy, mówiący, że utworzenie parku narodowego jest celem publicznym. Parki narodowe zaś to zgodnie z przepisami prawa strategiczne zasoby naturalne Polski (ustawa o zachowaniu narodowego charakteru strategicznych zasobów naturalnych kraju).

By osiągnąć cel, należy się przyjrzeć przepisom dotyczącym ustanawiania parków narodowych, ich nowelizacja może być bowiem kluczowa. Ustanowienie parku narodowego to, zgodnie z ustawą o ochronie przyrody, zadanie Rady Ministrów.

WODA I LAS

Skoro była mowa o wodzie, kolejnym punktem działań – już nie tylko przyrodniczych, lecz także gospodarczych i strategicznych, powinno być stworzenie konkretnego programu i szybkie rozpoczęcie zdecydowanych działań na rzecz zabezpieczenia zasobów wodnych. Susza nie jest już zagrożeniem, ale faktem, z którym sobie nie radzimy. Susza przeplatana ulewnymi deszczami i powodziami, kiedy chwilowy nadmiar wody, zamiast zostać zmagazynowany, odpływa i przepada.

Ostatni z głównych punktów to zalesienia. Chociaż są realizowane, jednak z powodu trudności w pozyskaniu gruntów zalesia się znacznie mniej niż w poprzednich okresach. To wielkie wyzwanie nie tylko dla leśników, lecz co najmniej w takim samym stopniu dla polityków i samorządowców, którzy powinni aktywnie działać na rzecz pozyskiwania gruntów do zalesień. Bez tego osiągnięcie planowanych 33 proc. lesistości w 2050 r., jak zakłada nasz narodowy program, nie jest realne. Jak wielokrotnie zresztą pisałem, nie powinna być to wartość graniczna i po jej osiągnięciu zalesienia, jako narodowa inwestycja, muszą być kontynuowane.

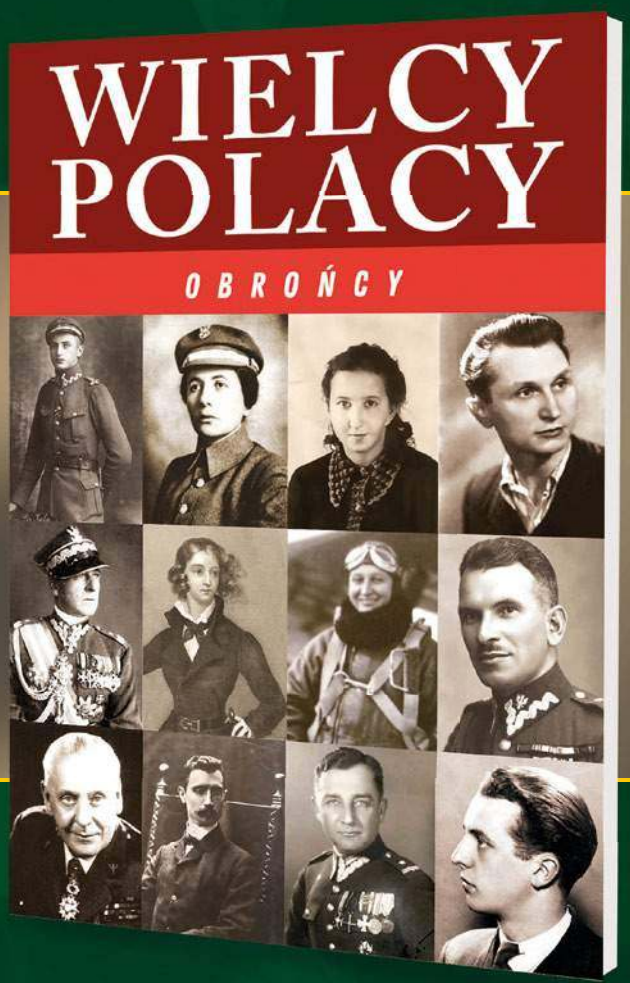
To trzy cele – przyrodnicze, ale coraz bardziej strategiczne dla państwa, na których realizacji wygramy wszyscy. Musimy je zrealizować, bo bez nich wszyscy przegramy: park narodowy, zabezpieczenie zasobów wodnych, zalesienia.

Autopromocja

eprasa.pl f85080dd20

SIECI z książką

w sprzedaży do 24 listopada



50 patriotów,

którzy swoje życie podporządkowali walce w obronie Polski i Polaków

Partner wydania

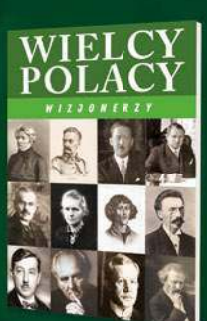
90 lat Bank Pekao

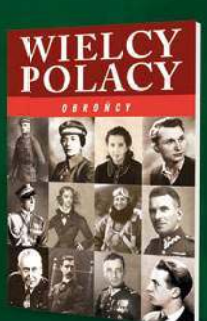
Tygodnik z książką w cenie 9,90 zł

Szukaj w wybranych punktach sprzedaży m.in.:

◆ Empik ◆ Relay ◆ InMedio ◆ 1-Minute ◆ Tabak ◆ Media Star ◆ Poczta Polska

Salony prasowe: ◆ Kolporter ◆ Ruch ◆ Garmond Press **Stacje benzynowe: ORLEN i LOTOS**





Chcesz kupić oba wydania lub jedno z nich?

Zamów: prenumerata@fratria.pl, tel. 22 616 15 70

eprasa.pl f85080dd20

NATALIA PIOTROWSKA-PACIOREK
AKTORKA MUSICALOWA, WOKALISTKA

Od Portugalii po Oman

Uwielbiam podróże. Także te na scenie. Do Hiszpanii Pedra Almódovara trafiłam dzięki spektaklowi „Kobiety na skraju załamania nerwowego". Także w Teatrze Rampa, jako Maria Magdalena z „Jesus Christ Superstar", dotarłam do Jerozolimy sprzed 2 tys. lat. Teraz za sprawą musicalu „Aida" Eltona Johna i Tima Rice'a, najnowszej premiery Teatru Muzycznego Roma (patrz zdjęcie), wraz z tytułową bohaterką przenoszę się do starożytnego Egiptu.

We współczesnym Egipcie byłam, ale w typowej turystycznej roli. Jak wielu rodaków: hotel all inclusive, wypoczynek nad basenem i wycieczka pod piramidy. Mam nadzieję, że pojadę tam jeszcze, by zobaczyć więcej. Może też w głąb Afryki. Wciąż czekają na mnie Ameryki: Północna i Południowa. Na razie najczęściej wędruję po Europie i trochę po Azji.

Podróże są dla mnie najciekawszą formą spędzania wolnego czasu, którego w ostatnich latach mam niewiele. Intensywnie pracuję, z czego bardzo się cieszę, i wypoczywam równie intensywnie.

Nie tak dawno temu zauroczyła mnie Lizbona. Spędzałam w niej podróż poślubną, więc ze względów czysto prywatnych jeszcze intensywniej odbierałam urodę i klimat tego miasta. Pięknego, ale nieoczywistego. Fantastycznego także z powodu różnorodności. I kulturowej, i wynikającej z lokalizacji. Niektóre jego rejony są górzyste i skaliste, jest mnóstwo schodów i są słynne żółte tramwaje, które nie boją się ani stromych podjazdów, ani ostrych zakrętów. Miałam okazję zrobić sobie małą przejażdżkę po mieście. Niezapomniane wrażenia. Mam nadzieję, że jeszcze kiedyś tam wrócę, choć jest wiele zakątków wartych odwiedzenia.

Jako osoba ciepłolubna, szukająca też pozytywnie nastawionych ludzi i oczywiście doceniająca urodę miejsc, bardzo dobrze wspominam podróż do Włoch. Na razie poznałam okolice Rzymu. Najbliższe wakacje chciałabym spędzić na Sycylii i Sardynii. A zimą, w styczniu, planuję wyjazd na Półwysep Arabski, do Omanu. To kraj muzułmański, ale jest w nim obecnie najbezpieczniej. Oczywiście mam świadomość, że turysta w takim rejonie musi się dostosować do panujących reguł i norm, ale jestem ogromnie ciekawa tego miejsca. Tak różnego od Polski i geograficznie, i kulturowo, i religijnie. Również kulinarnie. Słyszałam np. o słodkiej halwie, która niewiele ma wspólnego ze znaną nam chałwą.

Notowała Jolanta Gajda-Zadworna



Fot. Kinga Taukert STUDIO NAVIGO

eprasa.pl f85080dd20



SŁODKO-SŁONY

Trzeci

ANNA MONICKA

To, że był przysmakiem Nerona, nie jest może najlepszą reklamą, zwłaszcza że cesarz ten nie wyróżnił się niczym nadzwyczajnym, poza wyjątkowym okrucieństwem. Por, bo o nim mowa, podobnie jak cebula i czosnek, należy do warzyw, które nie tylko karmiły, lecz i ratowały zdrowie. Zwłaszcza w czasach gdy nikomu się nie śniło nawet o antybiotykach, a ludzie padali jak muchy od zwykłego skaleczenia, w które wdała się infekcja. W przypadku cesarza duszone w oliwie liście leczyły gardło z bólu i chrypek.

To jędrne i zielone warzywo warto jeść teraz, jesienią, gdy szaleją wirusy i bakterie, bo działa jak antybiotyk. Zawiera allicynę, która wydziela się po zgnieceniu liści. Jej charakterystyczny ostry zapach wszyscy dobrze znamy. To dzięki niej wielka trójka warzyw obniża ciśnienie, poziom trójglicerydów, leczy stany zapalne i łagodzi przeziębienia. Wodą, w której gotował się lub blanszował por, można śmiało płukać bolące gardło. Przelewanie wrzątkiem łagodzi ostry smak, podobnie jak w przypadku cebuli, a płyn warto zachować.

Ostatnio zwrócono uwagę na działanie odtruwające liści – wywar czyni cuda, gdy masz kaca (gotujesz, trzymasz w termosie i popijasz małymi łyczkami) albo dopadło cię zatrucie pokarmowe. Po sylwestrze będzie okazja, by sprawdzić, czy rzeczywiście łagodzi objawy występujące po całonocnych hulankach.

Na pewno warto go jeść jak najczęściej. Pokrojony w cieniutkie paseczki wybitnie podkreśla smak śledzia w oleju; jest znacznie ciekawszy niż zwykła cebula, a dobrze go jeszcze wspomóc startymi wiórkami chrzanu albo imbiru.

Surówkę nie każdy przeżyje: świeży por daje popalić wrażliwej wątrobie, powoduje wzdęcia. Ale już lekko podsmażony na patelni na oliwie – robi się bezbronny jak dziecko. Taki właśnie lubię najbardziej – grubo pokrojony, podduszony z kropelką białego wina i zapieczony na grzance z bagietki. Na wierzch można pokruszyć trochę sera, np. słodkiego bursztyna.

Rosół porowy należy do najsmaczniejszych zup, jakie jadłam. Wywar gotuję tylko na białych warzywach, doprawiam masłem i curry. Zamiast tradycyjnego makaronu dodaję sojowy lub ryżowy. Wiosną – obowiązkowo – szparagi. Taki bulion działa wybitnie odchudzająco i jest lekkim posiłkiem na upały. Gdy warzywa zmiksujemy – mamy pyszny krem do groszku ptysiowego. Będzie delikatniejszy, jeśli podprawimy go mleczkiem kokosowym zamiast śmietany.

Pory zamienisz w ekskluzywne danie, gdy podpieczesz je same lub w towarzystwie ziemniaków i brukselki pod beszamelem, skropione maderą. Warzywa warto wcześniej podgotować chwilę na parze, a potem zalać białym wonnym sosem z masła, mąki i mleka, doprawionego solą pieprzem i gałką muszkatołową. Do tego grillowane pierś indyka albo pstrąg. Bajka.



WILCZYM OKIEM

Organizmy grzybopodobne

PRZEMYSŁAW BARSZCZ

Ludzkość zależna jest od produkcji roślinnej, od rolnictwa i leśnictwa. Zależność od rolnictwa jest oczywista. O naszej zależności od lasów zapominamy częściej, zwłaszcza w rozwiniętych krajach europejskich. Mam nadzieję, że bodźcem do zwrócenia uwagi na ten aspekt nie staną się pewne tajemnicze organizmy.

Ostatnio miałem okazję uczestniczyć w seminarium naukowym, które odbyło się z okazji 85. rocznicy powstania Oddziału Polskiego Towarzystwa Leśnego w Krakowie (początki PTL sięgają 1882 r., co czyni je jednym z najstarszych, jeśli nie najstarszym towarzystwem leśnym na świecie). Na tym właśnie seminarium wysłuchałem bardzo interesującego wykładu prof. dr. hab. inż. Tadeusza Kowalskiego pt. „Współczesne choroby lasu – zagadnienia wybrane".

Wśród chorób atakujących rośliny są także takie, które wywoływane są przez zadziwiające twory: organizmy grzybopodobne. Dlaczego pseudogrzyby stały się bohaterami tego tekstu? Bo zadają kłam wygodnym podziałom świata na kilka okrzepłych królestw. Rzekome grzyby podszyły się pod te prawdzie i udawały coś, czym tak naprawdę nie są. Nie mają przecież chitynowych ścian komórkowych, lecz celulozowe! Ich zarodniki zaopatrzone są w wici, dzięki którym mają zdolność aktywnego przemieszczania się. Umiejętność ta czyni je niebezpiecznie podobnymi do zwierząt. Wspólne grzybom i organizmom grzybopodobnym jest wywoływanie groźnych chorób roślin.

Do niedawna próżno było szukać grzybopodobnych w całkiem – wydawać by się mogło – nowoczesnych encyklopediach przyrodniczych. Dziś tworzy się dla nich osobne królestwo. Warto popatrzeć na nie jednocześnie jako na niezwykle uciążliwe patogeny roślin, które zagrozić mogą lasom na naszej planecie, i na jako pewnego rodzaju wyzwanie rzucone przez naturę człowiekowi. Wyzwanie polegające na tym, aby nie zasypiać gruszek w popiele i czujnie lustrować szeregi bytów ze świata przyrody. Wykrycie, opisanie i przyporządkowanie to nie tylko sztuka dla sztuki mnożąca szczeble systematyki. To działanie próbujące dostarczyć konkretnych odpowiedzi na palące problemy ludzkości. Co zrobić, aby nie dopuścić do zamarcia całych populacji np. jesionów, których strata wywołałaby zatrważający efekt ekologicznego domina?

Odpowiedzi dostarczyć może zgłębienie tajemnic organizmów grzybopodobnych.

Fot. Shutterstock x2

eprasa.pl f85080dd20



Parlament jakby pedofilski?

Wojna o etyczny kształt naszej cywilizacji oraz o demokrację i wolność słowa toczona między Polską a politpoprawnym reżimem brukselskim wkracza w nową fazę. Uchwalając rezolucję wzywającą Polskę do zaprzestania prac nad obywatelskim projektem ustawy „Stop pedofilii", Parlament Europejski przekroczył kilka granic. Od strony formalnej – złamał traktat o Unii Europejskiej, wypowiadając się w kwestiach, które należą do wyłącznej decyzji władz krajowych. To kolejna próba ustanowienia standardu narzucania narodom i państwom cywilizacyjnych zmian sprzecznych z wolą suwerena. Parlament Europejski uchwalił, że jest sprawa, w której Polacy nie mają prawa się wypowiedzieć. Innymi słowy – zakłada nam kaganiec. Może wkrótce ta lista spraw, w których nie wolno nam ani przedkładać projektów obywatelskich, ani ich w parlamencie rozpatrywać, będzie dłuższa. O których nie wolno nam nawet myśleć inaczej, niż nakazuje brukselski Wielki Brat.

To sprzeczne z traktatem Unii Europejskiej, ale przede wszystkim to myślenie i działanie totalitarne. Dowiadujemy się, że są sfery, o których decyduje gdzieś ktoś inny, a my mamy się nie wtrącać, bo zostaniemy ukarani, napiętnowani, potępieni. Mamy bez szemrania wykonać. Po tak skandalicznej próbie zniewolenia, nawet jeśli tego nie było w planie na najbliższe miesiące, parlament i rząd polski powinny ze szczególną energią i starannością zająć się obywatelskim projektem „Stop pedofilii". Po takiej erupcji brukselskiej bezczelności Polacy czekają na informację, kto w Polsce rządzi.

Ale jest jeszcze sama istota projektu i istota rezolucji. Otóż polski obywatelski projekt „Stop pedofilii" chce przeciwdziałać zagrażającej polskim dzieciom masowej, państwowej i przymusowej seksualizacji, zgodnie z pedofilskimi zaleceniami ultralewackiej grupie inżynierii społecznej nazywającej się Światową Organizacją Zdrowia. Autorzy i 200 tys. sygnatariuszy projektu „Stop pedofilii" nie mówią nic o edukacji, żadnej edukacji nie zakazują, za żadną edukację nie zamierzają nikogo karać, co im się kłamliwie wmawia. Wprowadzają jedynie proste, jasne kryterium, wcale nie odkrywcze, całkowicie zgodne z obowiązującym Kodeksem karnym: dobro i bezpieczeństwo dziecka vs krzywda dziecka. Karać więc chcą wyłącznie za nakłanianie dzieci do czynności seksualnych. To jest właśnie pedofilia, nic innego.

Swoją kuriozalną rezolucją Parlament Europejski walczy, by nakłanianie dzieci do czynności seksualnych nie było w Polsce karane. By było dozwolone. Zatem to parlament pedofilski. Wierzę, że część europosłów, którzy zagłosowali za promocją pedofilii, zrobiła to wprowadzona w błąd przez filuternego kłamczuszka Biedronia i jemu podobnych. Gdyby edukacja seksualna nie miała nic wspólnego z pedofilią (nakłanianiem dzieci do czynności seksualnych), to skąd zaniepokojenie chęcią karania za tę czynność? Zapewne jednak spora grupa europosłów zagłosowała za rezolucją z wyrachowaniem, wiedząc, że promowana przez nich edukacja seksualna wymaga wobec edukowanych dzieci takich zachowań seksualnych edukatorów, które będą zagrożone karami. Bo w istocie są nakłanianiem dzieci do czynności seksualnych. Czyli pośrednio Parlament Europejski przyznaje, że tzw. edukacja seksualna w istocie jest nakłanianiem dzieci do czynności seksualnych, czyli oznacza zgodę na pedofilię, promocję pedofilii, a wręcz państwowy przymus pedofilii.

Nie ma już w tej kadencji wśród europosłów guru europejskiego lewactwa Daniela Cohna-Bendita, który we francuskiej telewizji chwalił się swoimi czynami pedofilskimi wobec pięcioletnich dzieci, budząc obleśny rechot swych celebryckich rozmówców. Ale jego pedofilski duch w tym parlamencie żyje, rośnie w siłę i planuje kolejne podboje. Polska jest najważniejszym celem, bo nasze przywiązanie do wartości (zwane w Brukseli nieznośnym konserwatyzmem) okropnie denerwuje uczniów i wychowanków Cohna-Bendita. W polskich szkołach uczyć i wychowywać dzieci mogą nauczyciele i wychowawcy starannie sprawdzeni i certyfikowani przez kuratoria i dyrekcje szkół, które biorą odpowiedzialność za ich poziom merytoryczny i etyczny. Pojawienie się w szkołach nieuprawnionych do kontaktu z dziećmi samozwańczych pedofilskich edukatorów to inwazja na nasze dzieci, rodziny i cywilizację. Swą kuriozalną uchwałą parlament pedofilski próbuje utorować im drogę. Walec jedzie. Opór rodziców i nauczycieli nie wystarczy. Deklaracje polityków nie wystarczą. Konkretnymi decyzjami polskie państwo musi wreszcie wziąć w obronę polskie dzieci, które przestają być w szkołach bezpieczne.

Maciej Pawlicki

eprasa.pl f85080dd20

Jak uchronić następne pokolenia



Alina Czerniakowska

Każdy wie, że nasze zdrowie zależy od tego, co jemy, jak się odżywiamy. Z coraz większym przerażeniem czytamy różne raporty, doniesienia medialne o stanie wszelkiej żywności, odżywek, witamin, nawet takich, które od lat uchodziły za samo zdrowie. W osłupienie wprawił mnie raport o produkcji tranu, podawanego przecież od pokoleń dzieciom i dorosłym. Dla zdrowia.

Okazuje się, że tak było, ale się skończyło, gdy w świecie bogiem stał się pieniądz. Wszystkie przepisy, obowiązujące normy, zakazy stosowania chemii w produkcji żywnościowej są sprytnie omijane. Wielkie światowe korporacje, wpływowe firmy, mogą wszystko, nawet produkty trujące sprzedawać jako leki. Wspomniany tran z ryb, a w zasadzie z resztek po rybach, hodowanych w ogromnym zagęszczeniu, sztucznie karmionych, sprzedawany jest w aptekach jako lek lub suplement zapewniający zdrowie.

Ludzie ulegają nachalnym reklamom telewizyjnym, wybierają głośne firmy, w przekonaniu, że są najlepsze, tymczasem jest zupełnie odwrotnie. Właśnie te największe, najbogatsze światowe marki, ale też krajowe, są najbardziej bezkarne, mają wielkie zaplecze, opanowały świat i każdy bubel ich produkcji uważany jest za luksus. Dla nich ludzie są tylko trybikami w maszynerii wielkich zysków. A my jesteśmy skazani na jedzenie zatrutej żywności, oddychanie zatrutym powietrzem i kupowanie leków, które więcej szkodzą, niż pomagają. Pełne sztucznej chemicznej żywności są nie tylko wielkie markety, ale także bazarki, do niedawna uchodzące za miejsca zdrowej wiejskiej żywności. Rolnicy też się „unowocześnili" na unijną modę i odeszli od karmienia krów, świń, kur naturalnym zbożem, sianem i czystą wodą ze studni, też zmienili swoją mentalność, przestała obowiązywać dawna uczciwość, solidność, nie ma przedwojennego etosu ziemi. Nawet żywność, która sprzedawana jest jako ekologiczna, podobno niewiele różni się od tej z wielkich marketów, oczywiście oprócz ceny.

Myśląc o tym wszystkim na co dzień, gdy robimy obiad dla rodziny, zadajemy sobie pytanie, jak ustrzec dzieci, młodzież, jak zadbać o ich zdrowie, przyszłość? Rozmawiałam ostatnio z kolegą dziennikarzem robiącym reportaż ze szpitala dziecięcego. Był przerażony liczbą nowych cywilizacyjnych chorób, cierpieniem najmniejszych i często bezradnością lekarzy. Wiadomo, choroba dziecka każdym wstrząsa, ale teraz szokuje liczba nieznanych dotąd chorób, często niezdiagnozowanych do końca, a strasznych w skutkach. Wymieniał wiele nowych nazw chorób genetycznych, kardiologicznych, neurologicznych, nowotworowych, występujących nawet u noworodków, jak utrwalona cukrzyca noworodkowa pojawiająca się w zdecydowanej większości poniżej 6. miesiąca życia jako błąd w materiale genetycznym.

Lekarze pytani o przyczyny chorób dzieci i młodzieży, wymieniają najczęściej obecność szkodliwej chemii w całym naszym środowisku, w tym, co jemy i czym oddychamy, ale w prywatnych rozmowach dodają jeszcze przyczyny mające swoje źródła w sposobie życia rodziców, podkreślają nie do końca zbadaną szkodliwość środków antykoncepcyjnych, różnorodnych suplementów diet, wszelkich rzekomych odżywek i wzmacniaczy organizmu. Na choroby układu nerwowego małych dzieci mają też zasadniczy wpływ sytuacje rodzinne, plagi rozwodów, wszelkiego rodzaju patologie, alkoholizm, narkomania i inne uzależnienia, kłótnie, awantury, cały ogólny klimat domów rodzinnych funkcjonujących często na granicy zapaści psychicznej. Język, jakim posługują się rodzice w domu, wzajemne relacje są jak sejsmograf odbierane przez dzieci, nawet te najmniejsze, i okaleczają je nie tylko psychicznie, lecz również fizycznie.

Powstają różne fundacje pod nazwą Na Ratunek Dzieciom, w ogromnej ilości opisywanych problemów znalazłam taki podsumowujący wpis, który daje wiele do myślenia: „Kiedyś nie było wtryskiwanej na potęgę chemii do wędlin, chleb nie był mrożonym z Chin, świnie były polskie, kury hodowało się pięć razy dłużej, warzywa miały smak, a nie tylko wygląd, sklepy były w niedzielę zamknięte, ludzie pomimo że nie było tyle udogodnień, które podobno ułatwiają życie, mieli dla siebie czas, serdeczność, rodzina żyła w oparciu o odwieczne zasady Dekalogu, a teraz XXI wiek, niby nowoczesność, a jest coraz gorzej i z czego się tu cieszyć? Z głupoty i śmierci przez zatrucie wewnętrzne i zewnętrzne".

Stanisław Lem już dawno pisał o „samobójstwie wysoko rozwiniętych cywilizacji". Do tego dochodzi jeszcze zatruwanie dusz i umysłów poprzez świadome mylenie pojęć. Zabijanie dzieci nienarodzonych nazywa się wolnością, kłamstwo – prawdą, donoszenie do obcych na własną ojczyznę i kpinę z narodowych świętości – nowoczesnym patriotyzmem. Widzowie na tandetnym, obrażającym nas Polaków, spektaklu rozbawieni biją brawo, zamiast wyjść na znak protestu. Przedwojenny nauczyciel, powstaniec warszawski, tak skomentował „Klątwę", wciąż graną w warszawskim Teatrze Powszechnym i reżysera tego spektaklu: „Takiego człowieka przedwojenna Polska nie tolerowałaby nawet jeden dzień, zostałby zapakowany i odstawiony, skąd przybył. Nikt nie pozwoliłby na obrażanie Polski, nawet najgorszy typ bił się, gdy ktoś naruszył narodowe świętości. A dziś byle kto kpi z nas, z naszej wiary, Ojczyzny, z największego rodaka, Papieża Polaka i nic! I to się nazywa wolnością, tolerancją! To jest hańba!".

Po tych krótkich rozważaniach nasuwa się pytanie zasadnicze – jak uchronić przyszłe pokolenia od tych zniszczeń na duszy i ciele, nadać sens ich życiu, wyprostować drogi?

Autorka jest reżyserem filmowym, scenarzystką i dziennikarką

eprasa.pl f85080dd20

WOJCIECH RESZCZYŃSKI

Odwojował demokrację


www.wojciechreszczynski.pl

Na kabotyński gest nowego marszałka Senatu jeszcze bardziej kabotyńsko zareagował poseł Tomczyk

Niekiedy jeden gest więcej powie o człowieku niż jego życiowe dokonania, a jak jest to gest kabotyński, osoba ta nie daje się od niego uwolnić. Tak niestety oceniam zachowanie nowego marszałka Senatu Tomasza Grodzkiego, który uniesionymi obu rękoma z palcami w kształcie litery V zakomunikował o swoim zwycięstwie – wyborze na marszałka Senatu. Takim samym gestem w Sejmie w 1989 r. Tadeusz Mazowiecki obwieszczał swój wybór na premiera. I chyba do tego historycznego momentu chciał nawiązać senator Tomasz Grodzki, oznajmiając patetycznie: „Zwyciężyła demokracja". Po czym znowu wykorzystał inne, łatwe do odszyfrowanie odniesienie, mówiąc: „Przybywam ze Szczecina".

Jeżeli zwyciężyła demokracja, to znaczy, że kogoś, coś pokonała, obaliła. W domyśle jakieś siły antydemokratyczne. A skoro tak, to znaczy, że wcześniej demokracji nie było. Czyli pojawiła się nagle, dokładnie w chwili ogłoszenia wyników wyborów na marszałka Senatu. A więc demokracja zwycięża tylko wtedy, gdy to „my" wygrywamy wybory. Gdy zwyciężają „oni", nasi polityczni przeciwnicy, pojawia się państwo autorytarne, dyktatorskie, niepraworządne, pozbawione demokracji. To zaiste beznadziejna interpretacja polskiego ustroju politycznego, którego najwyraźniej subiektywny obraz tworzy sobie nowy marszałek Senatu prof. Tomasz Grodzki. Nie pojmuje, że to właśnie demokracja, silnie obecna w Polsce od czterech lat, umożliwiła senatorowi Grodzkiemu zwycięstwo.

Marszałek brnie dalej w tej nielogiczności, zapowiadając na swoim stanowisku aktywną politykę zagraniczną, spotkania z komisarzem UE, przewodniczącym Rady Europejskiej. W tym celu już dodatkowo wyeksponował w Senacie unijne flagi jako „drobny gest powrotu do normalności – do rodziny cywilizacji zachodniej". Dalej, planuje wizytę w Senacie USA, aby dziękować za list sprzed lat w „obronie polskiej zagrożonej demokracji".

Marszałek Senatu swoim podwójnym gestem zwycięstwa zapowiada utworzenie w Senacie „przyczółka przyzwoitej, normalnej, wolnej Polski", czyli ośrodka nowej władzy promieniującej demokracją. To dlatego jako senator poprzedniej kadencji, niezbyt aktywny, często nieobecny na posiedzeniach plenarnych i głosowaniach, protestował na scenach Komitetu Obrony Demokracji oraz tworzył wraz z innymi politykami Platformy Obywatelskiej alternatywny rząd, zwany „rządem cieni", jako przyszły minister zdrowia. Teraz zamierza tworzyć, jak powiedział były marszałek Senatu Stanisław Karczewski, „alternatywną politykę", bez obecności Ministerstwa Spraw Zagranicznych, czyli polskiego rządu.

O obecnym marszałku Senatu było dość głośno przed miesiącem, gdy szef PO Grzegorz Schetyna powiedział, że Grodzki otrzymał od PiS propozycję objęcia teki ministra zdrowia. Grodzki nie zdementował tej informacji i oczywiście nie powiedział, od kogo otrzymał tę dziwną korupcyjną propozycję. Dziwną dlatego, że prof. Tomasz Grodzki był dyrektorem szpitala w Szczecinie-Zdunowie, który doprowadził do bankructwa. Kierowany przez niego przez 18 lat szpital okazał się najbardziej zadłużonym w Polsce, przez co Grodzki został w końcu zwolniony ze stanowiska dyrektora.

Ustępujący marszałek Senatu Stanisław Karczewski zapewniał w publicznej telewizji, że ani on, ani jego ugrupowanie nie proponowali senatorowi Grodzkiemu stanowiska ministra zdrowia w nowym rządzie Mateusza Morawieckiego. Skierowanie na siebie podejrzenia nacisków korupcyjnych ze strony PiS było najwyraźniej strategią nowego marszałka, jak widać, udaną. Teraz, kiedy ogłosił swoje zwycięstwo, należałoby ujawnić, kto zwrócił się do niego z korupcyjną propozycją. Dla dobra demokracji, z braku której marszałek Grodzki cierpiał, na którą tak długo musiał czekać.

Objęcie stanowiska marszałka Senatu przez Grodzkiego wywołało wręcz euforię sejmowej opozycji. Na kabotyński gest marszałka Senatu jeszcze bardziej kabotyńsko zareagował poseł Cezary Tomczyk, wymuszając na Sejmie zaśpiewanie hymnu narodowego. Za to wykonanie, będące profanacją chronionego konstytucją polskiego hymnu, poseł powinien otrzymać dożywotni zakaz śpiewania.

Choć PiS posiada prawie połowę senatorów, w pięcioosobowym prezydium ma tylko wicemarszałka Karczewskiego. To nadal zbyt dużo, dlatego nowe centrum władzy w Senacie zastanawia się teraz, jak umocnić władzę marszałka poprzez zmianę regulaminu tej izby, aby utrudnić jego ewentualne odwołanie.

Szkoda, że marszałkiem nie został Bogdan Borusewicz. Ten przynajmniej latał po świecie z córką i do domu w Gdańsku, aby wyprowadzić psa. Grodzki ma ideę poinformowania świata, że odwojował w Polsce demokrację.

eprasa.pl f85080dd20

LOKAL DLA AWANTURNYCH

Bądź bezpieczny



Witold Gadowski

Bez eksperta sobie nie poradzisz. Nie podejmiesz najprostszej decyzji. Tylko ekspert, i to ekspert certyfikowany, powie ci, co masz zrobić, a jak postąpisz inaczej... no to zajmie się tobą władza, ta prawdziwa władza. Posłuchaj, bo dzięki światłym radom unikniesz kłopotów.

Tak więc strzeż się mowy nienawiści i staraj się słuchać, jak mówi TVN, to najlepszy poradnik, aby znaleźć się po stronie właściwych. Bądź tolerancyjny, bo inaczej skierujemy na ciebie reflektory poprawności. Nie podobają ci się homoaktywiści? – zduś w sobie to uczucie. Inaczej nie znajdziesz dobrej pracy, nie zrobisz kariery w korporacji, nie będziesz pasował do swoich sąsiadów, którzy już od dawna idą tą właściwą i jedyną drogą. Nie zwracaj uwagi na ekscesy swobody obyczajowej, to realizacja najpiękniejszych ludzkich praw i wolności. Bądź wierny przekazom dnia, które podają ci ludzie bardziej kompetentni i wprawieni w arkana demokracji praktycznej. Pamiętaj, że jak odezwie się w tobie pamięć dawnych porządków, to natychmiast to od siebie odrzuć. Nie zawracaj sobie głowy tym, co słyszysz w Kościele, tam czai się średniowiecze, tam cię zniewalają. I najważniejsze: zaufaj bankom i naszym specjalistom od nowego ładu. Nie płać gotówką, staraj się kupować najnowsze urządzenia, dzięki którym twoje życie stanie się wygodne, one same będą regulować twoje zobowiązania. Kiedy usłyszysz, że gdzieś opornie idzie wprowadzanie zdobyczy gender – połóż się Rejtanem. Pamiętaj też o tym, że zwierzęta mają taką duszę i osobowość jak ty, więc nie spożywaj ich ciał. Troszcz się o nie bardziej niż o nienarodzone dzieci, bo ludzi na świecie jest i tak już zbyt wielu. Pamiętaj, że przede wszystkim musimy szanować poglądy mniejszości, bo większość – jak przecież zauważasz – nie doprowadziła dotąd do niczego dobrego. Wielcy ludzie, o których uczyli cię w reakcyjnych szkołach twojego pokolenia, nie zdali egzaminu, teraz czas na nowe autorytety. Jeśli chcesz, to spiszemy dla ciebie nowy dekalog, abyś – w sytuacjach gdy masz wątpliwości – wiedział, że czasem nie trzeba myśleć, trzeba działać. I troszcz się o Ziemię, dbaj o klimat, to sprawy najważniejsze. Pamiętaj o tym, jak poprzednie pokolenia zniszczyły planetę.

Rozumiesz? To dobrze.

Teraz, Czerwony Kapturku, wreszcie będzie można cię spokojnie zjeść.

Bramy piekielne nie zmogły go



Lech Makowiecki

Gdy w rozmowach z kapłanami (również z kościelnymi hierarchami) poruszam temat kryzysu wiary we współczesnym świecie, zwykle pada uspokajająca formułka (parafraza słów Chrystusa): „Przez dwa tysiące lat bramy piekielne nie zmogły Kościoła! Teraz też nie dadzą rady...” Czyżby? Jezus kierował swe przesłanie do Piotra, który – jako że sam otarł się o cud Zmartwychwstania – stał się opoką wiary, solidnym fundamentem trwającej do dziś kościelnej instytucji.

Jednak ostatnie lata nie nastrajają zbyt optymistycznie: drastyczny spadek powołań i laicyzacja życia codziennego robią zastraszające postępy. Upadają ostatnie bastiony chrześcijaństwa na Starym Kontynencie (casus Włoch, Hiszpanii, Irlandii i in.), a tzw. nowe otwarcie (Amazonia?) bardziej zmierza w kierunku bałwochwalstwa niż Dekalogu. Należy zatem postawić sobie pytanie: czy jest możliwe istnienie świata bez naszej religii? Zapewne tak. Przez setki lat funkcjonowały wszak pogańskie kultury: grecka, rzymska, perska. Powstały państwa Inków i Majów, wyrosło cesarstwo Chin, Azję i Europę zdominowało imperium Dżyngis-Chana, zaistniał mocno turecki sułtanat. Łamiąc wszystkie 10 przykazań, próbowała podbić świat bezbożna czerwona bolszewia. I równie ludobójcza, brunatna III Rzesza. Ale tylko unikatowy, oparty na dobru i porządkujący relację między nami Dekalog stworzył ponadnarodową wspólnotę, która z założenia chroniła prawa słabszych (kobiet, dzieci, starców, osób niepełnosprawnych itp.). I to właśnie odróżniło ludzi od zwierząt!

Odejście od tego uniwersalnego „kodeksu człowieczeństwa” sprowadza zwykle hekatombę i upadek cywilizacji. Dziś farciarze, którzy mieli to szczęście urodzić się, nawołują do legalizacji aborcji. Młodzi i silni domagają się eutanazji słabych i starych. Folgujący swym chuciom żądają deprawacji niewinnych i bezbronnych dzieci. Nie czyń bliźniemu, co tobie niemiłe, wyrządzone zło wraca. I ukarze wszystkich. Jak w Sodomie i Gomorze...

eprasa.pl f85080dd20

BĄDŹ SOBĄ – PRZECZYTAJ

Pytania do niektórych



Aleksander Nalaskowski

Opowiadano mi kiedyś anegdotę, jak to Piłsudski z Wieniawą zastanawiali się, kogo uczynić jakimś tam ministrem. Nie mieli pomysłu. I wtedy Marszałek powiedział: „Pamiętasz, jak siedzieliśmy w Ziemiańskiej i nie miałem zapałek? Wtedy podszedł taki gość i mi przypalił cygaro. Ten będzie dobry".

Mam wrażenie, że nic się nie zmieniło. W głównej mierze dotyczy to opozycji szukającej sposobu odbicia władzy i powrotu do apanaży, które nie bez słuszności nazywa się korytem. Jest w tym jakaś bezczelna beztroska, zupełny brak poczucia racji stanu oraz interesu Polski. To działania kompletnie, do cna, do fundamentów dyskredytujące tych wszystkich Schetynów, Lubnauery i Czarzastych. Gdybym chciał być dosadny, to napisałbym, że to zwykli cynicy, zakompleksione intelektualne miernoty, którym sprawność intelektualna pozwala tylko na nieustającą intrygę, knucie i nierzadko donosicielstwo. Ale tak nie napiszę.

W tym wszystkim najbardziej żal tej naszej Rzeczypospolitej. Biedna szlachetna dama musi na swoich salonach przyjmować głupawy i prymitywny gmin, podsuwanych jej prostackich notabli, brudnych rewolucjonistów, zwykłych chamów i nieuków tłumnie szturmujących jej pałac. Szkoda Polski. Szkoda Ojczyzny, aby proponować Owsiaka, Hołownię, Kidawę-Błońską, Bodnara, Biedronia czy Kosiniaka-Kamysza na prezydenta. Te kandydatury tylko recenzują tych, którzy je wymyślają. Każdy z nich to tylko wcielenie Króla Ubu. Zupełnie jak w wierszu pewnego anonima: „Sukę ci na ołtarzu postawię i będziesz jej się kłaniał, zawodząc »Matko moja przenajświętsza«".

Jak mały musi być człowiek, jak bardzo pozbawiony przyzwoitości i nade wszystko szacunku dla Polski, aby takich kandydatów w ogóle wysuwać i takich wybierać? Jakim trzeba być szydercą, aby niemal każdemu proponować strzeżenie Najjaśniejszej? Jak bardzo trzeba nienawidzić Polaków? Czy naprawdę wystarczy być homoseksualistą, aby być prezydentem? Czy wystarczy wołać o bojkot Kościoła, w których „Jezus jest z PiS", aby być kandydatem do władzy? Czy urządzanie dorocznej kąpieli w błocie w rytm głośnej muzyki albo upominanie się o aresztowanego zwyrodnialca wystarczą, aby piastować najwyższy urząd?

Literatura takie kariery dobrze opisała. A to w „Karierze Nikodema Dyzmy" Dołęgi-Mostowicza, a to w plagiacie pomysłu tej powieści „Wystarczy być" Kosińskiego, a to w „Bigda idzie" wedle Kadena, w „19. Południku" Machulskiego i w wielu innych. Tu już był stalinizm, w którym dyrektorem fabryki zostawał pastuch z PPR czy PZPR, a młodzieńcy z ZMP obuci w wysokie buty cenzurowali przedwojennych profesorów. Teraz też ma tak być?!

Jeszcze ostrzej to widać na przykładzie doboru elity politycznej, czyli kandydatów do Sejmu i Senatu. W uszach brzmi mi rechot Schetyny, który wstawia na listę Jachirę, Jońskiego (czy ten już wie, że powstanie warszawskie nie wybuchło w 1989 r.?), Zimocha, Hartwich, Gawłowskiego czy Naumanna. Czyż nie jest dla Polski piekącym policzkiem uczynienie Śmiszka posłem? Czy nie czujecie wstydu, że Scheuring-Wielgus, Dziemianowicz-Bąk, Kwiatkowski, Nowicka czy Dyduch zostali posłami? Już naprawdę każdy, kto ma gębę do gadania, nadaje się do Sejmu? Nie wstyd wam niepiśmiennego pachołka pasować na rycerza? Nie czujecie wstydu, gdy tych wszystkich pozbawionych samokrytyki, pełnych dobrego samopoczucia i pychy analfabetów historycznych czy ekonomicznych, nieznających poprawnej polszczyzny chcecie wyposażyć we władzę? Tak bardzo jest wam obojętny los Rzeczypospolitej, los Polaków, że robicie z parlamentu zwykłą małpiarnię? Do kogo te pytania? Ano do tzw. liderów i do suwerena, czyli do wyborców. Niektórych.

Tak bardzo jest wam obojętny los Rzeczypospolitej, los Polaków, że robicie z parlamentu zwykłą małpiarnię?

Zróbmy sobie eksperyment myślowy. Wystarczy nieco wytężyć umysł. Wyobraź sobie, wyborco, że twoje dziecko, ukochany synek albo córka, wnuczek albo wnuczka, jest bardzo ciężko chory. Kochasz je nad życie i przez tę chorobę nie śpisz po nocach i odchodzisz od zmysłów. Czy powierzyłbyś życie tego dziecka lekarzowi, którego kompetencje medyczne są porównywalne z kompetencjami Biedronia, Śmiszka, Scheuring-Wielgus albo Hołowni czy Owsiaka do kierowania Polską? Zaryzykowałbyś? I oddałbyś swój majątek Kosiniakowi czy Schetynie, aby go pomnożyli? Naprawdę? Powierzyłbyś pieczę nad czymkolwiek Jachirze? Chciałbyś Kidawę-Błońską jako zwierzchnika sił zbrojnych w czasie wojny? Zapewne byś nie ryzykował. To dlaczego ryzykujesz Polską, ośle?! Naprawdę jest ci tu aż tak źle? Znajomy sztygar w takich przypadkach mawiał: „Umyj gębę, bo ktoś ci ją opluł".

eprasa.pl f85080dd20

PRZEZ ŚWIETLIK

Życie bez Senatu

Głupio się przyznać, ale bardzo rzadko oglądam mecze piłki nożnej. Kiedyś w brytyjskiej gazecie „The Independent" opublikowano statystyki wykupionych abonamentów telewizji kablowej i wynikało z nich, że na 22 mln mężczyzn tylko około miliona regularnie nie oglądało meczów. Jakiś złośliwiec w komentarzu stwierdził, że to ci, którzy nie dostali się do drużyny piłkarskiej w szkole podstawowej. Coś w tym jest, choć ja akurat się nie ubiegałem, zawsze uprawiałem inne sporty. Ale gdzieś przez pierwszą połowę mojego życia mecze w miarę regularnie oglądałem. Potem zaczęło to spadać wraz z kondycją naszej reprezentacji, aż w końcu od wielu lat oglądam może jeden mecz miesięcznie, w dodatku przy tym nieraz coś pisząc na komputerze. Nie są to jednak traumy z dzieciństwa ani jakiś piłkowstręt. Po prostu brak mi czasu. Po co mam 90 minut gnić przed telewizorem, do tego dochodzi czas doliczony i reklamy w przerwie, skoro mogę w internecie w dwie minuty obejrzeć skróty najładniejszych bramek? To obsesyjna, kompulsywna chęć niemarnowania czasu odwiodła mnie od piłki nożnej. Zawsze kiedy mam obejrzeć mecz, wolę pójść pograć w tenisa albo po prostu pobiegać.



Ale teraz planuję powrót do meczów. Wszystko za sprawą Senatu. Izba wyższa – jak ją zwą – naszego parlamentu przyciągnęła gigantyczną, nieosiąganą przez nią dotychczas uwagę, a będzie pewnie jeszcze ostrzej. Wszystko przez to, że opozycyjni senatorowie mogą o kilka tygodni opóźnić wejście w życie ustaw, mogą też narozrabiać przy wyborze Rzecznika Praw Obywatelskich, członka KRRiT itd. Szczerze mówiąc – niewiele to. To trochę zaskakujące, że Senat nie przyciągał takiej uwagi, kiedy zasiadali w nim znani gangsterzy czy przekręciarze, a przyciąga teraz, bo będzie w nim odrobina politycznego dymu.

Nowy marszałek już rusza za ocean, by tam skarżyć się na brak praworządności w Polsce. Potem będą wszystkie te Komisje Europejskie, shake-handy z Timmermansami itd. Całe rządzące Europą pod dyktando Niemiec towarzystwo będzie teraz pielgrzymować do pana Grodzkiego i mu się kłaniać, a on z mądrą miną będzie się troszczyć o demokrację. Ludzie walczący z dyktaturą w Polsce będą się spotykać z marszałkiem Senatu niepomni, że to, iż jest on marszałkiem Senatu, najlepiej dowodzi, że tej dyktatury nie ma. W święta w „Wyborczej" będzie wywiad z Grodzkim. I co z tego?

Szczerze mówiąc, bardzo to nudne i nieistotne. Już wolę dobry mecz. Na pierwszy idę we wtorek.

REKLAMA



eprasa.pl f85080dd20



Cywilizacja śmierci kontra cywilizacja życia

Pomysł na „uaktualnienie" jednego z najważniejszych dokumentów Kościoła stojącego na straży świętości życia pokazuje, że starcie cywilizacji rozgrywa się nie w konfrontacji z islamem czy ateizmem, lecz we wnętrzu samego Kościoła

JAN POSPIESZALSKI

Powołanie w Watykanie grupy ekspertów, którzy mają dokonać zmiany w tekście encykliki „Humanae vitae", dowodzi, że projekt „Posprzątać po Janie Pawle II" wchodzi w decydującą fazę. Wprawdzie autorem ogłoszonej 51 lat temu encykliki jest poprzednik naszego świętego papieża, Paweł VI, ale duch tej encykliki obecny był podczas całego pontyfikatu Jana Pawła II (który jeszcze jako krakowski biskup miał spory udział w powstaniu tego dokumentu). Wobec demolki małżeństwa i rodziny, które Karol Wojtyła obserwował w krajach postchrześcijańskiej Europy, w chwili gdy zostaje papieżem, w centrum swojego nauczania stawia właśnie małżeństwo i rodzinę. Jedną z pierwszych papieskich decyzji zwołuje synod dotyczący małżeństwa, a potem przez pięć lat głosi katechezy, których zapis dziś znamy jako naukę o Teologii ciała. Pogłębioną refleksją naukową nad tymi śmiertelnie zagrożonymi rewolucją seksualną instytucjami zajmował się od 1980 r. Instytut Studiów nad Małżeństwem i Rodziną.

Od września 2017 r. zaczynają się niepokojące zmiany. Papież Franciszek swoim „Motu proprio" zlikwidował m.in. wydział teologii moralnej i antropologii adekwatnej. Zrezygnowano z kompetencji wielu znamienitych wykładowców, w tym profesora Stanisława Grygla, a studentów, którzy chcieli kontynuować studia w duchu Jano-Pawłowym, przyjął (na szczęście) pod swoje skrzydła rektor rzymskiej uczelni Angelicum, polski dominikanin o. Michał Paluch. Jako perwersyjny żart odebrałem nazwanie tej nowej struktury Instytutem Jana Pawła. Szokujące jest postawienie na czele zreorganizowanej placówki kardynała Vincenzo Paglii, tego samego, który zamówił u gejowskiego malarza homoseksualną w treści polichromię na ścianie katedry w Terni-Narni-Amelii. Tego samego, który postulował udzielanie komunii św. parom trwającym w tzw. związkach nieregularnych, czyli konkubinatach. Tego samego, który od lat dziwnie troszczy się o środowiska LGBT, usiłuje znaleźć dla nich miejsce w Kościele i zaprasza na synod rodziny (!!!) w Dublinie. Teraz ten hierarcha, jako kanclerz uczelni, będzie nadzorował prace komisji, której zadaniem jest „udoskonalić" zapisy encykliki „Humanae vitae".

Właśnie jestem po lekturze książki Przemysława Załuski „21 milionów – dwie drogi dla Polski". Autor z chirurgiczną precyzją maluje obraz katastrofy demograficznej. Nie są to złowieszcze prognozy. To obiektywne szacunki oparte na danych ONZ, Eurostatu, GUS itp. Narody Europy, a szczególnie Polacy, wymierają. Największym zagrożeniem dla narodowego bytu jest nieuchronnie postępująca depresja demograficzna. Przy optymistycznym założeniu, uwzględniającym wzrost urodzeń (?) z dzisiejszego wskaźnika 1,4 do 1,7, za 80 lat będzie nas tylko 21 mln. U praźródeł tej katastrofy jest niewątpliwie pigułka antykoncepcyjna. Oddzielenie aktu seksualnego od płodności spowodowało zmianę mentalności i zmiany cywilizacyjne na niespotykaną skalę. Papieski dokument opowiedział się zdecydowanie przeciw sztucznej kontroli urodzin, był odpowiedzią na postulaty radykalnych katolickich modernistów, oczekujących, że posoborowa otwartość Kościoła zaowocuje także zmianami w kwestiach etyki seksualnej. Tak się (na szczęście) nie stało. Papież stanął po stronie świętości życia. Ale encyklika staje także w obronie kobiet, dowodząc, że antykoncepcja degraduje je i uprzedmiotawia.

Odrzucenie „Humanae vitae" przez wielu biskupów i teologów katolickich, bunt całych diecezji wobec papieskiego dokumentu, uległość wobec nacisków liberalnej opinii publicznej przyniosły zatrważające skutki. Rozmycie nauki moralnej, brak powiedzenia Bogu Dawcy Życia „TAK" skutkuje dziś zapaścią populacji. Tu nie chodzi o emerytury czy rynek pracy. Tu chodzi o przetrwanie.

Obecny pomysł na „uaktualnienie" jednego z najważniejszych dokumentów Kościoła stojącego na straży świętości życia pokazuje, że starcie cywilizacji rozgrywa się nie w konfrontacji z islamem czy ateizmem, lecz we wnętrzu samego Kościoła.

eprasa.pl f85080dd20

Skromność i ból Wałęsy



Jerzy Jachowicz

Jakże ludzie się mylą, oceniając innych. Jak niesprawiedliwe wyroki wydają. Oto tego dosadny dowód, o czym niedawno przekonałem się po raz kolejny. – Poproszę na Polanki 54 – powiedziałem, wsiadając do taksówki. – Do Wałęsy się pan wybiera? – usłyszałem. – Tak, umówiłem się na wywiad z przewodniczącym – odparłem. – Czy warto? Przecież to taki wioskowy cwaniaczek – powiedział kierowca, ruszając spod dworca gdańskiego do Oliwy.

– Panie kolego, rozmowa będzie krótsza, niżeli się umawialiśmy – rozpoczął Wałęsa, kiedy już usiedliśmy przy stole. – Nie dlatego, że pan jest z innej, tej niewłaściwej opcji politycznej. Bo jak pan wie, słynę z tolerancji politycznej. Powodem skrócenia spotkania jest to, że muszę zdążyć na otwarcie nowej filharmonii, powstałej w przebudowanej na ten cel jednej z największych hal dawnej Stoczni Gdańskiej. Dziś wieczorem odbędzie się tam po raz pierwszy koncert orkiestry i chóru. Ja to przewidziałem już blisko 40 lat temu. W 1981 r. Oprowadzałem wtedy po stoczni delegację związkowców z Kanady. Powiedziałem szefowi delegacji, akurat w tej hali, że kiedyś orkiestra symfoniczna będzie tu grała dla Solidarności uwerturę do opery naszego kompozytora Stanisława Moniuszki pod tytułem „Paria", opartej na motywach tragedii francuskiego dramaturga Casimira Delavigne'a, a także Koncert fortepianowy f-moll op. 21 Fryderyka Chopina. Dziś w tym miejscu będą wykonane obydwa utwory, o których wtedy mówiłem. Jak jasnowidz. Niesamowite.

– Równie niezwykłe jest to, że wkrótce na Westerplatte rozpocznie się budowa muzeum.

– Powiem panu w zaufaniu. To ja najdłużej walczyłem o przywróceniu Westerplatte właściwego miejsca w dziejach II wojny światowej. Rozpocząłem te starania jeszcze za czasów, kiedy urzędowałem jako prezydent. Musiałem jednak przerwać. Pan jest młody. Może nie pamiętać tego. Ze strony pewnych braci bliźniaków spotykały mnie ogromne nieprzyjemności. Pod Belwederem palili moje kukły...

– To musiało być przykre.

– Każda niesprawiedliwość boli. Pewnie Tusk zrezygnował, bo nie chciał przeżywać tego co ja.

I RADOŚĆ, I SMUTEK

11 listopada



Katarzyna Łaniewska

Święto Niepodległości za mojej świadomej już pamięci było wykreślone z kalendarza uroczystości państwowych. Najpierw poprzez okupanta, w czasie II wojnie światowej, a potem przez PRL, gdzie zostało zamazane, zapomniane i zakazane. Na szczęście te lata mamy za sobą.

Starano się święto 11 listopada zastąpić datą 22 lipca – „radosnym" świętem PKWN i jego manifestu. Młodzi niech sobie zajrzą do internetu i poczytają. Już w samym święcie kryło się kłamstwo PRL. PKWN miał być utworzony w Chełmie Lubelskim, a w rzeczywistości powstawał w Moskwie. W tym samym czasie obowiązywała instrukcja (czytaj nakaz), by ulice w Polsce ludowej nosiły nazwę Józefa Stalina. Łodzianie nazwali tak ulicę Główną, a nie Piotrkowską, która tak naprawdę była główna. Dowcip się udał.

Nie udało się władzom PRL z ulicą 11 Listopada na praskim brzegu Wisły. Nazwa została. Przedwojenna fabryka czekolady nie miała tyle szczęścia. E. Wedel był znany w całej Europie. Fabrykę upaństwowiono i nazywano „22 Lipca". Na to święto mówiono: „22 Lipca – dawniej E. Wedel". Co nam zostało. Dowcip był jedną z możliwości walki z reżimem. Oczywiście byli i tacy, którzy mieli odwagę czcić pamięć o 11 listopada. Pojawił się np. nekrolog na kościele: „Umarła władza PRL-owska, ponieważ dziś jest Święto Niepodległości". Ukazywały się też one z racji mszy za duszę Józefa Piłsudskiego. Władza wtedy mówiła: „Po co to Święto Niepodległości, jeżeli władza jest ludu, czyli lud rządzi". No i rządził oraz się sprzeciwiał: Poznań, Radom, Wybrzeże, Gdańsk i Ursus. Aż wreszcie wybuchła Solidarność i zaczęło się odzyskiwanie niepodległości i jej święta.

Trwało to długo. Utrudniano to w III RP. Prowokowano. Przywożono Niemców, by gonili młodzież przebraną za powstańców na Nowym Świecie. Przysyłano podrabianych i zamaskowanym uczestników Marszów Niepodległości. Na trasie marszu spalono budkę pod ambasadą.

Teraz cieszymy się i radujemy z naszego wspólnego święta. Niepodległość to wolność, to liczenie się z narodem. Nasza Polska i nasze zwycięstwo.

PS Nawet władza peerelowska nie zmieniła nazwy 11 Listopada w Warszawie, a teraz w naszej wolnej Polsce zdarzają się samorządowcy, którym generał Fieldorf „Nil" przeszkadza jako patron ulicy. Niech się wstydzą.

eprasa.pl f85080dd20

Rysuje ***Jerzy Wasiukiewicz***



TRENDY I OWĘDY

Kaczmarski zakazany

Szaleństwo „autorytetów" artystycznych osiąga apogeum

W liście protestacyjnym przeciwko powołaniu dyrektora Centrum Sztuki Współczesnej, podpisanym m.in. przez Olgę Tokarczuk, Agnieszkę Holland, Krystynę Jandę, Pawła Pawlikowskiego, Macieja Stuhra, sięgnięto także po maczugę antysemityzmu. Przewiną dyrektora in spe Piotra Bernatowicza było wyemitowanie w czasach, kiedy pracował w Radiu Poznań, piosenki Jacka Kaczmarskiego „Opowieść pewnego emigranta". Autorytety grzmią: „W sferze publicznej nie ma miejsca na piosenki pełne antysemickich stereotypów". No! No! No! Zrobiło się ostro.



Ryszard Makowski

Cenzurowanie naszego współczesnego wieszcza, genialnie i niezwykle plastycznie streszczającego w wierszach rzeczy ważne, to już wyższy poziom skretynienia. Ta piosenka opowiada o Żydzie, który po wojnie pracował w ubeckich katowniach. Jest to spowiedź kogoś, kto był wplątany w machinę zła i nie może się przez całe życie z tego wyzwolić. Tekst kończy się dramatycznym wołaniem: „Jak ja powiem Jehowie – za mną, Jahwe, stań. Z tą Polską związanym pępowiną hańb!".

I teraz te osoby niedorastające artystycznie, pomimo Nobla i Oscara, do pięt Jackowi Kaczmarskiemu, chcą decydować, które jego utwory mogą być słuchane, a które zakazane. Tu pragnę donieść na siebie, że w audycji „Śpiewnik kabaretowy" w Radiu Wnet, też tę piosenkę puszczałem i będę puszczał.

List wysmażyli panie i panowie ze środowiska hałaśliwie dopominającego się wolności w sztuce. „Wolność kocham i rozumiem", a w praktyce „Zamordyzm kocham i rozumiem".

eprasa.pl f85080dd20

***Zawistowski prezentuje:* Demokrata**





Wycinki z przeszłości

W dniach rocznicy odzyskania niepodległości wzruszający fragment biograficznej powieści Gustawa Olechowskiego „Wódz", poświęconej Józefowi Piłsudskiemu.

„Widziałeś, jak wolny i kiedyś dumny siłą, potęgą, naród w niewolę upokarzającą wpadł, poćwiartowany, jak obce przemoce gwałtem prawo swoje, bezprawiem będące, narzuciły, jak imię Polski wymazane było z życia, nawet z pamięci tych, co niegdyś przyjaciółmi jej być się mienili, jak dzieci katowano za pacierz w języku ojców mówiony, jak niewiastom gwałt czyniono, jak mężów uprowadzano do więzień i gnano w pustynne lody i śniegi, niby zbirów, za to, że jeszcze Ojczyznę kochali i dla niej coś uczynić chcieli, jak rabowano kościoły, jak niecono nienawiść wśród dawnych braci – ludów Rzeczypospolitej, jak katowano młodych i starych, jak nikczemniono im dusze zdradą swoich, jak wszczepiano im służalczość, strach, odbierano wiarę i nadzieję, jak plugawiono im duszę kłamstwem o ich sławnych dziejach rycerskich i szlachetnych, jak czyniono z nich niewolników, jak wisiał nad nimi bat, ale nie ojcowski, a katowski, jak – o zgrozo! – Polak-niewolnik do niewoli się wzwyczajał, pokój w niej znajdował i rad był, że jeszcze żyć mu pozwalano, jak lepsi oddech gubili, a ostatkiem sił jarzmo zrzucić pragnąc, krwawili co pokolenie dla samego świadectwa prawdy i życia, jak soki wszystkie z tej ziemi wyciągano dla samego tuczenia wrogów, jak godziny liczono, ale nie do zmartwychwstania, a do śmierci ostatecznej.

Widziałeś to. I zbudziłeś w sobie wszystkie siły".

Książka ukazała się we Lwowie w 1929 r. ***(mk)***

Rekolekcje późnojesienne



Leszek Długosz

Lubię nawet trochę
Rozmowy te – niesłyszane przez nikogo
Niegłupia czasem, myślę, i nie na próżno
Ta gadanina – z samym sobą?
Gdy dookoła nikt i nic
Pustka jak przed stworzeniem świata,
Bóg kiedy wyłączony z dialogów heretyckich tych
Bluźnierstwo ich i narcyzm mój wybacza?
Ot, P o b ł a ż l i w y, gra ze mną w chowanego?

Trudne, nierozstrzygnięte są
Te bitwy, starcia rojeń płomiennych
I zimnych racji
– Nie wszystko z nich do opowieści
– Nie wszystko jest na afisz

Dobry ten dialog, gdy się trafia
Przed lustrem wody
Wzroku i niemej wargi
Z udziałem trzciny, ptaka
Z przelotną tylko ingerencją wiatru...

To kołysanie, uciszanie tej samotności
Nie dość idealnej
Zmąconej wizją urojonej gwiazdy
– Na którą może jednak też ktoś patrzy?

Pseudopertraktacje te
Pół żartem i pół serio
Dogadywanie się ze śmiercią
Co tak jak każda, niezastąpiona żadną inną
Osobną jest
I nade wszystko własną

Lubię, cóż w końcu lubię nawet trochę
Rozmowy takie te
– Niesłyszane przez nikogo
Ciche preludia
Słów nie otwarte jeszcze przechowalnie
Zanim się na głos z nich nie wydobędą
Ambicją tknięte, zanim nie pójdą w wiersze?

CENNIK PRENUMERAT*	OKRES PRENUMERATY		
	3 miesiące	6 miesięcy	12 miesięcy
SIECI	**75** zł	**139** zł	**245** zł
wSIECI HISTORII	–	**29** zł (3 wydania)	**54** zł (6 wydań)
pakiet **SIECI** i **wSIECI HISTORII**	–	**158** zł (w tym 3 wydania wSIECI HISTORII)	**280** zł (w tym 6 wydań wSIECI HISTORII)

**dane do przelewu w stopce redakcyjnej*

eprasa.pl f85080dd20

OD A DO ZYBERTOWICZA

Starość jest marnotrawstwem?

Niedawno wpadł mi ręce „MIT Technology Review", czyli przegląd technologiczny najlepszej bodaj politechniki świata. Na okładce wielkie litery: „OLD AGE IS OVER!", poniżej mniejsze uzupełniają: „If you want it", czyli „STAROŚĆ SIĘ SKOŃCZYŁA, jeśli tego chcesz". Jeden materiał przyciągnął moją szczególną uwagę. „Starość jest marnotrawstwem" – to tytuł rozmowy z dr. Ezekielem Emanuelem, który na Uniwersytecie Pensylwanii kieruje katedrą etyki medycznej i polityki zdrowotnej.

MAKSIMUM 75

W 2014 r. Emanuel opublikował artykuł: „Dlaczego mam nadzieję, że umrę w wieku 75 lat". Napisał, że choć jest przeciwnikiem eutanazji oraz samobójstwa, to deklaruje, że 25 lat przed osiągnięciem setki zrezygnuje z wszelkich form medycznego podtrzymywania swojego życia, np. brania antybiotyków w razie infekcji. Gdyż w tym wieku jego życie będzie już spełnione.

Swoją deklarację uzasadnia na dwa sposoby: indywidualny i społeczny.

ZANIK KREATYWNOŚCI

Argumentację indywidualną ogniskuje na fakcie, że z bardzo nielicznymi wyjątkami w późnym wieku kreatywność ludzka drastycznie spada, a dolegliwości związane ze starością powodują, że tracimy kontrolę nad naszym życiem i godnością. Emanuel wolałby zostać przez swych ukochanych bliskich zapamiętany nie jako osoba kompletnie niedołężna, ale sprawna i witalna.

ZBYT WIELE KOSZTUJE

Argumentacja społeczna ma charakter m.in. ekonomiczny. Emanuel wskazuje na paradoks: politycy często podkreślają, że naszym najcenniejszym zasobem jest młode pokolenie, to jednak



„Postęp" technologiczny przyniósł narastające oddzielanie pokoleń od siebie

USA jako kraj wcale tak nie postępują: „Nie inwestujemy w dzieci w takim zakresie, jak inwestujemy w dorosłych, szczególnie starszych". Przywołuje dane wskazujące, że w budżecie USA na 1 dol. wydanego na osobę niepełnoletnią przypada aż 7 dol. wydanych na osobę powyżej 65 lat.

Krytykuje amerykańską fascynację przedłużaniem życia za wszelką cenę. Mówi, że większość osób w USA, które zachowują aktywność, mając lat 70, 80, 90, zajmuje się rozrywką – motocyklami, podróżowaniem, sportem... To OK, ale dodaje, że nie jest to życie posiadające głębszy sens.

WZÓR KULTUROWY

W rozmowie z „MIT Technology Review" nie pojawia się motyw relacji dziadków z młodszym pokoleniem. W artykule z roku 2014 jest on jedynie dotknięty. Ale w dzisiejszej amerykańskiej kulturze – przynajmniej klasy białej średniej i wyższej – nie ma już chyba miejsca na taką rolę babć i dziadków, jaką odgrywają oni w Polsce.

Dla wielu rodzin wsparcie babć i dziadków jest nieocenione. Gdy rodzicom brakuje czasu, cierpliwości lub po prostu energii, dziadkowie wnuczkom otwierają świat, dają opiekę, snują opowieści o „dawnych Polakach", niosą kulturę, tradycję, otuchę. Dają właściwą perspektywę w obliczu życiowych niepowodzeń i zakrętów, pokazując, że wiele z dzisiejszych trosk, problemów to „małe piwo" w porównaniu z wyzwaniami, z jakimi zmagały się pokolenia wcześniejsze.

Tymczasem „postęp" technologiczny przyniósł narastające oddzielanie pokoleń od siebie. Matki mają się z ojcami ścigać na rynku pracy, a dzieci „wychowywane" są przez smartfony...

BOGU SIĘ NIE UDAŁA?

To od pewnego księdza profesora przy okazji konferencji na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim usłyszałem znane porzekadło: Panu Bogu starość się nie udała.

Dr Emanuel pisze, że wiele osób obawia się utraty godności i kontroli nad życiem w obliczu starczego upadku sił, ale może warto odwrócić perspektywę? Ongiś babcia lub dziadek umierali otoczeni całą rodziną, w tym kochającymi wnuczętami. Odchodzenie było częścią życia. Obecność ludzkiej słabości była częścią codzienności. I może jest w tym głębsza wartość, wzór kulturowy, który należałoby pielęgnować.

TRZY FAZY ŻYCIA

Rodzimy się jako istoty całkowicie zależne od swoich rodziców. Później w bólach wykluwa się z nas dojrzałość i samodzielność. A potem, po latach wyzwań, sukcesów i porażek samodzielność zaczyna się rozpływać. I powoli odchodzimy.

Może prawdziwe człowieczeństwo wymaga przejścia przez te wszystkie trzy fazy życia. Bez omijania tej ostatniej.

Andrzej Zybertowicz

110/1019/F | 31/0919/F

eprasa.pl f85080dd20



DZIĘKUJEMY ZA ZAUFANIE!

Najwięcej firm wybrało PKO TFI do zarządzania Pracowniczymi Planami Kapitałowymi.

Bank Polski

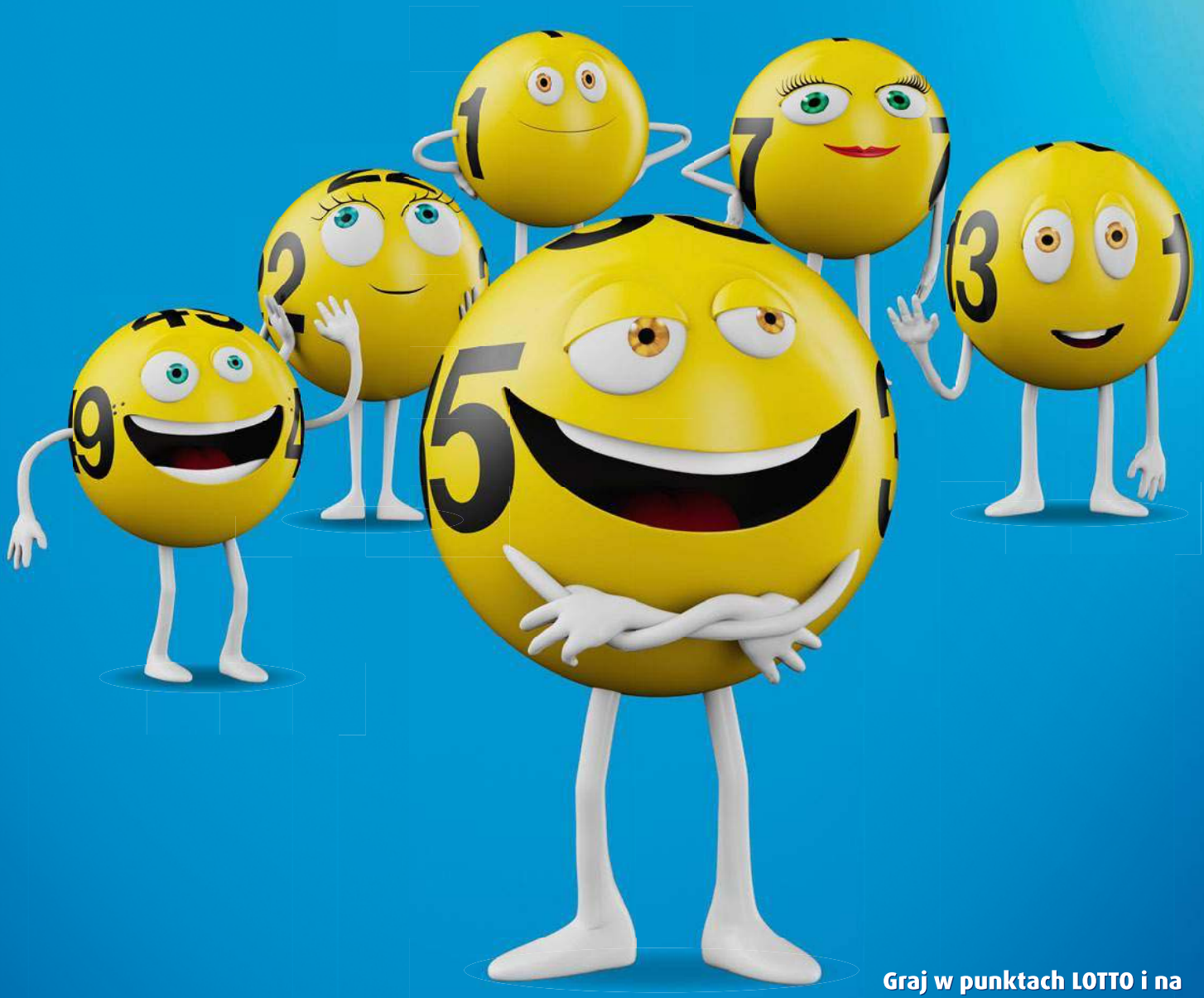
100 1919/2019

*Stan na 08.11.2019 r.

eprasa.pl f85080dd20

Lotto

MILIONY KRĘCĄ KAŻDEGO



Graj w punktach LOTTO i na

lotto.pl

eprasa.pl f85080dd20